

# KEN McCLUIRE

Przez nas między wszech światem a stworzonymi na tym świecie stworzeniami...  
Jest to mój pierwszy, mój pierwszy roman.



## Koń trojański



**Ken McClure**

**Kon Trojanski**

**(The Trojan Boy)**

**Jezus zapłakał, Voltaire się uśmiechnął**

**Victor Hugo**

**1**

**Avedissian leżał w łóżku i patrzył na promień światła w szparze między zasłonami. Zaczynał się kolejny bezsensowny dzień. Wyjdzie z domu i znowu będzie próbował sprzedawać ludziom produkty, których nie potrzebują i do których on sam nie ma przekonania. Zastanawiał się, po co mu to. Zadawał sobie to pytanie co rano od dwóch lat. Potem zawsze obliczał, ile szklanek dzinu wlał w siebie poprzedniego wieczoru i popadał w przygnębienie. Wstał i poczłapał do łazienki.**

**Zalał płatki kukurydziane mlekiem i stwierdził, że trochę skwasniało. Udawał, że tego nie zauważa, ale jego podniebienie zbuntowało się. Wylał zawartość talerza do kubła i usiadł przy kawie. Dlaczego systematycznie nie robi zakupów? Przecież to żadna filozofia sporządzić listę potrzebnych artykułów. Mieszka sam i nie jest wybredny.**

**Owszem, dreczyła go apatia. Ale jak się jej pozbyć? Powinno mu na czymś zależeć. Tylko na czym? Stracił żonę, zrujnował sobie karierę, co go obchodzi zwykle drobiazgi? Mleko skwasniało? No to co. Chleb się skończył? Trzeba kupić. Proste. Włożył płaszcz, wziął teczkę i wyszedł do biura.**

**Sekretarka szefa podniosła wzrok, potem spojrzała na zegarek.**

**–Firbush chce pana zobaczyć.**

**–Kiedy?**

**–Zaraz – odrzekła ze złośliwą satysfakcją.**

**Avedissian zawahał się, w końcu zapukał. Nie ma sensu odwlekać tego, co nieuniknione.**

**–Proszę.**

**–Chciał mnie pan zobaczyć?**

**–Owszem – przytaknął Firbush. – Proszę wejść. Niech pan siada. Avedissian poczuł się jak uczeń, ale zachował obojętność. Usiadł.**

**Firbush poprawił niebieskawe okulary w metalowej oprawce.**

**–Chciałbym wiedzieć, dlaczego sprzedaż w pańskim rewirze spadła w ciągu ostatnich dwóch miesięcy o piętnaście procent?**

**Avedissian wzruszył ramionami. Spodziewał się tego pytania, ale w ustach tej niedznej kreatury zabrzmiało obrazliwie.**

**–Firma "Maxim Health Products" wprowadza różne nowości, które konkurują z naszymi.**

**–I co z tego?**

**–Ich produkty są lepsze.**

**Zapadła cisza. Przerwał ją trzask ołówka, który złamał się w palcach Firbusha.**

**Avedissian podejrzewał, że szef złamał go specjalnie, dla efektu. Widocznie podpatrzył to na jakimś filmie. Zastanawiał się, czy Firbush ćwiczy swoje "techniki przesłuchania" przed lustrem.**

**Z gardła szefa wydobył się ochryply szept.**

**–A nie przyszło panu do głowy, Avedissian, że pańskim zadaniem jest przekonanie ludzi z branży medycznej do naszych produktów? – Firbush podniósł głos. – To powinno być celem pańskiego życia!**

**Avedissiana obchodziło to mniej więcej tyle co zeszłoroczny śnieg, mimo to powiedział tylko:**

**–Oczywiście.**

**–Więc dlaczego pan tego nie robi? Jest pan lekarzem, do diabła. Przynajmniej kiedyś pan był. Nie wie pan, jak to zrobić? Nie potrafi pan?**

**–Jako lekarz...**

**–Były lekarz!**

**–Jako były lekarz, jak pan uprzejmie zaznaczył, nie wyobrażam sobie, żebym mógł polecać komuś gorsze produkty.**

**Spokojny ton Avedissiana rozsierdził Firbusha bardziej niż sama odpowiedź. Stracił panowanie nad sobą. Zbladł jak kreda, pochylił się nad biurkiem i zacisnął pięści.**

**–Cos ci powiem, Avedissian – wycedził. – Wiesz, na czym polega twój problem? Wydaje ci się, że jesteś za dobry do tej roboty. Jesteś po prostu zarozumiałym medykiem, który nie chce brudzić sobie raczek uczciwą pracą!**

**–Mam watpliwosci co do tego czy uczciwa.**

**–Przestales byc lekarzem, Avedissian! – wybuchnal Fimbush. – Skreslili cie z tej magicznej listy i twoje nazwisko nigdy na nia nie wroci! Nawet po wielu latach nie zapomna ci morderstwa!**

**–To nie bylo morderstwo! – odparl ostro Avedissian i zaraz tego pozalowal. Dal sie sprowokowac, a szefowi o to chodzilo.**

**Fimbush poczul zapach krwi.**

**–Alez bylo – powiedzial wolno. – Tak to zakwalifikowal sad.**

**Avedissian nie mogli zaprzeczyc. Nie odezwal sie.**

**Szef zaatakowal.**

**–Jestes skonczony jako lekarz i jako pracownik tej firmy! Zwalniam cie! – Czekal, zeby Avedissian zaczal blagac o zmiane decyzji, ale sie nie doczekal.**

**Avedissian wzruszyl ramionami, wstal i podszedl do drzwi. Polozyl reke na klamce, gdy uslyszal za soba pomruk.**

**–Twoja zona dobrze zrobila. Biedna kobieta...**

**Tego juz bylo za wiele! Odwrocil sie i w trzech susach dopadl biurka. Chwycil Fimbusha za klapy.**

**W oczach tego czlowieczka odbilo sie przerazenie. Zrozumial, ze przeholowal. Tego nie bylo w planie. Wszystko mialo byc inaczej. Avedissian powinien stad wyjsc z podkulonym ogonem. On, Cyril Fimbush, opowiedzialby potem zonie, ze, niestety, wylal tego lekarza, ale w koncu ktos w tej firmie musi podejmowac takie decyzje. Kto zas, jesli nie on?**

**Tymczasem zostal wyrwany z kierowniczego skorzanego fotela jak pocisk wystrzelony z katapulty. Silne rece przeciagnely go przez biurko, na podloge posypaly sie papiery. Nie tak mialo byc!**

**Avedissian przyszpilil Fimbusha do sciany niczym motyla.**

**–Jak smiesz?! – wycedzil.**

**–Przeciez odebrala sobie zycie, prawda? – zapiszczal Fimbush. Probował zachowac resztki godnosc, ale mina Avedissiana zmrozila mu krew w zylach.**

**–Zrozum, czlowieku! Nie zabilem tamtego dziecka. Skrocilem tylko jego meki, choc**

**zgodnie z prawem powinienem pozwolić mucierpieć jeszcze miesiąc czy dwa. Zostałem ukarany, ale nie żaluje. A co do mojej żony... – Avedissian mocniej przydusił Firbusha. – Linda popełniła samobójstwo, bo gazety, zjadliwe listy i takie świetoszkowate pierdoly jak ty zatruwały nam życie w imię... chrześcijańskich wartości.**

**–Zaraz, zaraz...**

**–Dlaczego znecanie się nad innymi sprawia ci taka przyjemność, Firbush?**

**–To niesłychane!**

**–Chętnie bym cie... – Avedissian opanował się w porę. Odepchnął Firbusha i człowieczek wylądował na podłodze. Dzwignął się na kolana i sięgnął do przycisku interkomu.**

**–Panno Carlisle! Panno Carlisle! Avedissian minął sekretarke w drzwiach.**

**–Jedna kawa – rzucił przez ramie.**

**Avedissian wrócił do swego ponurego mieszkania po dwudziestej trzeciej. Wypił tyle, że z trudem uporał się z zamkiem: dopiero trzecia próba się powiodła. Pchnął drzwi i natychmiast poczuł znajomy chłód i pustkę. Codziennie najbardziej obawiał się tego momentu. Świadomość tego, że nikt na niego nie czeka, była bardzo przykra.**

**Zajął się tym, co zwykle: pozapalał lampy i elektryczne kominki, a potem włączył telewizor, żeby przerwać grobową ciszę. Przez chwilę patrzył na ekran. Jakas kobieta podskakiwała z podniecenia, mając nadzieję na wygraną w teleturnieju. Prowadzący program uśmiechał się profesjonalnie do kamery i udawał, że podziela jej radość.**

**–Co za gówno – mruknął Avedissian, ale nie wyłączył aparatu. Nie zniosłby ciszy. Kobieta na ekranie postanowiła "grać o wszystko", a on – pojsć do kuchni.**

**Prostokątna konserwa dała się w końcu otworzyć nożem. Na talerz wypłynęła zawartość w sosie własnym. Otwieracz zesliznął się trzy razy z puszką z fasolką więc Avedissian znowu musiał wykorzystać wypróbowaną technikę – wbił w blachę noż kuchenny. Wieczko puscilo, ale ostrze skaleczyło go w palec.**

**Włożył kciuk do ust, żeby wyssać krew, i poszedł do łazienki. Szukanie w szafce plastra jedną ręką nie było wygodne. Klął, na czym świat stoi, kiedy nagle usłyszał dzwonek do drzwi.**

**Na razie owinał ranke chusteczką higieniczną i poszedł otworzyć. W progu stali dwaj mężczyźni.**

**–Mark Avedissian? – zapytał jeden.**

**–Tak.**

**–Mozemy wejść? – A kim panowie są?**

**Pierwszy mężczyzna wyciągnął legitymację.**

**–Policja.**

**Avedissian na moment zamknął oczy.**

**–Proszę – powiedział z rezygnacją.**

**Natychmiast powróciły koszmarne wspomnienia. Czego chcą tym razem? Policjanci weszli i rozejrzeli się jak turyści w zabytkowym pałacu. Avedissian wskazał fotele.**

**–Siadajcie, panowie.**

**Jeden z gości popatrzył na chusteczkę na jego palcu. Zdarzyła przesiąknąć krwią.**

**–Coś się stało?**

**–Drobne skaleczenie – mruknął Avedissian. – Panowie wybacza...- zostawił policjantów i skierował się do łazienki.**

**–Oczywiście. Możemy w czymś pomóc?**

**Pokreślił głową i wyszedł. Zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie plecami. – Firkush! Sukinsyn...**

**Opatrzył palec, psychicznie przygotował się na spotkanie z policjantami i wyszedł.**

**Mezcyżni spacerowali po pokoju. Jeden trzymał fotografię Lindy którą wziął z biurka. Gdy zauważył wzrok Avedissiana, odstawił ją.**

**–Niejaki Cyril Frederick Firkush złożył na pana skargę. Twierdzi, że stał się ofiarą bezpodstawnej napaści z pańskiej strony.**

**–Nie powiedziałbym, że bezpodstawnej – odrzekł spokojnie Avedissian.**

**–Ale przyznaje się pan?**

**–Tak.**

**–Zechciałby pan podać nam swoją wersję tego, co zaszło?**



**–Nie – odparł zmęczonym głosem.**

**Policjanci wymienili spojrzenia i wzruszyli ramionami. – Na pewno?**

**Wyraznie chcieli mu pomoc. Avedissian usmiechnął się słabo. – Na pewno.**

**–Miał pan już kiedyś kłopoty z prawem?**

**Raz.**

**Znow wymienili spojrzenia.**

**–Naprawde? O co był pan oskarżony?**

**–O morderstwo.**

**Stało się, pomyślał Avedissian, napełniając szklanke. Stracił pracę i musi stanąć przed sądem za napasc. Wstyd. Nieprzyjemne uczucie mógł złagodzić tylko dzin. Po raz pierwszy od lat przypomniał sobie rodziców. Dobrze, że tego nie dożyli. Położył się na łozku i zamknął oczy.**

**Mimo armenskigo nazwiska odziedziczonego po pradziadku był Anglikiem. Wychował się w wiosce niedaleko Canterbury, jednego z najprzyjemniejszych angielskich miast. Jako jedyny syn dobrze prosperującego biznesmena miał szczęśliwe dzieciństwo, dzieciństwo, które mogło uchodzić za wzorcowe dla klasy średniej.**

**Uczył się doskonale. Rodzicom bardzo zależało, by coś w życiu osiągnął. Cieszyli się, gdy wstąpił do wojska i otrzymał stopień oficerski. Potem poparli jego decyzje o opuszczeniu armii i rozpoczęciu studiów medycznych.**

**Matka była z niego szalenie dumna, gdy je ukończył. Uśmiechnął się z rozrzewnieniem na wspomnienie śmiesznego kapelusza z kwiatami, który włożyła na uroczystość wręczenia dyplomów. Ojciec odnosił się do tego nieco inaczej.**

**John Avedissian troszczył się nie tylko o wykształcenie jedynaka, lecz również o jego osobowość. Choć oczywiście też był dumny, że ma syna lekarza. Ale zawsze mu powtarzał, że należy iść własną drogą, nie oglądać się na innych. Uprzedzał, że to niełatwe, lecz trzeba umieć płynąć pod prąd.**

**Niełatwe! Dobre sobie! Avedissian parsknął. Oto dokąd go to zaprowadziło. Ojciec chyba nie wiedział, co mówi. Ludzie, którzy głoszą i robią to, co uważają za słusne, są zakalą społeczeństwa. Społeczeństwo akceptuje jedynie tych, którzy postępują według przyjętych reguł! A może to tylko pijacki cynizm i uzalanie się nad sobą? Ponownie napełnił szklanke.**

Sedzia okazał się wyrozumiały. Uznał Avedissiana za koleżę zawodowca, który przeżywa trudny okres. Nie zamierzał go surowo karać. Unizonowo Furbush nie wywarła na wysokim sędzieu dobrego wrażenia. Mimo pogniecionego garnituru i niewyprasowanej koszuli Avedissian wypadł lepiej niż Cyril Frederick Furbush w krawacie swojego klubu golfowego. Sprawiedliwość może być ślepa, ale pan Giles Carrington-Smythe dostrzegł wyraźną różnicę między dwoma mężczyznami.

Avedissian zapłacił grzywnę i zapomniał o sprawie. Po wyjściu z sądu interesował go tylko najbliższy pub i duży dzin. Zerknął na zegarek. Do zamknięcia lokalu pozostało dziesięć minut.

Minęły dwie, zanim dotarł do "The Earl of Essex" i wszedł do chłodnego, ciemnego wnętrza.

–Zdziałył pan w samą porę. Co podać?

Avedissian wziął duży dzin, zabrał szklanke do stolika i zostawił barmanowi resztę.

Mężczyzna kłaniał się w pas, a to nie podobało się Avedissianowi. Czy ludziom już zupełnie brak godności? Dlaczego nie powie, że bym wsadził sobie moją forszę w dupę? Boi się, że straci pracę? Nie, chodzi o coś innego. Cieszy się, że ktoś dał mu zarobić. Prosta filozofia.

Pociągnął duży łyk. Może Furbush miał rację? Może duma nie pozwala mu się nagiąć do zasad rządzących rynkiem? Nieważne, już wypadł z tej gry. Zajrzał do pustej szklanki, jakby chciał z niej wyczytać swoją przyszłość. Nie wyglądała zachęcająco. Co do jednego Furbush na pewno miał rację – karierę lekarza ma z głowy na zawsze. Już nigdy nie będzie praktykował. Ta świadomość dokuczala mu jak wrzód na ciele.

Potrafił wytrzymać bez ukochanej pracy, dopóki żyła Linda. Po jej śmierci jakby na zawsze zaszło słońce. Nie mógł się pogodzić ze śmiercią żony. Nie rozumiał motywów jej samobójstwa. Byli doskonale dobraną parą. Dzielili się wszystkimi myślami. Jak to możliwe, że jedno miało przed drugim tak straszny sekret – zamiar odebrania sobie życia? Czy to znaczy, że tak naprawdę nigdy jej dobrze nie znał? Tak mu się tylko zdawało, bo był zbyt pewny siebie? Miała jakieś drugie "ja", które bała się mu ujawnić? To nie do zniesienia.

–Bardzo pana przepraszam, ale musimy zamykać.

Avedissian usłyszał zdanie dopiero za drugim razem. Spojrzał na mężczyznę w białej marynarce i skinął głową.

–Dziękuję panu bardzo.

Avedissian wstał i uśmiechnął się.

**–Moze to pan ma racje, nie ja.**

**–Tak jest, prosze pana – odparl barman bez zastanowienia. Wzial szklanke i przetarl stolik.**

**Puste dni mijaly jeden po drugim. Avedissian odmierzal czas zgodnie z godzinami otwarcia i zamknienia pubow. Gdy w pewien piatkowy wieczor wracal do siebie lekko zamroczony, uslyszal w korytarzu rozmowe dwoch sasiadek.**

**–Obrzydliwosc – zauwazyla jedna.**

**–Absolutnie! – zgodzila sie druga.**

**Dopiero na schodach zdal sobie sprawe, ze mowia o nim. Podzialalo to na niego jak kubel zimnej wody. Obrzydliwy? On? Umysl zaczal pracowac troche sprawniej, ale nogi nie. Chwial sie, otwierajac drzwi. Wtoczyl sie prosto do lazienki. Zapalil swiatlo i zobaczyl widmo w dlugim lustrze. Potargane wlosy, since pod oczami, trzydniowy zarost, poplamiona koszula...**

**–Boze Wszchemogacy! – szepnal z przerazeniem. Nie ogladal sie od dawna.**

**Oparl sie ciezko o kran i odkrecil drugi. Dluго myl twarz zimna woda. Kiedy stal pochylony nad umywalka, dzin podszedl mu do gardla. Ze zloscia wlozyl do ust dwa palce i zwymiotowal. Odor przyprawil go o dalsze wymioty.**

**Zaczal goraczkowo szukac maszynki do golenia. Wyrzucil cala zawartosc szafki, wreszcie ja znalazl. Ogolil sie z zapalem, potem napelnil wanne w trzech czwartych. Dwa czy trzy razy zanurzyl sie razem z glowa, w koncu wyszorowal cialo az do bolu.**

**Zmeczyl sie. Zlosc i niezadowolenie wprawdzie minely, ale zastapila je apatia. Lezal w wodzie i czul sie tak, jakby wchlanialy go lotne piaski. Wstal i zaczal sie pospiesznie wycierac. Szybko rozbolaly go rece i skonczylo sie na osuszaniu ciala powolnymi ruchami. Przyjrzel sie sobie w lustrze. Wciaz mial ponad metr osiemdziesiat wzrostu i wlosy bez sladu siwizny, lecz tylko tym przypominal mezczyzne, ktory kiedys krocyl dziarsko korytarzami St. Jude. Ten w lustrze mial teraz zapadnieta piers i wlasnie mu sie zaczal robic brzuszek. Poza tym mial obwisle ramiona i powinien sie ostrzyc. Zniknela opalenizna z czasow, gdy bral urlop dwa razy w roku. Skora byla biala jak kreda. Przenikliwe, niebieskie oczy stracily blask, przekrwione bialka nabraly zoltawej barwy. Avedissian wysunal jezyk i oblizal wargi. Po dzinie poczuje sie lepiej.**

**List tkwil miedzy rachunkiem za elektrycznosc a broszura zachecajaca do wykupienia polisy na zycie dla najblizszych. Wygladal interesujaco. Na nieskazitelnie bialej kopercie widnial stempel pocztowy Cambridge. Papier byl drogi i w dobrym gatunku. Mial nadruk Trinity College. Avedissian przeczytal list raz, potem drugi. Nie**

wierzył własnym oczom. Zapraszano go na rozmowe w następny czwartek o dziesiątej rano i proponowano prace zgodna z jego kwalifikacjami! O co tu chodzi, do diabła? Nigdy nie ubiegał się o posadę w Cambridge i nikogo tam nie znał.

Obejrzał dokładnie list. Może to pomyłka? Potem przypomniał sobie słowa ojca:

–Jeśli ktoś mówi "Avedissian", dobrze wie, o kogo mu chodzi. Naszego nazwiska nie sposób pomylić z Brownem czy Smithem.

–Jeszcze raz powrócił do listu. Zwrot wydatków zgodnie z "kategoria 3" w wysokości 34 funtów 15 pensów dziennie plus za bilet drugiej klasy... Czy to jakiś głupi żart? Po diabła mu ta podróż do Cambridge? Odpowiedź była prosta: bo nie ma nic lepszego do roboty.

Chesterton Road tonęła w ciemności, ale wieczór był ciepły i pogodny. Pachniały kwiaty. Optymista twierdzi, że tak wygląda typowe angielskie lato, choć w rzeczywistości takie dni stanowią miłą wyjątki. Avedissian wspiął się po schodach i wszedł do hotelu.

Hotel jak hotel, pomyślał. Anonimowe wnętrza, anonimowi goście. Ale podobało mu się położenie: nad brzegiem rzeki Cam.

Przekasiał coś w barze i wybrał się na spacer. Siedział wolno alejka i słuchał głosów oraz śmiechów dochodzących z łodzi mieszkalnych, przycumowanych przy nabrzeżu. Zszedł pod most, schylił głowę pod przesłonę i usłyszał echo własnych kroków na mokrych kamieniach.

Pod lukowym sklepieniem pachniało wilgocią. Przypomniał sobie dzieciństwo i wędrowanie w cieniu płaczących wierzby. Przez jego rodzinna wioskę płynął strumień. Spędzał tam z kolegami wiele czasu. Pod mostem, obok wiejskiego kościoła, pachniało tak samo jak tutaj.

Za wodą zobaczył pub. Rozesmiani klienci popijali na świeżym powietrzu. Był skłonny potraktować symbolicznie to, że od tamtych wesółych ludzi oddziela go rzeka i stoi tu samotnie w ciemności. Poczul się dziwnie zakłopotany, że przyszło mu to do głowy. Poszedł dalej. Wspiął się na górę i wyszedł na ulicę obok Magdalene College. Dawno nie był w Cambridge. Postanowił sprawdzić, czy jeszcze trafi do Trinity College. Trafili.

Obudził go dźwięk dzwonek rowerowych. Do pokoju zaglądało słońce. Zerknął na zegarek i uspokoił się. Miał jeszcze mnóstwo czasu. Czuł się dobrze, bo poprzedniego wieczoru nic nie wypił i po spacerze nad rzeką porządnie się wyspał.

Z mieszanymi uczuciami rozmyślał o czekającym go spotkaniu. Z jednej strony był ciekaw, o co chodzi, z drugiej – zły, że tanczy, jak mu zagraja. Jeśli posłusznie stawi

się na wezwanie, przegra pierwsza runda.

Poszedł do łazienki. Najpierw zmagal się z zasłoną kabiny kąpielowej, potem ze zle działającym prysznicem. Zainstalowano go prowizorycznie, zapewne tylko na lato, i z myśla o Amerykanach. Zastanawiał się, jak powinien się zachować podczas rozmowy. Nie był skory do okazywania entuzjazmu, poki nie wiedział, co mu zaproponują. Nie prosił o pracę. Ale też nie mógł stawiać warunków – znalazł się prawie na dnie. Nagle uswiadomił sobie, że tamci muszą dobrze znać jego sytuację. Nie podobało mu się to.

Avedissian wyszedł na zalaną słońcem ulicę. Przeszedł na drugą stronę, żeby być blisko rzeki, i poszedł w kierunku Trinity College. Był zadowolony, że wreszcie idzie dokądś w jakimś celu. Otworzył wysoką, żelazną bramę i zatrzymał się na chwilę. Popatrzył z podziwem na bujną roślinność ciągnącą się aż od rzeki, potem znalazł wejście wskazane w liście. Przystanął na jednym z mostków i spojrzał na leniwie płynącą wodę. W pobliżu przycumowana była samotna łódź.

Minał ciche podwórko. Zegar na wieży wskazywał za trzy dziesiąte. Kiedy wkroczył do budynku, zastąpił mu drogę umundurowany portier.

–Doktor Avedissian? Tedy proszę.

Winda mozolnie piela się w górę.

–Bardzo tu spokojnie – odezwał się Avedissian, żeby przerwać milczenie.

–Wakacje – odparł portier, nie odrywając wzroku od tablicy z numerami pieter.

–No tak, oczywiście – zakończył rozmowę Avedissian.

W korytarzu pachniało kurzem, skóra i pasta do podłogi. Lubił ten zapach. Stwarzał atmosferę nieprzemijalności, jak w bibliotece.

–Tutaj proszę. – Portier otworzył drzwi, wciągnął brzuch i przepuścił Avedissiana.

Powitała go uśmiechnięta kobieta po trzydziestce. Wyciągnęła rękę.

–Milo mi pana poznać, doktorze. Sarah Milek. Jestem asystentka sir Michaela.

Avedissian poczuł się lepiej. Wreszcie jakieś nazwisko. List nie był podpisany.

–Sir Michaela... a jak dalej? – zapytał.

–Po prostu sir Michaela – odrzekła kobieta. – Proszę za mną.

Weszli do przyjemnego, słonecznego pokoju. Za stołem siedzieli czterej mężczyźni,

**odwroceni plecami do okna.**

**–Doktor Avedissian – oznajmila Sarah Milek i wyszła.**

**Siwowlosy czlowiek podniosl sie i gestem zaprosil Avedissiana, zeby usiadl.**

**–Milo, ze pan przyjechal – odezwal sie lagodnym, kulturalnym glosem.**

**Avedissian zdobył się na uśmiech, ale poczuł, że został potraktowany protekcjonalnie. – Pozwoli pan, że przedstawię panów Bryanta, Stapletona i Carlisle'a. Avedissian skinął głową każdemu z nich. Stapleton i Carlisle powiedzieli "dzień dobry", Bryant swidrowal go wzrokiem.**

**Siwowlosy musi być zatem "sir Michael", domyslił się Avedissian. Mezczyzna otworzył teczkę z aktami i zsunął okulary na czubek nosa. Zaczął przeglądać papiery.**

**–Co my tu mamy... – mruknął. Doszedł do końca sterty i zaczął przeglądać raz jeszcze.**

**Bryant poruszył się niecierpliwie i wznosił oczy ku niebu. Dwaj pozostali udawali obojętność, ale Avedissian czuł na sobie ich spojrzenia. Przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy.**

**–Jest! – obwieścił sir Michael. – Mark Avedissian, lat trzydziestu siedem, wdowiec, bezdzietny. Trzy lata w Siłach Zbrojnych Jej Królewskiej Mości, stopień oficerski, służba w Pulku Spadochroniarzy. Po opuszczeniu armii studia medyczne. Trzeci dyplom na roku w 1973, specjalizacja: pediatria. Ostatnie stanowisko: pediatra konsultant w Szpitalu St. Jude, Southampton. Duża zmiana, co? Z wojska do medycyny...**

**Avedissian milczał.**

**–Zechce nam pan zdradzić powody?**

**–Nie.**

**–Było za ciężko, Avedissian? – zapytał nagle Bryant. Sir Michael posłał mu przeciągłe spojrzenie pełne dezaprobaty i odchrząknął. Zanim Avedissian zdążył odpowiedzieć, zaczął mówić dalej.**

**–Oskarżony o podanie śmiertelnej dawki barbituranów pacjentowi Michaelowi Fieldingowi... Przychylnie nastawienie sędziego i rodziców dziecka, ale sprawiedliwości stało się zadość... Skazany na krótkotrwałe więzienie i wykreslony z rejestru lekarzy... Praca w kilku firmach medycznych w charakterze przedstawiciela handlowego... Niczego nie brakuje w tym pobieżnym życiorysie, doktorze?**

**Avedissian przyznał, że nie.**

**–W przeciągu dwóch lat wywalili cię z pięciu firm, Avedissian – wtracił Bryant.**

**–Tak.**

**–Tylko tyle masz do powiedzenia?**

**W Avedissianie zawrzał, ale nie dał po sobie nic poznać.**

**–Co ja tu właściwie robie?– zapytał.**

**Sir Michael otworzył usta, ale Bryant go ubiegł.**

**–Dobre pytanie – parsknął i wyciągnął się na krzesle. Utkwił wzrok w stole.**

**Sir Michael zerknął na niego, potem zwrócił się do Avedissiana.**

**–Uznaliśmy, że może nam pan pomóc. – Jak?**

**–Najpierw musimy zadać panu kilka pytań. Avedissian westchnął i skinął głową. –  
Dlaczego wystąpił pan z armii?**

**–Bo to nie dla mnie.**

**–Był pan zdolnym oficerem i miał otwartą drogę do kariery.**

**Bryant znowu okazał zniecierpliwienie.**

**–Stwierdziłeś, że to nie dla ciebie, Avedissian, kiedy wysłali cię do Irlandii  
Północnej, prawda?**

**–Służyłem w Irlandii Północnej – zgodził się Avedissian.**

**–I tam straciłeś zapal.**

**–Nie.**

**–Czyżby? Anie staliśmy się przypadkiem pacyfistami? Nie ronił nam leż nad biedną  
Smaragdową Wyspą, nie krajało nam serce? – zadrwił Bryant.**

**–Nie stałem się pacyfistą – odparł Avedissian. Jego spokój wyraźnie zirykował  
Bryanta.**

**–A może zabijanie dzieci jest bardziej w twoim stylu, Avedissian?**

**–Ty sukiny! Nie...**

**Bryant rozparł się na krzesle i wyszczerzył zęby.**

**–Wiec jednak nie jesteś zupełnym mieczakiem, Avedissian – powiedział z zadowoleniem. – Dobrze wiedzieć.**

**Sir Michael wydawał się zaintrygowany psychologiczną grą Bryanta. Stapleton i Carlisle pozostali obojętni.**

**–Panska żona popełniła samobójstwo? – zapytał drugi z nich.**

**–Tak.**

**–I co pan na to?**

**–Cholernie głupie pytanie.**

**Carlisle zignorował te uwagi.**

**–Ma pan kogoś na utrzymaniu?**

**–Nie.**

**–Chciałby pan wrócić do praktyki lekarskiej, doktorze? – zagadnął sir Michael.**

**Avedissian rozzłościł się.**

**–Co to za pieprzona farsa? Dobrze wiecie, że nie mogę! To wbrew prawu.**

**Sir Michael zdjął okulary i oparł się wygodnie. Popatrzył gdzieś w przestrzeń i powiedział:**

**–W każdym społeczeństwie ludzie powinni bezwzględnie przestrzegać prawa, doktorze. A jednak zawsze znajdują się przestępcy, którzy je łamią.**

**Dlatego też muszą istnieć pewne wąskie grupy zwolnione z obowiązku ścisłego trzymania się litery prawa.**

**Zapadła długa cisza. Słowa uwięzły Avedissianowi w gardle. Dopiero po jakimś czasie w pełni pojął sens tego, co usłyszał. Odchrząknął.**

**–Chcecie mnie zwerbować do służb specjalnych?**

**Pytanie wydało mu się tak zenująco naiwne jak kwestia z kiepskiej sztuki wystawianej w wiejskiej świetlicy. Odetchnął z ulgą, że nikt go nie wysmiał.**

**–Można to tak ująć – przyznał sir Michael.**



**Avedissian poczul sie tak, jakby samotnie spacerowal po linie i byl obiektem niewybrednych zartow. Sprobował sie bronic.**

**–Jestem, a raczej bylem, pediatra. Mam trzydziesci siedem lat, preferencje heteroseksualne i nie posiadam dyplomu tutejszego uniwersytetu. To mnie chyba dyskwalifikuje?**

**Trzej mezczyzni nie zareagowali. Sir Michael wyjasnil:**

**–Potrzebujemy lekarza, a pan nim jest i nie ma pan pracy. Fakt, ze sluzyl pan w wojsku, przemawia na panska korzysc.**

**–Po co wam lekarz?**

**–Tego nie moge zdradzic.**

**–Jesli szukacie kogos do wstrzykiwania skopolaminy ruskim szpiegom, to trafiliscie pod zly adres.**

**–Nic z tych rzeczy. – A jezeli odmowie?**

**–Wrocisz do siebie i bedziesz chlal dalej – warknal Bryant. Avedissiana ogarnal gniew, ale pohamowal sie. Bryant mial racje.**

**–Dobrze, zgadzam sie.**

**–Niech pan to podpisze. – Stapleton wyjal z teczki jakis dokument. – Ustawa o tajemnicy panstwowej.**

**Avedissian podpisal.**

**–A teraz mozecie mi wyjasnic, o co chodzi?**

**–Jeszcze nie – odpowiedzial sir Michael. Zebral papiery i wstal. – Pan Bryant wprowadzi pana w niezbedne szczegoly. – Trzej mezczyzni wyszli. Avedissian zostal z Bryantem.**

**–Nie wrocisz juz do domu – uslyszal. – Przywieziemy twoje rzeczy. Dalsze instrukcje dostaniesz od panny Milek.**

**Bryant wyszedl. Avedissian poczul sie straszliwie samotny. Byl pelen zlych przeczuc. W co sie wpakowal? Podszedl do okna i wyjrzal na podworze. Czarna limuzyna wlasnie znikala w bramie. Na bruku odbijalo sie słońce, a wokol panowala smiertelna cisza.**

**Do pokoju weszla Sarah Milek. Stanela przy nim.**

**–Witam na pokładzie – powiedziała cicho.**

**–Nie mogła pani wymyslic nic lepszego? – zapytał Avedissian, nie patrząc na nią.**

**–Nic innego nie przyszło mi do głowy. Odwrócił się.**

**–Przepraszam, nie byłem zbyt uprzejmy.**

**–Nie szkodzi. Wiem, że życie pana nie oszczędzało, teraz jeszcze to... – A co "to" właściwie jest?**

**–Niestety, nie wolno mi powiedzieć więcej, niż to konieczne.**

**–Czyli?**

**–Niewiele tego. Mam panu wręczyć to – podała mu zapieczętowaną kopertę. Wział ją bez słowa.**

**–Proszę otworzyć – poleciła. – Tam wszystko jest.**

**Avedissian usiadł przy długim stole i rozdarł kopertę. Sarah Miley skierowała się do drzwi. Odwróciła się w progu.**

**–Niech się pan nie spieszy. Kiedy będzie pan gotów, portier pana wypusci.**

**Avedissian obejrzał zawartość. Sto funtów gotówka, rozkład jazdy pociągów i bilet kolejowy. Oprócz tego instrukcja bez podpisu, zgodnie z którą ma się stawić w recepcji "Brecon Inn" w Ebbw Vale w sobotę o dziesiątej rano. Krótki list sugerował, że lepiej przyjechać na miejsce dzień wcześniej i przenoć w wspomnianym hotelu.**

**Kiedy Avedissian wyszedł z windy, portier otworzył przed nim frontowe drzwi. Powodowany nagłym impulsem, Avedissian wskazał budynek po przeciwnej stronie placu.**

**–Co tam jest?**

**Pytanie zbiło portiera z tropu. Popatrzył z zakłopotaniem na swoje buty.**

**–Nie mam pojęcia – wyznał. – Jestem tu od niedawna.**

**–Tak myślałem – powiedział Avedissian. "Portier" miał tyle wspólnego z Trinity College co on.**

**W nadrzecznym pubie zamówił duży dzin i coś do jedzenia. Drzwi na werandę były otwarte, więc wyszedł ze szklanką na powietrze. Oparł się o poręcz, cieszył piękną**

**pogoda i bujna zielenia.**

**–Zje pan tutaj? – zapytała kelnerka. Poznal po akcencie, ze to studentka pracujaca w wakacje.**

**–Chetnie.**

**Po lunchu poszedl na spacer wzdluz rzeki. Rozmyslal o porannej rozmowie. Dostal prace, to dobrze. Ale czy na pewno? Jeszcze nie wiedzial, co to za praca. W kazdym razie nic nie bedzie sprzedawal. Na szczescie.**

**Nie nadawal sie do handlu i z natury byl podejrzliwy. Traktowal ludzi z rezerwa. Rzadko czul do kogos sympatie po pierwszym spotkaniu. Uwazal kazdego za idiote, dopoki ten nie udowodnil, ze jest inaczej. A jesli nie, szkoda czasu na zawracanie sobie nim glowy.**

**Niestety, kariera przedstawiciela handlowego w kilku firmach, jak to eufemistycznie okreslil sir Michael, zmuszala go do kontaktow z wieloma ludzmi, ktorzy nie "zaliczyli" testu Avedissiana, choc nie mial prawa ich "oblac". Klienci czuli, ze nie traktuje ich z nalezytym szacunkiem, a jego szefowie uwazali, ze nie rozumie, jacy sa wazni. W rezultacie jedni i drudzy jakby sie zмовili, zeby uprzykrzyc mu zycie.**

**Teraz jednak to wszystko mial juz za soba. Pozostawalo pytanie, co przyniesie przyszosc? Przystanal, zeby popatrzec, jak dwaj chlopcy bawia sie w wodzie modelami statkow. Potem opuscil nadrzeczna alejke, przeszedl przez mostek dla pieszych i wyszedl na ulice. Mial w kieszeni sto funtow i bilet. W sobote musial byc w Walii.**

## **2**

**Kevin O'Donnell umieral. Jak wielu ludzi nie byl na to przygotowany. Chcial jeszcze duzo powiedziec, zanim bedzie za pozno. Martin O'Neill trzymal jego glowe w ramionach. Staral sie go pocieszyc, ale sam byl ciezko ranny i niewiele mogl zrobic. Rozerwane lewe ramie silnie krwawilo. Zaczelo padac i czerwone kaluze powoli zmienialy barwe na blotnista. Mokre wlosy oblepialy czola mezczyzn lezacych w zaulku, przy wejsciu do domu.**

**–Pic... – wychrypial O'Donnell, ale tylko letni deszcz mogl zwilzyc jego spieczone wargi.**

**W oddali rozlegl sie ostry gwizdek i O'Neill gwałtownie podniosl wzrok. Zaraz uslyszy wojskowe buty i silniki samochodow. Brytyjczycy zaczną przeczesywac cala dzielnice. O'Donnell tez uslyszal gwizdek. Musial sie pospieszyc.**

**–Posłuchaj... W sejfie w Długim Domu znajdziesz koperte... Zabierz ja schowaj i nikomu nie pokazuj... Obiecujesz?**

**–Obiecuje.**

**W kąciku ust O'Donnella pojawiła się krew. Bulgot w gardle świadczył, że płuca są już jej pełne. Chwycił O'Neilla za kłape i przyciągnął bliżej.**

**–Jeszcze... ostatni rozkaz...**

**O'Neill nadstawił ucha. Potem usiadł prosto i powtórzył słowa dowodcy jak w transie.**

**–Zgadza się... – wysapał O'Donnell. – Wykonac...**

**O'Neill przytaknął automatycznie. Głowa O'Donnella opadła. Nie żył.**

**O'Neill przycisnął zakrwawione ramię do boku i wstał z trudem. Okrzyki zbliżały się, a ból był nie do zniesienia. Powłokł się do wylotu uliczki. Po kilku krokach zakreciło mu się w głowie i przestał widzieć. Stracił za dużo krwi. Bał się, że zemdleje. Osunął się na kolana, podpełzł do jakichś drzwi i położył głowę na ziemi, żeby krew dotarła do mózgu. Musiał podjąć decyzję.**

**Brytyjczycy już odnieśli wielkie zwycięstwo – zabili Kevina O'Donnella, głównodowodzącego IRA w Belfascie. Może nie zdawali sobie z tego sprawy ale zlikwidowali człowieka, którego głos najbardziej się liczył w radzie wojennej. O'Neill też nie chciał wpasć w ich ręce żywy, bo z pewnością zmusiliby go do mówienia, a wiedział zbyt dużo. Tylko duś mógł wierzyć, że wytrzyma przesłuchania prowadzone za pomocą nowoczesnych urządzeń. Zanim aparatura dźwiękowa zrobiłaby mu z mózgu sieczkę, byłby gotów pocałować królową w dupę i wyrecytować księciu dziecinne rymowanki. Pozostało mu jedno – popełnić samobójstwo.**

**Nadeszła chwila ostatecznej próby lojalności. Zakoczy życie w strugach deszczu, w ciemnym zaułku Belfastu. Czy miało jakąś wartość? Czy komus będzie go brakować? I co z ostatnim rozkazem O'Donnella? Postradał zmysły czy powiedział prawdę? Na pewno mówił prawdę. To nie ulegało wątpliwości. O'Neill widział to w jego oczach. Zanim skonał, był całkowicie przytomny. Ale w tych okolicznościach to czysto akademickie rozważania – już nie zdoła wykonać rozkazu. Siegnął pod kurtkę i wyciągnął pistolet.**

**Ból w ramieniu stał się nie do wytrzymania. O'Neill wiedział, że wkrótce straci przytomność. Oby tylko zdążył nacisnąć spust. Spróbował skoncentrować się na skąpym świetle uszkodzonej latarni u wylotu uliczki, ale oczy zaszyły mu mgła. Nikły blask słabej żarówki rozplynął się w deszczu i ogarnął go wielki spokój.**

Kiedy się ocknął, poczuł zapach smażonej cebuli i usłyszał wrzaski bawiących się dzieci. W pierwszej chwili przestraszył się, że jest w brytyjskim więzieniu. Zaraz jednak przypomniał sobie, że tam nie pachnie smażona cebula, tylko cuchnie kapusta i moczem. I nie słychać dziecięcych głosów, lecz brzęk kluczy i echo kroków. Silny ból w ramieniu podsunął mu myśl, że może wylądował w szpitalu. Też nie. Było mu zimno, a w szpitalach jest ciepło. Suche, szpitalne powietrze przypomina zakłady fryzjerskie, zapach zaś – szkolne ambulatoria.

O'Neill dostał dreszczy. Nie mógł ich opanować. Konwulsje wzmogły ból w ramieniu. Krzyknął.

Do pokoju wbiegła kobieta.

–Spokojnie – powiedziała łagodnie i delikatnie popchnęła go poduszką – wszystko będzie dobrze. Jest pan bezpieczny. Proszę wypoczywać.

O'Neill przyjrzał się jej twarzy i uspokoił się. Wzbudzała zaufanie. Drgawki powoli ustawały, a kobieta wciąż go zapewniała, że wszystko jest w porządku. Wyglądała na około czterdzieści pięć lat, choć równie dobrze mogła mieć o dwadzieścia mniej. Zmarszczki wokół oczu i tusza wskazywały, że prowadzi tryb życia, który sprzyja wczesnemu starzeniu się. Kiedy podciągała mu koc pod brode, poczuł na jej palcach nikotynę. – Gdzie ja jestem? – zapytał.

–W Doonan.

Nie rozumiał. Zauważyła to.

–Na osiedlu Doonan Flats – wyjaśniła. – Mój mąż i jego brat przyniesli pana tutaj.

–Ależ Doonan...

–Wiem. Znaleźli pana kawał drogi stąd.

–Jak?

–Poszli się napić, a co by innego! Byli u Clancy'ego, kiedy usłyszeli, że Bryty zaczynają jakąś akcję. Ktoś widział dwóch naszych na Tannahill Road, więc Con, mój stary, powiedział, że wie, dokąd biega uciekać. On się tam wychował. Chciał pomóc. Wsiadli do wozu jego brata Michaela i koczyli po zaułkach, aż zobaczyli pana, niestety.

–Odważni ludzie.

–Jacy tam odważni! – parsknęła kobieta. – Raczej cholernie głupi! To nie była odwaga, tylko guinness!

**–Wiec nie jest pani za wolna Irlandia?**

**–Wolna Irlandia! A na co mi to? Pusta gadanina! Zalezy mi na porzadnym domu, pracy dla Cona i na przyszlosci moich dzieci. To mnie interesuje.**

**–A nie sadzi pani, ze byloby to wszystko w wolnej Irlandii?**

**–Rzad wszedzie jest taki sam. Politykow gówno obchodza tacy jak ja. Niewazne, kim sa.**

**–Skoro tak, to dlaczego mnie pani przygarnela?**

**Kobieta odrzucila glowe do tylu i rozesmiala sie gorzko.**

**–Dobre sobie! Ja, katoliczka z Doonan, mialabym pana zostawic na ulicy? Mysli pan, ze jestem stuknieta?**

**O'Neill przyznal jej w duchu racje. Sprobował uniesc sie na zdrowym lokciu.**

**–Jesli pomoze mi pani wstac, wyniose sie stad.**

**Wzgledy polityczne staly sie osobistymi.**

**–Nigdzie pan nie pojdzie – odparla. – Poza tym Con i Michael poszli po pomoc lekarska. – Dostrzegla strach w oczach O'Neilla i dodala. – Bez obaw. To glupki, ale nie az takie. Sprowadza tu pewna kobiete. Byla kiedys pielegniarka rejonowa i jest w porzadku. Ma brata w Maze.**

**–Dzieki – odetchnal O'Neill.**

**Kobieta przysiadla na brzegu lozka. Bylo po niej widac, co przezyla w ciagu ostatnich kilku godzin.**

**–Napije sie pan herbaty? – zapytala cicho.**

**–Chetnie.**

**Maz gospodyni i jego brat wrocili w towarzystwie drobnej kobiety po piecdziesiatce. Miala ze soba sfatygowana, skorzana walizeczke.**

**–Connor McShane – przedstawil sie gospodarz. Wyciagnal reke i cofnal ja z zazenowaniem, kiedy zrozumial, ze O'Neill nie moze jej uscisnac. O'Neill skinal glowa. – To moj brat Pat. – Mlodszy mezczyzna usmiechnal sie. O'Neill znów skinal glowa. – A to pani O'Hara. Obejrzy panskie ramie.**

**–Bede wdzieczny – powiedzial O'Neill.**

Kobieta nie usmiechnęła się. Postawiła walizeczkę i zdjęła płaszcz. Pozostali cofnęli się. Zaczęła obcinać zakrwawiony rękaw koszuli, ale nie szło jej łatwo, bo nożyczki były tępe. O'Neill przyglądał się temu obojętnie. Bał się tylko, czy pocisk nie strzaskal kości.

–Poproszę wodę – odezwała się pielęgniarka. – Koszula przylepiła się do rany. Muszę ją odmoczyć.

Zona McShane'a wyszła z pokoju i po chwili wróciła z miską ciepłej wody.

–Będzie boleło – uprzedziła O'Hara i zaczęła odklejać materiał od ciała. Miała rację. O'Neill gwałtownie wciągnął powietrze. Popatrzył na skrzywione twarze obserwatorów tej operacji, potem na odsłoniętą ranę. Z lewego łokcia została krwawa miazga tkanki i kości. Ogarnęła go rozpacz.

Pielęgniarce opadły ręce. – Musi pan iść do szpitala. – Nie ma mowy – odparł. – Nie mogę zrobić nic więcej.

–To samo zawsze mówią na filmach, a potem wszystko jakos latają – zauważył O'Neill z wisielczym humorem.

Mina kobiety wyrażała jednocześnie cynizm i współczucie.

–Nie w pańskim wypadku. Ta ręka nadaje się tylko do amputacji.

Fakt, że zaledwie kilka godzin temu zamierzał popełnić samobójstwo, wydał mu się teraz bez znaczenia, skoro miał zostać kaleką. O'Neill wyobraził sobie pustą, zagiętą do góry rękaw przypięty szpilką która z czasem zardzewieje. I krotki kikut, kiedy będzie siedział spac, trzepoczący niczym bezużyteczne skrzydło pingwina.

W jego głowie rozpetano się piekło, ale nie dał po sobie nic poznać. Zauważył, że McShane wziął jego spokój za dowód męstwa. Odwrócił się z podnieceniem do brata.

–Widzisz! Mówiłem ci! Oni nawet z jedną ręką mogą dolożyć tym skurwielom Brytom!

McShane podszedł do łóżka i przykleknął jak przed ołtarzem.

–Mówię panu, jak zobaczyłem w tamtym zaułku, że szykuje się pan w pojedynkę na Brytow, byłem dumny jak nigdy w życiu!

O'Neill popatrzył na niego. Powiedzieć mu prawdę? Wyjawic, że na nikogo się nie szykował? Przyznać się, że miał zamiar palnąć sobie w łeb, bo życie to nie film z Johnem Wayne'em? Wyjasnić, że prawdziwa walka to zabawa dla zawodowców, nie dla romantyków? Że profesjonalisci kalkulują na zimno swoje szanse i nie kierują się

sercem? Ze rozważają czy lepiej zaryzykować, czy się wycofać? Uznał, że nie ma sensu niczego tłumaczyć. Niech mity o bohaterach rozkwitają w ludowych pieśniach. W końcu Anglicy mają telewizory.

–Może mnie pani na tyle opatrzeć, żebym mógł stąd wyjść? – zapytał pielęgniarkę.

–Zrobię, co się da, ale mogę tylko obandażować ranę i przykleić panu rękę do ciała. Założę opaskę uciskową, tylko niech pan pamięta, żeby ją od czasu do czasu rozluźnić, bo inaczej wda się zakażenie.

O'Hara przemyślała ranę i założyła opatrunek. O'Neill był wykonany, gdyż bolesny zabieg trwał piętnaście minut. Kobieta jakby celowo wyszukiwała najbardziej wrażliwe miejsca i dotykała kawałków kości. Rosła w nim złość na to, że nie ma siły się ruszyć.

–Musisz trochę odpocząć – oznajmiła gospodarzom, pakując walizeczki.

–Dobrze. A w nocy zabierzemy go, dokąd zechce – odrzekł McShane.

–Nie – zaprotestował słabo O'Neill. – Zrobiliście już dość. Zadzwońcie pod ten numer. – Wyrecytował cyfry z pamięci. – Powiedzcie, że paczka jest gotowa do odbioru, i odpowiedzcie na wszystkie pytania, jakie wam zadadzą.

–Może pan na nas liczyć – zapewnił McShane.

O dziewiątej wieczorem po O'Neilla przyjechali dwaj mężczyźni. Później ryzyko przypadkowej kontroli byłoby większe, ale o tej porze ruch na ulicach był w sam raz. McShane i jego brat stali po obu stronach drzwi jak wierni kibice obserwujący wyjście swojej drużyny z tunelu na boisko. O'Neill zatrzymał się i podziękował im.

–Dla wolnej Irlandii wszystko – powiedział niesmiało McShane.

–Tylko nie sprzedajcie tej historii gazetom – ostrzegł jeden z towarzyszy O'Neilla.

McShane rozesmiał się nerwowo, bo zrozumiał groźbę. Jego żona nawet się nie uśmiechnęła. O'Neill popatrzył na nią. – Pani też dziękuje.

–Proszę bardzo – odwróciła się i odeszła.

Granatowa furgonetka Bedford oderwała się od krawężnika.

–Nie możemy zawieźć pana do domu – oświadczył kierowca. – Bryty pana szukają. Zeszłej nocy zrobili u pana rewizję.

–A Kathleen?

–Panska siostra powiedziała im, że pan wyjechał na kilka dni, ale nie uwierzyli.



**–Wiec dokad jedziemy?**

**–Do Dlugiego Domu. Czeka tam na pana lekarz.**

**–Chce sie zobaczyc z Kathleen.**

**–To bedzie trudne. Bryty caly czas obserwuja panski dom.**

**–Wojsko?**

**–Kobieta spod siedemnastki ma nowego lokatora. Podobno pracownik stoczni. Wie pan, o co chodzi...**

**–Przynajmniej wiadomo, czego sie trzymac – powiedzial O'Neill.**

**–Sprobujemy cos zorganizowac, zeby panska siostra mogla sie wymknac z domu.**

**–Dzieki.**

**Dlugi Dom byl magazynem. Miescila sie w nim hurtownia agencji informacyjnej, ktora rozprawdzala na polnocy gazety, czasopisma i materialy papiernicze. Stanowil idealna kryjowke dla IRA, gdz furgonetki krazace tam i z powrotem przez cala dobe nie wzbudzaly podejrzen. Od dwoch lat rozlegle podziemia budynku z powodzeniem wykorzystywano do konspiracyjnych prac administracyjnych, spotkan na wysokim szczeblu, i w razie potrzeby, jako kwatery mieszkalne. Okolicznosci sprawily, ze teraz mial tu zamieszkać O'Neill.**

**Kiedy dwaj mezczyzni wprowadzili go do pokoju, lekarz juz czekal. Szorowal nad zlewem rece i przedramiona. Pacjenta ulozono ostroznie na stole.**

**Poniewaz wiedzial, ze za chwile ktos znów bedzie grzebal w jego ranie, O'Neill zapytal:**

**–Moze mi pan cos dac? Strasznie mnie boli.**

**–Za moment poczuje sie pan lepiej – odrzekl lekarz i wytarl rece. Wzial strzykawke. Lekkie uklucie, a potem ulga. Przyjemne doznanie, pomyslal O'Neill. Zrobilo mu sie cieplo i blogo. Unosil sie w stanie niewazkosci i nic go nie obchodzilo. Rzadko odczuwal tak wielki spokoj.**

**–No jak?– spytal lekarz.**

**–Co pan mi dal? Lekarz mu powiedzial.**

**–Ma swoj urok – przyznal O'Neill.**

**–Wie pan, ze trzeba amputowac reke?**

**–Tak. Pielegniarka mnie uprzedzila.**

**–Dzieciak kazal mi to zrobic tutaj. Przewiezienie pana do szpitala byloby zbyt ryzykowne, sam pan rozumie.**

**–Chce sie zobaczyc z siostra.**

**–Dzieciak zabronil. Dopiero potem.**

**–Potem moze byc za pozno. Dlatego chce ja zobaczyc przedtem.**

**–Dzieciak zabronil.**

**–Skurwiel – zaklal cicho O'Neill.**

**–Przejmuje dowodztwo po O'Donnellu – wyjasnil lekarz. – Teraz on jest najwazniejszy.**

**Finbarr Kell, w organizacji nazywany za plecami Dzieciakiem, przerazal O'Neilla, ktory od lat uwazal go za psychopate. Niewatpliwie mial jednak prawdziwe zaslugi w konspiracji, bez skrupulow pial sie w gore i wreszcie zostal dowodca. O'Neill nie znal czlowieka bardziej pozbawionego wspolczucia. Byl przekonany, ze Kell ma wrodzone sklonnosci do przemocy i nienawisci. W polaczeniu ze sprytem wielkomiejskiego szczura, ktorego mogliby mu pozazdroscic czlonkowie nowojorskich gangow ulicznych, i wrecz genialna przebiegloscia dawalo to niebezpieczna mieszanke. Kell wzbudzal lek w kazdym, kto go poznal.**

**Nienawisc, spryt i odwaga lwa uczynily z Dzieciaka zywa legende. Wmiescie glosno bylo o jego bohaterskich wyczynach, przynajmniej do dnia, gdy przedwczesnie wybuchla bomba, ktora podkladal. Eksplozja uszkodzila mu kregoslup i urwala obie nogi. Ale kalectwo przysporzylo mu tylko chwaly.**

**Od tamtej pory Kella wozono w specjalnym wozku, podobnym do dziecinnego, stad wzelo sie jego przyzwisko. Jesli Dzieciak kiedykolwiek posiadal choc odrobine przyzwoitosci, to wyzbyl sie jej po wypadku. Byl zimny i okrutny, budzil strach i odraze, ale zawsze go sluchano. O'Neill czarno widzial przyszlosc, wraz ze smiercia O'Donnella zabraklo bowiem jedyne go czlowieka zdolnego pohamowac Kella.**

**Kiedy znieczulenie zaczelo dzialac, przypomniał sobie ostatni rozkaz zabitego dowodcy.**

**Przez bezmiar otepiajacego bolu O'Neill slyszal glosy. Dochodzily z daleka. Wydawalo mu sie, ze jest na dnie studni, a ludzie mowia do niego z gory. Ale**

**rozroznial slowa.**

**–Moze nie przetrzymac nocy...**

**–Szok pooperacyjny w jego stanie to nie zarty...**

**–Jest strasznie slaby...**

**–Nie mamy krwi do transfuzji...**

**–Dzieciak zaraz tu bedzie, na wypadek gdyby odzyskal przytomnosc.**

**–Co z jego siostra? – Dzieciak sie nie zgadza.**

**O'Neill chcial otworzyc oczy, ale nie mogli. Skoncentrowal sie i nic. To smieszne. Jest przytomny, a cialo go nie slucha. Czul tylko bol w lewym ramieniu, ktorego juz nie mial. Moze umarl? Nie, jednak zyje. Co za cholerne rozczarowanie! Tkwi uwieziony w bezuzytecznej kupie miesa. Dobry Boze, w ten sposob moglby przezyc wlasny pogrzeb! Uslyszec salwe honorowa, grudki ziemi spadajace na wieko trumny. Potem wieczna cisza. Czarna pustka, nicosc. A on ciagle by istnial!**

**Jego umysl zbuntowal sie gwaltownie przeciw takiej sytuacji. Prawa strona ciala zaczela drzec. Dreszcze wyzwolily go z potrzasku. Wyplynal na powierzchnie niczym babel powietrza z dna stawu. Otworzył oczy.**

**–Doktorze! – powiedzial ktos. – Odzyskuje przytomnosc.**

**Cien przeslonil swiatlo.**

**–Jak sie pan czuje? – zapytal lekarz.**

**–Szybciej! – przynaglil chrapliwy glos. – Musze z nim pogadac.**

**O'Neill rozpoznał Finbarra Kella. Sprobował sie odezwac, ale wargi odmowily mu posluszenstwa. Znow spadal w czarna otchlan. Lecial w dol bez konca. Moze na dnie wreszcie bedzie widno? Slonce, trawa, kwiaty... Byloby przyjemnie...**

**O'Neill byl nieprzytomny przez prawie dwa dni. Znacznie uszczuplona ilosc krwi z trudem dostarczala organizmowi potrzebny zapas tlenu. Trzeciego dnia kryzys minal i poczul sie lepiej. Wieczorem do Dlugiego Domu przyjechal Kell. O'Neill uslyszal pisk kol jego wozka. Nelligan, adiutant Kella, wtoczyl szefa do pokoju i ustawil przy nogach lozka.**

**Mezcyzni dlugo patrzyli na siebie bez slowa. O'Neillowi zawsze sie zdawalo, ze Kell ma za duza glowe. Podejrzewal jednak, ze to tylko zludzenie, ktore wywoluje beznogi tulow. Mimo to mial wrazenie, ze widzi dokladnie kazdy por na bladej twarzy pod lysa**

czaszka. Zimne oczy powiększały mocne okulary bez ramki.

–Trudno, Martin... – przemówił Kell, patrząc na obandazowany kikut O'Neilla. – Wychodzi na to, że nawet intelektualista musi czasem coś poświęcić dla sprawy, no nie? – Własny dowcip wyraźnie go ubawił.

–Nie jestem intelektualista, Finbarr.

Kell uśmiechnął się złowrogo.

–Jestes – powiedział cicho. – Masz tyle książkowej wiedzy... Jasne, że jestes.

O'Neill milczał.

–Co poszło nie tak? – zapytał Kell.

–Bryty wiedzieli, że przyjdziemy. Czekali na nas.

–Skurwysyny! – wypalił Kell. – Ktos sypnął?

–Na to wygląda – przyznał O'Neill.

–Domyslasz się kto?

–Nie.

–Znajde skurwiela, choćbym miał zdechnąć! O'Neill w to nie wątpił. Kell zmienił temat:

–A na razie potrzebuje kluczy do sejfu. Wiesz, gdzie są?

–Nie – skłamał O'Neill. Musiał dotrzymać obietnicy, zanim je odda. – Sprawdzales w pokoju O'Donnella?

Kell popatrzył na niego jak na niedorozwiniętego umysłowo.

–A jak myślisz? Jasne! – parsknął.

–Znajda się – uspokoił go O'Neill.

–Na pewno – odparł Kell. Przeszył O'Neilla takim spojrzeniem, że aż ciarki przeszły mu po plecach.

–Chciałbym się zobaczyć z siostrą – powiedział O'Neill.

–A tak. Z panią nauczycielką. – Kell uśmiechnął się i O'Neill pomyślał, że z

usmiechem na twarzy wyglada jeszcze grozniej. – Nie chce, zeby tu przyjezdzała. Za duze ryzyko.

–Slyszalem, ze Bryty maja wtyke na mojej ulicy.

–Raczej mieli. Wyciagarka liny cumowniczej wkrecila mu w porcie ramie. Rozerwalo go na pol. – Kell wyszczerzyl zeby.

–Co ze mna bedzie? – spytal O'Neill.

–Pojedziesz do domku w Cladeen. Tam jest bezpiecznie. Spotkasz sie z siostra. Zaopiekuje sie toba.

–Dzieki.

–Dla moich ludzi wszystko, Martin.

Rano lekarz zmienil O'Neillowi opatrunek. Byl zadowolony. Uznal, ze niebezpieczenstwo zakazenia minelo. Radzil, zeby pacjent zostal jeszcze dzien w Dlugim Domu. O'Neill uparl sie, ze chce zaraz jechac do Cladeen, i w koncu lekarz ustapil. Niewygodna podroz w furgonetce do rozwozenia prasy trwala trzy godziny, ale O'Neill cieszył sie na mysl o swiezym powietrzu i wiejskim spokoju.

Dojechali na miejsce pod wieczor. Ochlodzilo sie. Kiedy skrecili w boczna droge, O'Neill zobaczyl dym unoszacy sie z komina domku stojacego nad woda. Waski trakt wil sie w kierunku jeziora. Samochod zaczal podskakiwac na wybojach i O'Neill kazal kierowcy stanac. Dalej wolal isc, zeby nie nadwerezyc pozostalosci po amputowanym ramieniu. Furgonetka zawrocila i odjechala. O'Neill skinal kierowcy na pozegnanie i ruszyl przed siebie. W drzwiach czekala Kathleen. Wyszla mu naprzeciw.

–Wrociles.

–Przynajmniej w wiekszej czesci. – O'Neill wskazal wzrokiem obandazowany kikut.

Z oczu Kathleen poplynely lzy. – Przystan – powiedzial cicho.

Podeszla blizej i oparla glowe na jego piersi.

–Wiedzialam, ze to sie tak skonczy, caly czas wiedzialam. Weszli do srodka. O'Neill usiadl. Kathleen zrobila herbate.

–A moze wolisz cos mocniejszego? – zapytala.

–Wystarczy herbata. Przygladala mu sie, kiedy pil. – Teraz sie wycofasz, prawda? Wzruszyl ramionami.

**–W organizacji nie przechodzi się na emeryturę, przecież wiesz. Nie dostaje się na pożegnanie tosterów, roz i życzeń wszystkiego najlepszego. To zobowiązanie na całe życie albo do zwycięstwa.**

**–Zobowiązanie polityczne! Chodzi mi o to, że powinieneś zejść z pierwszej linii. Zwłaszcza, że teraz rządzi Kell.**

**–Już wiesz?**

**–Cały Belfast już wie. – Jestem zmęczony.**

**–Odpocznij. Później porozmawiamy.**

**Temat "emerytury" O'Neilla powrócił podczas wieczornego spaceru nad wodą.**

**–Myślałaś o tym, co mówiłam? – zapytała Kathleen.**

**–Tak. – No i?**

**–Muszę jeszcze coś załatwić.**

**–Z tobą tak zawsze! – rozszalała się Kathleen. – Co to za życie? Myślisz, że bawi mnie bycie siostrą Martina O'Neilla? Myślisz, że bawi mnie naloty żołnierzy na mój dom, kiedy tylko im się spodoba? Myślisz, że bawi mnie samotność, bo przez ciebie tracę każdego faceta, którego poznam? Myślisz, że bawi mnie szeptanie matek za moimi plecami, co to za kobieta uczy ich dzieci? Tak myślisz?!**

**O'Neilla zaskoczył ten wybuch.**

**–Myślałem, że rozumiesz – odrzekł spokojnie. Spojrzała na niego. Trzymał się za kikut. Złagodniała.**

**–Rozumiem. Ale już wystarczy. Dalej tak nie może być. Jesteś ka...**

**–Kaleka? – dokończył.**

**–Tak, kaleka – powiedziała cicho. – Zrobiles swoje. Czas z tym skończyć.**

**–Może masz rację – przyznał.**

**–Mówisz poważnie?**

**–Naprawdę mam jeszcze coś do załatwienia. Muszę wykonać ostatni rozkaz O'Donnella. Obiecałem mu. Tobie też obiecuje, że potem koniec.**

**–Co to za rozkaz? – Lepiej, żebyś nie wiedziała.**

O'Neill wyciągnął reke spod koldry i spojrzal na zegarek z bolesna swiadomoscia, ze teraz musi go nosic na prawym nadgarstku. Wygial dlon, zeby dostrzec godzine w swietle ksiezycyca wpadajacym do sypialni. Trzecia nad ranem. Nie mogl spac, za duzo mysli klebilo mu sie w glowie. Najwazniejszym problemem byl sejf w Dlugim Domu. Jak wyjac stamtad koperte? Wstal, podszedl cicho do okna i zapatrzył sie na jezioro.

Czy zawartosc koperty pomoze mu zrozumiec istote rozkazu? Daj Boze, bo w zadnym wypadku nie moglby go wykonac, nie wiedzac po co.

Musial znac powod, dla ktorego O'Donnell wydal rozkaz. Musial byc przekonany o jego slusznosci. Inaczej nic z tego. Nigdy nie wierzył w dobre intencje przelozonych. Wiele lat temu odkryl, ze wojsko nie jest dla niego. Stwierdzil u siebie wrodzona slabosc charakteru i od tamtej pory czul sie niepewnie podczas akcji. Stojac teraz w blasku ksiezycyca, przypomnial sobie tamten dzien. Dzien zasadzki.

Razem z szescioma innymi wracal z akcji w poblizu granicy. Szli do swojej kryjowki na farmie. Jak zwykle podchodzili bardzo ostrocznie, na wypadek zasadzki.

Kazal ludziom zaczekac i poszedl samotnie na zwiady. Kiedy lezal w wysokiej trawie i obserwowal zabudowania, na podworze wybieglo male dziecko. Cieklo mu z nosa i mialo pelna pieluche, z trudem przebieralo koslawymi nozkami. O'Neill spodziewal sie, ze za chwile dogoni je matka. Ta jednak nie pokazala sie, tylko zaczela nawolywac dziecko z wnetrza domu. W jej glosie brzmial wyrazny strach. O' Neill zrozumial: nie byla sama.

Nagle w drzwiach pojawil sie oficer brytyjskich spadochroniarzy. Puscil sie pedem przez podworze i zlupal dziecko. Odwrocil sie i wtedy zobaczyl wycelowana w siebie bron O'Neilla. Zamarl w pol kroku. Ich oczy spotkaly sie. O'Neill polozyl palec na spuscie, ale nie strzelil.

Oficer myslal zapewne, ze O'Neill zwleka ze wzgledu na dziecko. Ale nie uzyl go jako tarczy – postawil je na ziemi i odsunal sie. Stal i czekal na smierc. Jego prosty, ludzki gest nie uszedl uwagi O'Neilla. Opuscil bron i pokazal Anglikowi lufa, zeby dokonczyl, co zaczal. Oficer zrobil zaskoczona mine, potem lekko skinal glowa. Wzial dziecko na rece i zanosl do domu. O'Neill wrocil do swoich i powiedzial, ze kryjowka jest spalona. Czlowieczienstwo czy slabosc? O'Neill od lat nie potrafil sobie odpowiedziec na to pytanie.

### 3

W sobote rano Avedissian siedzial w holu recepcyjnym "Brecon Inn". Czul sie niepewnie. Nie wiedzial, po co tu jest ani na kogo czy na co czeka. Wlasnie po raz trzeci musial powiedziec troskliwemu czlonkowi personelu, ze ma sie tutaj z kims spotkac. Ale kto to bedzie? Sarah Milek? Sir Michael? Ktos nowy?

Piec po dziesiątej przed wejściem zatrzymała się taksówka. Kierowca wszedł do hotelu. Powiedział coś do recepcjonisty i obaj spojrzeli na Avedissiana. Taksowkarz podszedł do niego.

–Pan Avedissian?

–Tak. Wyszli.

Jazda trwała około poł godziny. Avedissian był zaskoczony, kiedy kierowca nagle oświadczył, że są na miejscu.

–Llangern Farm, koniec trasy.

Zatrzymali się na jakimś pustkowiu. Avedissian wyciągnął portfel, ale usłyszał, że już ktoś zapłacił za kurs. Mimo to dał kierowcy funta i wysiadł. Taksówka zawróciła i odjechała do miasta.

Było gorąco i cicho. W żywopłotach brzęczały owady. Avedissian chciał usiąść na trawie, ale coś mu mówiło, że lepiej pozostać widocznym. Rozluźnił kołnierzyk i zaczął spacerować tam i z powrotem. Najpierw robił dziesięć kroków w każdą stronę, później z nudów chodził coraz dalej.

Po dziesięciu minutach usłyszał silnik samochodu. Popatrzył na drogę, ale nic nie nadjeżdżało ani z lewej, ani z prawej. Dopiero po chwili zorientował się, że hałas zbliża się z innego kierunku. Przez pola brnął mały, wojskowy pojazd. Zatrzymał się przy nim. Za kierownicą siedział sierżant w koszuli z krótkimi rękawami. – Pan wsiada, sir.

Głośny silnik landrovera uniemożliwiał rozmowę, toteż Avedissian milczał i podziwiał krajobraz. Musiał się mocno trzymać, żeby nie spaść z siedzenia, bo samochód podskakiwał na wrzosowiskach Breconu.

Trudno mu było ocenić, ile przejechali. Podejrzewał, że około pięciu kilometrów. W końcu wydostali się na drożkę prowadzącą do ledwo widocznej w iglastym zagajniku bramy. Kierowca zwolnił.

–Domyslam się, że dojechalismy? – zapytał Avedissian.

–Tak jest. To Llangern House – odparł sierżant.

Dom był imponująco wielki i wyglądał na dziewiętnastowieczny. Avedissian przez chwilę zastanawiał się, kto go tu zbudował i po co. Miał jednak na głowie ważniejsze problemy i o nic nie pytał. Sierżant wziął z samochodu jego rzeczy i ruszył przodem. Weszli do środka.



Przywital ich mlody kapitan wojsk ladowych. Nie nosil odznak pulkowych, podobnie jak sierzant.

–Pewnie jest pan ciekaw, o co chodzi? – zagadnal Avedissiana.

–Owszem.

Uscisneli sobie rece i usiedli.

–To proste – wyjasnil oficer. – Odzyska pan tutaj kondycje. Zdziwiony Avedissian powtorzyl to zdanie jak echo. Kapitan usmiechnal sie.

–Tak. Wie pan, odrobina biegania, nieco chodzenia po wzgorzach, troche cwiczen, te sprawy. Ogolna poprawa sprawnosci fizycznej.

–Jestem lekarzem, nie pilkarzem – zaprotestowal Avedissian.

–Naprawde? – zdumial sie oficer. – Nie wiedzialem. Mowili, ze jest pan bylým spadochroniarzem.

–Bylem nim dawno temu.

–No coz. Nie szkodzi. To tak jak z jazda na rowerze. Nigdy sie tego nie zapomina.

Avedissian byl innego zdania, ale nie odezwal sie.

–Mamy tu wszystko. Prawie jak w sanatorium. Prawda, sierzancie?

–Tak jest, sir. Dokladnie.

Avedissian poczul rosnacy niepokoj.

–A teraz, sierzancie, moze zaprowadzicie pana... przepraszam, doktora Avedissiana do jego kwatery? – Kapitan zwrocil sie do Avedissiana. – Gdy juz sie pan rozgosci, chcielibysmy skierowac pana do naszego lekarza. Macie ze soba wiele wspolnego, skoro obaj jestescie medykami.

Avedissian rozpakowal niewielka torbe podrozna i ulozyl rzeczy w szafce przy lozku. W glebi ukryl butelke dzinu. Byl zly. Mial nadzieje, ze dzis dowie sie czegos o swojej nowej pracy, ale teraz wydawalo mu sie to malo prawdopodobne. Wyslali go na jakis cholerny oboz letni!

Zszedl po schodach. Na dole czekal sierzant.

–Prosze za mna sir.

Avedissian posłusznie podreptał za nim. Doszli do oszklonych drzwi z napisem "Lekarz jednostki wojskowej". Sierżant zapukał, odsunął się i przepuścił Avedissiana. Sam stanął z tyłu.

–Pan... eee... doktor Avedissian – zameldował i wyszedł.

–Nie wiedziałem, że jest pan lekarzem – powiedział mężczyzna urzędujący w gabinecie.

–Juz nie jestem. Byłem – odrzekł Avedissian. – Rozumiem. Jeden z tych, co...

–Niezupełnie – przerwał chłodno Avedissian. – Nieważne. Proszę się rozebrać.

Avedissian zdjął ubranie i zaczął odpowiadać na pytania. Lekarz wpisywał wszystko do dużego, różowego formularza. Avedissian domyślił się, że chodzi o ocenę jego obecnej sprawności fizycznej.

–Gra pan w coś? – Nie.

–Biega pan? – Nie.

–Cwiczy pan? – Nie.

Lekarz skończył wpisywać odpowiedzi.

–No dobrze. Czas się panu przyjrzeć.

Teraz na biurku znalazł się żółty formularz. Wzrost, waga, ciśnienie krwi, tetno, wydolność płuc, obwód klatki piersiowej... – Nosi pan okulary?

–Do czytania.

–No tak, wiek robi swoje.

–Właśnie – przyznał ponuro Avedissian.

Lekarz skończył badanie, wypełnił formularz do końca i odłożył na bok. Zaplotł ręce na piersi.

–Szczerze mówiąc, jest pan wrakiem, Avedissian. Co pan ze sobą zrobił, do cholery?

Avedissian wzruszył ramionami. Nie odpowiedział.

Lekarz go wyreczył.

**–Gorzala. Wszystko jednak mozna jeszcze naprawic. Wystarczy troche cwiczen i porzadna dieta. Moze pan isc.**

**Avedissian ubral sie. Kiedy znalazl sie przy drzwiach, lekarz zapytal:**

**–Przywiozl pan tutaj jakis alkohol?**

**–Nie – sklamal Avedissian i wyszedl. Mial coraz gorszy humor. Sierzant czekal na korytarzu. Zaprowadzil go do kwatermistrza. Ekwipunek nie poprawil Avedissianowi nastroju. Wydano mu trzy komplety wojskowej odziezy roboczej, ubranie nieprzemakalne, dwie pary butow, noz, kompas, mapnik i menazki.**

**–Jezeli bedzie pan jeszcze czegos potrzebowal, dostanie pan – poinformowal sierzant.**

**Avedissian juz zdazyl sie zorientowac, ze glowny nacisk kladzie sie tu na sprawnosc fizyczna. Mial zle przeczucia. Wcale go nie uspokajaly sformulowania "troche cwiczen" albo "odrobina tego czy tamtego". Celowe wojskowe niedomowienia. Ludzie o takiej mentalnosci okreslali druga wojne swiatowa jako "nieco kłopotliwa". Stal sie podejrzliwy.**

**Sierzant odprowadzil go z powrotem do kwatery i szybko odszedl. Avedissian rozwalal swoja sytuacje. Czy ma jakis wybor? Nie jest w wojsku. Nie moga go do niczego zmusic. Moze sie stad wyniesc, kiedy tylko zechce. Teoretycznie. W praktyce sprawa nie wygladala wcale tak prosto. Jesli stad wyjdzie, znow bedzie czlowiekiem bez pracy, bez perspektyw i bez przyszlosci. Niezbyt pociagajace. Lepiej na razie zostac i miec nadzieje, ze bedzie dobrze.**

**Zgodnie z instrukcja o siodmej zszedl na kolacje i spotkal sie z innymi. Podobnie jak on, wszyscy byli w ciemnozielonych kombinezonach. Do kieszeni na lewej piersi mieli przypiete plakietki z nazwiskami. Do Avedissiana podszedl krotko ostrzyzony, wysoki mezczyzna.**

**–Paul Jarvis. Bedziemy razem pracowac.**

**Uscisneli sobie rece. Avedissian nabral podejrzen, ze jego najgorsze przeczucia sie sprawdza. Jarvis mial okolo dwudziestu pieciu lat i wygladal na typowego twardziela. Avedissian modlil sie w duchu, zeby wspolna praca nie oznaczala wzajemnego nieufnosci.**

**Wysoki, szczuply major powital zebranych w Llangern i przedstawil szescioosobowy personel. Poinformowal, ze do przelozonych nalezy sie zwracac, wymieniajac tylko ich stopien. Zaznaczyl, ze wprowadzie obowiazuje wojskowa dyscyplina, ale ograniczona do minimum i niektorzy uczestnicy kursu moga liczyć na taryfe ulgowa. Avedissian mial nadzieje, ze on tez. Rozejrzal sie. Otaczalo go dwadziescia osob, w tym piec kobiet. Wszyscy wygladali mlodziej od niego.**

**–O ile wiem, był pan spadochroniarzem? – zagadnął Jarvis, gdy zasiedli do jedzenia.**

**–Dawno temu i niezbyt długo – odrzekł Avedissian. Życzył sobie, by ludzie wreszcie przestali przypominać mu wojskową przeszłość.**

**–A potem został pan lekarzem?**

**–Tak. – Avedissian pomyślał, że skoro Jarvis tyle o nim wie, to może zna powód jego pobytu tutaj. – Wie pan o mnie sporo, ale ja o panu nic – zauważył.**

**–Właściwie nie ma o czym opowiadać. Mam dwadzieścia sześć lat i skończyłem historię na uniwersytecie w Leeds. Jestem oficerem liniowym w Królewskiej Piechocie Morskiej.**

**–Czyli komandosem?**

**–Tak.**

**–Wiem co pan tu robi, na Boga? Chyba nie potrzeba panu "trochę ćwiczeń", jak tutaj mówią?**

**Jarvis uśmiechnął się.**

**–Mnie nie, ale panu tak. Dlatego tu jestem. – Na widok miny Avedissiana uśmiechnął się szerzej.**

**Avedissian był teraz pewien, że jego najgorsze obawy się sprawdzają. Oto przydzielono mu komandosów z marines, którzy dadzą prawdziwy wycisk.**

**–To trochę śmieszne – zaprotestował. – Jestem lekarzem i mam trzydzieści siedem lat!**

**–Jak James Bond – zauważył Jarvis.**

**–Słucham?!**

**–James Bond, ten agent z książek. On też miał trzydzieści siedem lat. Avedissian stracił nadzieję, że wzbudzi litość. Zmienił temat.**

**–Po co to wszystko?**

**–Wiem tyle, co pan – odparł Jarvis. – Zostałem przydzielony do zadania specjalnego. Ale powiedziano mi tylko, że mam popracować nad pewnym lekarzem, byłym spadochroniarzem, który trochę zardzewiał i trzeba go doprowadzić do odpowiedniej formy.**

**–To znaczy? – zapytał z niepokojem Avedissian.**

**–Bez obaw – usmiechnął się Jarvis. – Nikt nie zamierza wyszkolic pana na zimnego zaboje, który potrafi wykonać człowieka jednym kopniakiem. Mam rozkaz dopilnować, żeby umiał pan znosić ciosy złośliwego losu i czasem się odgryźć, jeśli to konieczne.**

**Po jedzeniu major wstał. Poleciał, żeby wszyscy poszli wcześniej spać. Dodał, że trzeba tak ułożyć ubrania, by móc je włożyć w zupełnej ciemności. Jeśli będzie alarm, wszyscy mają być "na paradzie" w holu po dwóch i pół minuty.**

**–Sa pytania?– zakończył. Ktoś zapytał, o której pobudka.**

**–Może być w każdej chwili – padła odpowiedź. Rozległy się słabe śmiechy.**

**Jarvis miał pokój obok Avedissiana. Kiedy się pożegnali, Avedissian zamknął drzwi i natychmiast sięgnął do szafki po dzin. Ale butelka zniknęła. W pierwszej chwili był wściekły, potem usmiechnął się krzywo. Tym problemem już ktoś się zajął.**

**Leżał w łóżku z rękami pod głową i patrzył na księżyc w pełni. Sen nie nadchodził, ale nie martwił się tym. Było mu wygodnie i dobrze się czuł w świeżej, chłodnej pościeli. W bladej poświacie widział przepisowo ułożone ubranie. Na moment zamknął oczy, żeby sprawdzić, czy pamięta, gdzie są poszczególne części odzieży. Okazało się, że tak.**

**Księżyc schował się za okienną ramę i Avedissiana ogarnęła senność. Na pogodnym niebie mrugały gwiazdy i rysowały się szczyty walijskich gór. Noc była cicha i spokojna. Wtedy odezwał się alarm.**

**–Harczerzyki, cholera jasna! – mruknął Avedissian, wciągając po ciemku ubranie. Poszło mu łatwo dzięki temu, że jeszcze nie zasnął i że przez okno wciąż syczała się księżycowa poświata. Zbiegł do holu i przyłączył się do reszty. Jarvis już tam był i skinał mu głową.**

**Niektórzy stali wyprezeni na baczność i patrzyli w przestrzeń, jakby widzieli tam Gwiazdę Betlejemską. Avedissian przyjął bardziej swobodną pozę. Jarvis usmiechnął się pod nosem.**

**–Dzień dobry – powiedział kapitan i zerknął na zegarek. W drzwiach pojawili się ostatni maruderzy. Jedna z dziewczyn trzymała w ręce prawy but.**

**–Nie mogłam rozwiązać supełu – wyjaśniła niesmiało. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.**

**–Przy wyjściu znajdziecie swetry i skafandry – poinformował oficer. – Idziemy na**

spacer.

Początkowo szybki marsz był całkiem przyjemny. Avedissian z zadowoleniem wdychał zimne, nocne powietrze. Czuł, że poprawia mu się krążenie. Po przeszło trzech kilometrach kapitan oznajmił:

–Wystarczy. Teraz kawalek pobiegniemy.

Przyjemność się skończyła. Avedissian oddychał z coraz większym trudem. Bolały go płuca. Ze złości zauważył, że Jarvis nie ma tych problemów.

–Nie zostawac! – krzyknął sierżant, kiedy rząd biegaczy zaczął się rozciągać. Avedissian ambitnie walczył o przedostatnie miejsce, ale przegrał. Jednak okrzyki podoficerów i doping Jarvisa dodały mu siły. Trochę przyspieszył. Już prawie dogonił grupę, kiedy padła komenda, by przejść do marszu. Jarvis zapytał, jak się czuje, ale Avedissian nie był w stanie odpowiedzieć. Ledwo dyszał.

"Spacer" zakończył się wspinaczką. Wdrapali się górkim szlakiem na szczyt o wysokości czterech tysięcy osmiuset metrów. Po dotarciu na górę Avedissian się rozchorował. Odlączył od grupy, opadł na ręce i kolana i podpełzał za skałę, żeby wymiotować. Pozostał na czworakach, dopóki całkiem nie opróżnił żołądka i nie odzyskał równego oddechu.

Rozwidniło się. Avedissian zawsze uważał nastanie świtu za bardzo osobiste przeżycie. Jak większość ludzi rzadko oglądał wschód słońca, toteż dobrze pamiętał te nieliczne okazje. Cieszył się, że wszyscy milczą bo słowa zachwytu nie były potrzebne. Stał samotnie na skalnym występie i patrzył, jak pada na niego czerwony blask. Czuł smutek.

Do Llangern House wrócili o szóstej trzydziestej. Wzięli gorący prysznic i zjedli śniadanie. Potem wysłuchali wykładu o nawigacji i czytaniu map. Avedissian wciąż się zastanawiał, kim są uczestnicy kursu. Wszyscy zdawali się wiedzieć podstawowe rzeczy, ale poza tym bardzo się różnili poziomem wiedzy. Cywile? Personel wojskowy? Czy każdy odbywa to szkolenie w tym samym celu? Po południu grupa rozeszła się do różnych zajęć, więc wyglądało na to, że nie.

Avedissian, Jarvis i sześciu innych mężczyzn poszli do sali gimnastycznej. Pod okiem dwóch podoficerów wykonywali serie ćwiczeń i zaczęli od początku. Po trzech rundach Avedissian musiał zwrócić lunch. Tak długo marudził w toalecie, że przyszedł po niego podoficer, który dobrze znał takie reakcje. Obiecał, że pozwoli mu odpocząć... po dwóch następnych rundach.

Zajęcia zakończyły się o siódmej wieczorem. O osmej Avedissian był w łóżku. Nie zmęczony tak od czasów podstawowego szkolenia w Pulku Spadochroniarzy. Przypomniawszy sobie, że też odbywało się w Walii.

Następny dzień zaczął się o piątej i nie różnił się wiele od poprzedniego. Rano ćwiczenia, potem śniadanie i wykłady. Po lunchu znowu ćwiczenia. Tym razem Avedissian, Jarvis i trzech inni trenowali walke wrecz. Jarvisowi nie było to potrzebne, jak szybko zauwazyli instruktorzy, ale Avedissianowi owszem. Spędził tyle czasu w powietrzu, że zaczął się zastanawiać, czy nie wstąpić do lotnictwa. Przynajmniej nauczyłby się prawidłowego lądowania.

–Troche zardzewielismy, panie Avedissian? – zagadnął podoficer, po raz kolejny wyrzucając go do góry. – Nigdy nie miałem cierpliwości do skoczków.

Avedissian upadł.

–Zawsze uważałem, że się przeceniają. Twarde lądowanie.

–Niektorzy mówią, że to banda pedałow. Twarde lądowanie.

Avedissian miał dość tej przygody miłosnej z matą. Podoficer zaczął działać mu na nerwy. Był zbyt pewny siebie i arogancki. Choć nie bez powodu, to musiał przyznać. Ale może czas dać mu naukę? Podniósł się chwiejnie, udając bardziej zdezorientowanego, niż był. Instruktor znowu zaatakował. Avedissian w ostatniej chwili zrobił unik i kopnął go w splot słoneczny.

Mezyczyna upadł. Avedissian w mgnieniu oka skoczył na niego, przydusił przedramieniem i unosił pięść do ciosu.

–I o to mniej więcej chodzi, sir – uśmiechnął się podoficer. – Wracamy do formy?

Jarvis nagrodził Avedissiana oklaskami.

–Najwyższy czas. Już myślałem, że pozwoli pan zrobić z siebie kule do kregli.

W czwartek ogłoszono, żeby w nocy nie obawiać się alarmu, bo nazajutrz zaczyna się "faza druga" kursu. Licząc na to, że się wyspi, Avedissian zrezygnował z pojscia do łozka o osmej. Zszedł do czytelnicy i przyłączył się do Jarvisa.

Jarvis odłożył książkę i zapytał go o wrażenia po pięciu dniach. Avedissian przyznał, że nie jest źle. Od dawna nie czuł się lepiej. Tylko pierwsze dwa dni były straszne.

–Ale pan się musi nudzić? – zapytał.

–Wcale nie – zaprzeczył Jarvis. – Przygotowania do operacji nigdy mnie nie nudzą. Zna pan to powiedzenie, że niecierpliwe oczekiwanie jest bardziej emocjonujące od realizacji?

**–Wiec bral pan juz udzial w zadaniach specjalnych?**

**Raz.**

**–Moze pan o tym opowiedziec? – Nie.**

**–Glupie pytanie – stwierdzil Avedissian i Jarvis sie usmiechnal. – A co pan moze powiedziec? – zapytal Avedissian.**

**–Poza tym prawie wszystko. Kiedy mialem czternascie lat, moi rodzice sie rozeszli. Wychowywalem sie u ciotki w Kumbrii. Nic ciekawego. Ciotka chyba za mna nie przepadala. I ja za nia tez nie, prawde mowiac. Ale zadbala, zebym skonczyl szkole, i za to jestem jej wdzieczny. Z pieniędzmi bylo krucho, wiec potem wystapilem o wojskowe stypendium na kontynuowanie nauki na uniwersytecie. Przyznali mi je. Krolewska Piechota Morska placila mi stypendium, kiedy studiowalem, bo zobowiazalem sie sluzyc u nich po dyplomie. Korzystny uklad dla obu stron.**

**–Ciotka musi byc z pana dumna.**

**–Nie zyje.**

**–A rodzice? – Tez.**

**–Jest pan zonaty? – wypytywal dalej Avedissian.**

**–Zareczony. Poznalismy sie na uniwersytecie. Ma na imie Annie i jest biologiem. Robi teraz doktorat w Edynburgu.**

**–Pewnie nie widujecie sie zbyt czesto?**

**–Nie jest tak zle. Normalnie stacjonuje na okrecie wojennym "Condor" w Arbroath. To nie tak daleko od Edynburga.**

**–Chyba ze jest pan na wakacjach w Walii.**

**–Zgadza sie – przytaknal z usmiechem Jarvis.**

**W piatek rano kursanci zebrali sie w bibliotece. Major krotko wyjasnil, na czym polega "faza druga". Ku przerazeniu Avedissiana chodzilo o szkole przetrwania. Powinni umiec przezyc na zupelnym odludziu, wsrod nieprzyjaznej przyrody. Niewielu z nich bedzie to naprawde potrzebne, ale taka zaprawa kazdemu sie przyda, zapewnil major. Tak sobie zyczyli ci, ktorzy przyslali ich na kurs.**

**–Czy to znaczy, ze jestesmy tu z roznych powodow? – nie wytrzymal Avedissian.**

**–Dlaczego pan pyta?**



**–Bo ja osobiscie nie mam pojecia, co bede robil po tym kursie. Czy tak samo jest ze wszystkimi?**

**–Ani ja, ani tutejszy personel nie wiemy, po co was tu przyslano – odparl major. – Moze ktos wie, dlaczego tu przyjechal? – rozejrzal sie po sali.**

**–Ja wiem – odezwal sie jeden z mezczyzn. – To zadna tajemnica. Zostalem przydzielony do Kwatery Glownej NATO w Brukseli jako asystent admiral'a sir Johna Sharpe'a.**

**–Jestem pielegniarka wojskowa – wyjawila jedna z kobiet. – Mam nadzieje wyjechac na Borneo z ekspedycja polaczonych sluzb.**

**Dwaj instruktorzy RAF-u zdradzili, ze sa tu na szkoleniu uzupelniajacym.**

**–To chyba wystarczy panu za odpowiedz? – zapytal major.**

**Wystarczylo. Ale niewiele pomoglo.**

**Avedissian mial wrazenie, ze walijskie gory go nie lubia. Czasami trafil nadzieje, ze kiedykolwiek przestanie padac. Ludzie mieszkajacy w domach i jadajacy normalne posilki szybko stali sie dla jakims odleglym podgatunkiem, ktoremu nawet w najgorszych koszmarach nie snilo sie, ze mozna egzystowac tak jak on i reszta grupy. Wiodl zycie pelne niewygody, wiecznie byl glodny, nigdy nie mial suchego ubrania i ciagle marzly mu nogi. Jedyny cel istnienia sprowadzal sie do przetrwania kolejnego dnia.**

**Chwilami trafil poczucie czasu, gdy bez konca wedrowali po szczytach i dolinach Breconu niczym zagubione owce. Liczyly sie teraz umiejetnosci rozpalania ognia, zbierania drewna, lapania krolikow w sidla. Od tego zalezaly stosunki w grupie. Avedissian mial te przewage, ze towarzyszył mu Jarvis. Korzystal z okazji i szybko sie uczyl. Polubil Kumbryjczyka, bo komandos nigdy nie przecenial wlasnych mozliwosci, co znamionowalo prawdziwego zawodowca.**

**Avedissian lezal w wykopanej jamie pod dachem z paproci. Cieszył sie, ze wreszcie nie pada. Ziemia jeszcze pachniala wilgocią, ale na pogodnym niebie już mrugały gwiazdy. Wiatr prawie ustal. Zdjął buty i rozmasował stopy. Czysta przyjemność. I nawet nie jest tak zimno.**

**Noc to pora astronomów i filozofów Avedissian nie był ani jednym, ani drugim, ale zaczął rozpamiętywać swoje życie. Pobyt w Llangern uspokoił go psychicznie. Widział teraz przeszłość wyraźniej.**

**W opinii ludzi był przegrany – nie powiodło mu się w dwóch zawodach. Wydawało się, że nie będzie miał trzeciej szansy. Kariera wojskowa zakończył na irlandzkiej**

farmie, kiedy zasmarkane dziecko okazało się dla niego ważniejsze od zasadki, która planowali z całym plutonem od tygodni. Avedissian wiedział, że tamtego dnia powinien być zginac, ale Irlandczyk darował mu życie i w ciągu kilku sekund całkowicie zmienił jego sposób myślenia. Odszedł z wojska i zaczął studiować medycynę.

Lubił to. Wcale mu nie przeszkadzało, że jest trzy lata starszy od kolegów, raczej pomagało. Miał więcej życiowego doświadczenia i potrafił unikać pokus, które odrywały od nauki młodych studentów znajdujących się po raz pierwszy z dala od domu. Ciężko pracował i osiągał dobre wyniki.

Poswiecenie i miłość do medycyny zostały wynagrodzone: mimo młodego wieku otrzymał wymarzone stanowisko lekarza konsultanta. Ożenił się z Lindą i żył szczęśliwie. Az nadszedł dzień, gdy do St. Jude przyjeżdżał Michaela Fieldinga.

Postawienie diagnozy nie nastreczało żadnych trudności. Guz mózgu był doskonale widoczny, a jego umiejscowienie wykluczało operację. Prosty, lecz beznadziejny przypadek. Avedissian doskonale pamiętał rozmowę z rodzicami chłopca.

Michael był jedynakiem i ich rozpacz nie ułatwiała mu zadania. Siedzieli w bocznej sali na oddziale. Na zewnątrz pracował młot parowy przedsiębiorstwa budowlanego – stawiano właśnie nowe skrzydło szpitala. Tego ranka zakrawało to na ironię. Miarowe, głuche uderzenia wydawały się zupełnie nie na miejscu. Sprawiały wrażenie bezlitosnych i obojętnych.

–On umrze, prawda? – zapytała matka ze łzami w oczach.

–Niestety, tak.

–Ile mu zostało? – szepnęła, jakby bała się własnych słów. – Najwyżej dwa miesiące.

–Będzie bardzo cierpiał?

Avedissian nie był przygotowany na to pytanie. Zanim odpowiedział, kobieta zrozumiała. Próbował uspokoić rodziców, że środki przeciwbólowe pomogą chłopcu.

–Na pewno?– zapytała matka.

Avedissian wiedział, że nie, ale nie miał serca mówić tego parze nieszczęśliwych ludzi. Kobieta po raz drugi wyczytała prawdę z jego oczu.

–Nie chce, żeby mój synek cierpiał.

Avedissian milczał.

**Matka chłopca wzięła meza za reke.**

**–Jeśli mogłoby pan zrobić... cokolwiek, doktorze... byłibyśmy wdzięczni.**

**Wyraziła się wystarczająco jasno.**

**Michael Fielding umarł spokojnie we śnie dwa dni później. Rodzice byli przy nim, Avedissian również. Wszyscy obecni uznali, że stała się wola boska. Ale siostra Veronica Ashwood uważała inaczej. Według jej przewodnika życiowego – Biblii – Bog z pewnością nie chciał tego, co się zdarzyło. Popelniono morderstwo – widziała, co Avedissian podał pacjentowi.**

**Proces stanowił osobliwy spektakl przeciwstawiania faktów medycznych religijnej hipokryzji. Avedissian jeszcze nigdy nie był tak przekonany o słuszności twierdzenia Marshalla McLuhana, że święte oburzenie to pretekst służący idiotom do dodania sobie godności. Wszelkie próby wykazania, że czyn lekarza tylko uwolnił dziecko skazane na pewną śmierć od niepotrzebnych cierpień, spęzły na niczym. Napotykały zapory w postaci opowieści o cudach i niezbadanych wyrokach boskich. Wynik starc nie zaskoczył Avedissiana. Spodziewał się go od początku. Lilipuci pokonali Avedissiana Aroganta i ruszyli do ataku na rodziców chłopca.**

**Prasa postawiła nieszczęsne małżeństwo pod pretekstem. Dziennikarze przescigali się w wygrzebywaniu historyjek o cudownych uzdrowieniach przeczących diagnozom lekarskim. Nie wspominali jednak ani słowem, że w większości były to znane przypadki remisji u chorych z pewnymi rodzajami nowotworów. Czy ci nieczuli rodzice nie żałują teraz swego postępu? – pytał codzienny szmatławiec. A może ulegli namowom tego potwora, lekarza?**

**Panstwo Fielding nie złamali się i chwala im za to. Odmówili zrzucenia winy na Avedissiana i zachowali godne milczenie. Przeżyli piekło, ale co ono znaczyło wobec wzrostu nakładu gazety i poprawy samopoczucia czytelników, którzy mieli prawo uważać się za "lepszych".**

**Wstawał mglisty, letni świt. Było tak cicho, że Avedissian słyszał własny oddech. Grupa ruszyła w drogę. O jedenastej mgła się podniosła i nad walijskim pustkowiem zaświeciło palące słońce. Wspieli się na nieocienione zbocze doliny i zrobili postój.**

**Gdy Avedissian leżał wśród paproci, usłyszał daleki, miarowy odgłos. Rozpoznał silnik śmigłowca. Przesłonił oczy dłonią i spojrzał w niebo. Żółty ratowniczy helikopter leciał zakosami nad doliną jakby czegoś szukał.**

**–Wypatruje zagubionych alpinistów – domyslił się ktos.**

**–Musieliby być naprawdę zagubieni, żeby tutaj skończyć – zauważył ironicznie Jarvis.**

Avedissian zrozumiał, o co mu chodzi. Alpinisci nie mieli tu czego szukać. W okolicy nie było atrakcyjnych miejsc do wspinaczki, tylko bezkresne, pofalowane nieużytki.

Helikopter wypuścił nagle trzy flary: dwie zielone i jedna czerwona. Kapitan wstał.

–To nas szukają. – Powiedział coś do sierżanta. Tamten pogrzebał w plecaku, wyciągnął pistolet Vereya i wystrzelił w niebo czerwona rakietę. Śmigłowiec przestał meandrować, przechylił się ciężko na prawy bok i wziął kurs na grupę.

Wkrótce zawisł dwadzieścia stop nad nimi. Nie lądował z obawy przed dziurami i glazami. Jeden z członków załogi opuścił się na linie. Kapitan schylił się i podbiegł do niego. Obaj przyłożyli do ust zwinięte dłonie i porozumieli się szybko. Oficer wrócił biegiem do Avedissiana.

–Wraca pan do Llangern.

Avedissian wskazał Jarvisa.

–On też? – zawołał, przekrzykując hałas.

–Tylko pan – odparł kapitan.

Nie było wiele czasu na pożegnania. Avedissian i Jarvis uściskali sobie ręce. Komandos powiedział, że na pewno wkrótce znów się spotkają. Obroty wirnika wzrosły. Avedissian pobiegł w kierunku maszyny. Jeden z członków załogi podał mu pętlę liny. Sprawdził, czy wszystko w porządku, i dał znak koledze przy wyciągarce.

Avedissian i załogant oderwali się od ziemi. Obracali się wolno w powietrzu niczym lampion w sali balowej. Avedissian chciał spojrzeć w dół, ale wydekte ubranie przesłoniło mu widok. Obejrzał się dopiero w helikopterze i unosił rękę na pożegnanie. Grupa odpowiedziała tym samym gestem. Maszyna nabrała wysokości i zmieniła kurs.

Lecąc nad wzgórzami i dolinami, Avedissian cieszył się, że wreszcie opuszcza pustkowia. Nie zastanawiał się, dlaczego wezwano go do Llangern. Wolał myśleć o gorącej kąpieli i porzadnym posiłku. Odprezył się i obserwował krajobraz przesuwający się za odsuniętymi drzwiami śmigłowca. Dotknął policzka i poczuł pod palcami zarost. Uśmiechnął się na wspomnienie słowa z niedawnej przeszłości: "Obrzydliwość!".

Asfalt przed Llangern House wydał się Avedissianowi śmiesznie cywilizowany. Szło się po nim z dziecinna łatwością w porównaniu z trudnym terenem, który pokonywał przez ostatnie tygodnie. W drzwiach czekał major.

**–Opuszczasz nas, Avedissian – oznajmil.**

**Avedissian otworzył usta, ale oficer powstrzymał go gestem.**

**–Nic nie wiem, stary. Tylko tyle, że zabiora cie stad dzis o siodmej wieczorem. Zdazysz sie troche umyc i cos zjesc, nie?**

**Avedissian po raz kolejny musial uzbroic sie w cierpliwosc. Kiedy wszedl na schody, major zawolal za nim:**

**–Aha, przy okazji, stary! Zgol brode, ale zostaw wasy!**

**Mimo upalnego dnia Avedissian z przyjemnoscia wzial goraca kapiel. Mydlil sie kilkakrotnie i kolanami robil fale w wannie, zeby splukac z piersi piane. Zgolil brode i uczesal sie starannie.**

**Przyjrzel sie sobie w lustrze i przygladzil wasy. Musial przyznac, ze wyglada o niebo lepiej niz pierwszego dnia w Llangern. Zeszczuplal, wyprostowal sie i nabral miesni. Mial troche za dlugie wlosy, ale to go odmladzalo. Psychiczenie tez czul sie lepiej. Calkowita abstynencja i ucieczka od trosk cywilizacji dobrze mu zrobily. Byl sprawny, czujny, gotowy sluzyc krolowej i ojczyźnie. Chcial tylko wiedziec, w jakim charakterze. Mial nadzieje, ze wkrótce sie dowie.**

**Po obfitym, choc niezbyt wykwinnym posilku wzial plik gazet i zasiadl do czytania. To byl jego pierwszy kontakt ze swiatem od przyjazdu do Llangern.**

**Prasa rozpisywala sie glownie o sukcesie Brytyjskich Sil Zbrojnych w Irlandii Polnocnej, gdzie podczas akcji zabito Kevina O'Donnella, "czlowieka numer jeden" w IRA. Inny wysoki ranga terrorysta zostal prawdopodobnie ciezko ranny. Spekulowano, czy po smierci O'Donnella dojdzie do nowych aktow przemocy, gdyz powszechnie uwazano go za umiarkowanego czlonka rady wojennej IRA.**

**Inne artykuly sugerowaly, ze nastapi podniesienie stop procentowych po ostatniej obnizce kursu funta, ktory stale spadal w stosunku do koszyka walut europejskich. Jako srodek zaradczy na przyszlosc wskazywaly przystapienie do europejskiego systemu walutowego.**

**Ilustrowany magazyn komentowal nieobecnos czlonkini rodziny krolewskiej na imprezie dobroczynnej i snul domysly, czy powodem byl stan zdrowia czy ciaza.**

**Na stronach sportowych krytykowano slabe wyniki angielskiej druzyny krykieta i zadano zmiany kierownictwa.**

**Avedissian ziewnal i odlozyl gazety. Spojrzal na zegarek. Do odjazdu mial jeszcze dwie godziny. Major zawiadomil go, ze "rzeczy" juz sa w pokoju, wiec poszedl**

sprawdzić. Okazało się, że do Llangern przywieziono jego ubrania. Co więcej, czyste i odprasowane. Avedissian przebrał się w gładką niebieską koszulę, wisniowy krawat i ciemnoszary garnitur.

Za kwadrans siódma landrover odwoził go do drogi. Gawędził z kierowcą gdy punktualnie o siódmej zajeżdżał czarny Ford Granada. Avedissian wsiadł do samochodu. Nie obejrzał się ani razu.

Szofer miał na sobie mundur, ale nie wojskowy. Wyglądał na pracownika służby państwowej. Avedissian zadał oczywiste pytanie i usłyszał tylko:

–Do Londynu, sir.

Było już późno, gdy po schodach wszedł za szoferem do starego, wiktoriańskiego budynku w południowym Londynie. Po wspinaczce na trzecie piętro został wprowadzony do małego, pustego pokoju. Po chwili zjawiła się uśmiechnięta Sarah Milek.

–Milożną pana widzieć. Jak było w Walii?

–Mokro.

–Ale dziś chyba nie? – Nie – przyznał Avedissian.

–Pan Bryant za chwilę przyjdzie.

Avedissian nie przyjął z entuzjazmem tej informacji, ale zachował obojętność. Sarah Milek wyszła, zostawiając go w towarzystwie wysokiej rośliny doniczkowej. Avedissian wstał i podszedł do brudnego okna. Nie zobaczył nic ciekawego – wychodziło na tyły sąsiedniego budynku. W ciemnym zaulku zarzucił się neon "Staplex – oprawa książek. Wejście służbowe".

Do pokoju wszedł Bryant. Obrzucił Avedissiana długim, twardym spojrzeniem.

–Teraz jesteś bardziej podobny do ludzi – orzekł.

–Bardzo pan uprzejmy – odparł kwasno Avedissian.

–Wstąpił w nas nowy duch, co? – mruknął Bryant. – Siadaj. Avedissian usiadł. Bryant wyjął dużą chusteczkę i głośno wydmuchał nos.

–Rano wyjeżdżasz do Belfastu – oświadczył. Avedissian poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

–Nie było mowy o tym, że mam pracować w Irlandii.

**–O ile sobie przypominam, w ogole nie bylo mowy o twojej pracy gdziekolwiek – odrzekl spokojnie Bryant, sledzac uwaznie reakcje Avedissiana.**

**–Nie odpowiada ci perspektywa pobytu na Szmaragdowej Wyspie?**

**–Nie chce tam wracac.**

**Bryant pochylil sie ku niemu.**

**–A dlaczego, Avedissian? Co ci sie przydarzylo w tym dole pelnym wezy?**

**–Po prostu nie chce juz tam wracac. Jestem bylym spadochroniarzem. To bez sensu.**

**Bryant usmiechnal sie.**

**–Wiesz co, Avedissian? Gdyby to ode mnie zalezalo, juz dawno zaciagnieto by to cholerne miejsce na srodek Atlantyku i zatopiono bez sladu. Ale jestesmy z nim zwiazani. Pojedziesz tam. Jesli to cie pocieszy, twoja "praca", jak to nazywasz, to nic groznego. Pocwiczysz troche w szpitalu w Belfascie.**

**–Po co?**

**–Bo od dwoch lat nie praktykujesz. Przyda ci sie to. Zostaniesz zatrudniony na oddziale naglych wypadkow. Maja tam duzy ruch, a spodziewamy sie, ze bedzie jeszcze wiekszy, skoro na czele IRA stanal ten pieprzony mutant Kell.**

**Avedissian byl zaskoczony, wiec Bryant wyjasnil mu, ze Dzieciak przejal dowodztwo po zabitym Kevinie O'Donnellu.**

**–Minelo duzo czasu od mojego ostatniego zabiegu na oddziale naglych wypadkow – zauwazyl Avedissian.**

**–Dlatego tam jedziesz. Tydzien w Belfascie da ci wiecej niz rok gdzie indziej.**

**–A co z zakazem wykonywania zawodu?**

**–Dostaniesz nowa tozsamosc.**

**Bryant wreczyl Avedissianowi papiery.**

**Avedissian przejrzal je. Byl teraz doktorem Rogerem Gillibrandem.**

Rano do Cladeen przyjechał samochód. O'Neill nikogo się nie spodziewał tak wcześnie. Kierowca Liam Drummond wyjaśnił, że Dzieciak chce go zobaczyć w Długim Domu. Kathleen przypomniała mu o obietnicy i pomachała na pożegnanie. Odjechali wyboista, kreta drożka w kierunku szosy do Belfastu. O'Neill usłyszał, jak rura wydechowa uderzyła o ziemię. Drummond niecierpliwie dodał gazu i spod tylnych koł przysnęły kamienie. Był wyraźnie zdenerwowany.

–Co jest grane?– zapytał O'Neill.

Drummond niespokojnie oblizal wargi i udal, że koncentruje się na prowadzeniu.

–No wykrztus to, człowieku – przynaglił O'Neill.

–Dzieciak szuka tego, kto wystawił Brytyjczykom pana i O'Donnella. – No i?

–Robi to po swojemu.

O'Neill zaczął tracić cierpliwość.

–Gadaj wreszcie, o co chodzi.

–Przestrzeliwuje kolana wszystkim podejrzanym, jeżeli nie potrafią udowodnić, że są niewinni.

O'Neillowi zrobiło się niedobrze. Więc jego najgorsze obawy się sprawdzają?

–Nie wierze, żeby Finnbar... – zaczął, ale Drummond mu przerwał.

–Mówię prawdę. Wybiera ludzi na ślepo, według własnego uznania. Jak tak dalej pójdzie, niedługo w Belfascie nie będzie nikogo powyżej czterech stop wzrostu.

–Wystarczy! – powiedział surowo O'Neill, ale tylko dlatego, że obowiązywała go do tego ranga. Lubił Drummonda. Poczciwy facet i na pewno nie kłamie. Dwa razy zmienili samochody, wreszcie przyjechali do Długiego Domu furgonetka do rozwożenia prasy Kell triumfował. Przywitał ich szerokim uśmiechem.

–Mam go!– pochwalil się.

–Kogo?– zapytał O'Neill.

–Skurwiela, który sypnął cię i O'Donnella.

O'Neill pogratulował mu i spytał, kto to. Nazwisko nic mu nie powiedziało.

–Syn Mary Tynan – wyjaśnił Kell. – Podsluchal rozmowę O'Donnella z matką o zebraniu i bezpiecznym domu, z którego mieliscie korzystać. Postanowil was



**sprzedac.**

**–Sukinsyn... – mruknal O'Neill. – Jak sie dowiedziales?**

**–Doszedlem do tego droga eliminacji – odrzekl chytrze Kell. – Niewiele osob wiedzialo o zebraniu. Przesluchalismy wszystkie.**

**–Dlaczego to zrobil?**

**–Sam go zapytaj. Jest na dole. Mozesz nawet wykonac wyrok.**

**O'Neill i dwaj inni zeszli do podziemi budynku.**

**–Tutaj – powiedzial jeden z mezczyzn i otworzyl ciezkie, drewniane drzwi. Pod sufitem palila sie pojedyncza lampa w drucianej oslonie. Zwisaly z niej pajeczyny.**

**W rogu, na polowym lozku, lezal okolo dwudziestoletni mezczyzna. Byl tylko w spodenkach i mial przestrzelone prawe kolano: zostala z niego krwawa miazga. W "celi" smierdzialo odchodami.**

**O'Neill podszedl blizej i popatrzyl na jeczacego chlopaka. Wiezien rzucal glowa z boku na bok i w kolko powtarzal: "Mamo... tato..." O'Neill skrzywil sie z odraza.**

**–Zamknij sie! – rozkazal, ale nie odnioslo to skutku.**

**–Powiedzialem: zamknij sie! – powtorzyl. Tym razem chlopak zamilkl. – Dlaczego nas zdradziles?**

**Z zoladka wieznia wydobyl sie podejrzany odglos. Ze strachu dostal rozwolnienia.**

**–Odpowiadaj, do cholery!**

**–Dla forsy... Chodzilo mi o forse...**

**–Ile dostales?**

**Cisza.**

**O'Neill pochylil sie nad chlopakiem.**

**–Ile dostales?**

**–Dwiescie funtow.**

**O'Neill glosno powtorzyl sume. Tyle bylo warte zycie O'Donnella i jego ramie.**

**–Co zamierzales zrobic z... taka kupa forsy?**

**–To na motor... Chcialem kupic motor...**

**O'Neill zaniemowil. Odwrocil sie na piecie i podszedl do dwoch mezczyzn przy drzwiach. Jeden wreczyl mu pistolet. Wzial go bez slowa. Wrocil do chlopaka i bez namyslu strzelil mu w glowe.**

**Potem wyszedl. Poszedl do ubikacji na koncu korytarza i zwymiotowal. Trudno bylo mu sie opierac jedna reka o ceglana sciane. Gdy patrzyl w dol, na muszle klozetowa, odczepil sie pusty rekaw marynarki, ktory Kathleen przypielala do kieszeni. W mankiecie tkwila agrafka.**

**Mezczyzni czekali na niego pod drzwiami toalety. Jeden zapytal, jak sie czuje. O'Neill unikal jego wzroku. Odrzekl, ze dobrze. Kiedy doszli do wylotu korytarza, uslyszal jek dochodzacy z jednego z pomieszczen. Zapytal, kto tam jest.**

**–Niech pan zobaczy – odpowiedzial mezczyzna, z trudem tlumiac gniew.**

**W srodku bylo trzech ludzi z przestrzelonymi kolanami. Jednego z nich opatrywal lekarz, ktory amputowal O'Neillowi ramie. Podniosl wzrok, ale nie odezwal sie. O'Neill wycofal sie i zamknal drzwi.**

**–Tez byli podejrzeni – wyjasnil towarzysz O'Neilla z nieukrywanym sarkazmem.**

**W glowie O'Neilla zadzwieczaly slowa: "Doszedlem do tego droga eliminacji".**

**Wrocili na gore. O'Neill czul na sobie badawcze spojrzenie Kella, ktory szukal oznak slabosci. Nelligan, adiutant Dzieciaka, usmiechal sie, jakby przed chwila uslyszal dowcip. O'Neill podejrzewal, ze dotyczyl jego.**

**–Zalatwiles go?– zapytal Kell.**

**–Tak. Nie zyje – odparl O'Neill.**

**–Dostal nauczke – powiedzial Kell.**

**–A jaka nauczke dostali tamci trzej na dole? – spytal gniewnie O'Neill. Przez moment myslal, ze sprowokowal Kella do wybuchu, ale grozna twarz Dzieciaka rozjasnila sie.**

**–Na wojnie musimy robic czasami nieprzyjemne rzeczy, Martin – odrzekl z lodowatym usmiechem.**

**O'Neill zmienil temat. Nie bylo sensu przeciagać struny.**

**–Znalazles klucz do sejfu? – Serce podeszlo mu do gardla.**

**–Nie. Bedziemy musieli go wysadzić.**

**–Rzuce na niego okiem, zanim wyjde – zaproponowal O'Neill. Mial nadzieje, ze jego glos brzmi spokojnie, bo puls skoczyl mu gwałtownie. To mogla byc jedyna szansa zabrania koperty.**

**Kell przeszedl go spojrzeniem, potem sie usmiechnal.**

**–Czemu nie?**

**O'Neill poczul sie tak, jakby wszedl na kruchy lod.**

**O'Neill wyszedl i zatrzymal sie na moment w cichym korytarzu. Slyszal bicie wlasnego serca. Nigdy nie moglby sluzyc pod dowodztwem Kella. Ten czlowiek go nienawidzil, nie tylko nie lubil. Czul to, ilekroc byli razem.**

**Szybko dotarl do dawnego pokoju O'Donnella. Nic sie tu nie zmienilo, bo Dzieciak nie mogl z niego korzystac. Ceglany filar przy drzwiach uniemozliwial wjazd wozkiem do niewielkiego pomieszczenia. O'Neill poczul zadowolenie. Ten maly psychopata nie powinien urzedowac tu, gdzie kiedys urzedowal O'Donnell. To byloby nie w porzadku.**

**Wiedzial dokladnie, gdzie jest klucz do sejfu, bo O'Donnell powiedzial mu to przed smiercia. Wyciagnal jedna z szuflad biurka i obrocil. Do tylnej scianki przyklejony byl kawalek czerwonej tasmu samoprzylepnej. Pod nia znajdowala sie karta magnetyczna otwierajaca sejf. Zabral ja i wsunal szuflade na miejsce.**

**Sejf miescil siew scianie, w glebi dlugiej, waskiej salki zwanej Pokojem Narad. Zbierali sie w niej dowodcy sektorow, zeby omowic strategie. Stal tam owalny stol i osiem krzesel, poza tym niewiele wiecej. O'Neill nacisnal klamke. Drzwi byly zamkniete. Puscil ja powoli, zeby nie narobic halasu. Zagryzl wargi. I co teraz, do cholery? Trzeba znalezc klucz.**

**Zastanawial sie, gdzie szukac, kiedy uslyszal rozesmiany glos Nelligana. Adiutant zawsze smial sie z kiepskich dowcipow swego szefa. Wielkie, glupie, ale wierne chlopisko. Przyjaciele Kella byli jego przyjaciolmi, wrogowie Kella – jego wrogami. Nelligan mial sile byka, ptasi mozddek i nie przepadal za O'Neillem.**

**Glos zblizal sie. O'Neill zdal sobie sprawe, ze za chwile otworza sie drzwi gabinetu Kella. Wolal, zeby go nie nakryli pod Pokojem Narad. Szybko wrocil do gabinetu O'Donnella. Czekal cicho przy zgaszonym Swietle i lekko uchylonych drzwiach. Pisk kol wozka zaczal sie oddalac. Odetchnal z ulga. Stal w ciemnosci i zastanawial sie, dlaczego Kell nigdy ich nie oliwi. Podejrzewal, ze zna odpowiedz: Dzieciak chcial,**

zeby ludzie wiedzieli, ze nadjezdza. I zeby sie bali.

Odglosy ucichly. O'Neill musial sie pospieszyc. Klucz do Pokoju Narad na pewno jest tam, skad przed chwila wyjechal Kell. Przemknal korytarzem do gabinetu i zamknal za soba drzwi. Zapalil swiatlo i rozejrzal sie.

Na drewnianej tablicy wisialy klucze. O'Neill w duchu podziekował Bogu i podszedl do sciany. Czytal kolejno napisy, az w trzecim rzedzie zobaczył "Pokoje N". Zdjal klucz z haczyka. Wtedy za jego plecami otworzily sie drzwi.

–O, przepraszam. To pan...

O'Neill ledwo zapanowal nad nerwami.

–Szukam klucza do pokoju pana O'Donnella – sklamal. – Nie jest zamkniety.

–W takim razie... – O'Neill usmiechnal sie i podszedl do drzwi.

–A gdzie jest pan Kell? – zapytal mezczyzna.

O'Neillowi zdawalo sie, ze uslyszal w jego glosie nute podejrziwosci.

–Nie wiem – odrzekl spokojnie. – Sam go szukalem.

Nie znal tego mezczyzny ale domyslil sie, ze to jeden z protegowanych Kella.

–Przyjde pozniej – powiedzial.

Przecisnal sie obok obcego i powedrowal do gabinetu O'Donnella. Przez cala droge czul na plecach spojrzenie tamtego. Ale kiedy sie odwrocil, korytarz byl pusty. Zatem to tylko wyobraznia...

Otworzył Pokoje Narad i podszedl do sejfu. Wsunal karte magnetyczna na miejsce i uslyszal dzwiek elektronicznego zamka. W srodku byla duza suma pieniedzy. Biala, zapieczetowana koperta lezala oddzielnie, na gornej polce, dokladnie tam, gdzie powiedzial O'Donnell. O'Neill schowal ja do kieszeni. Zamknal sejf. Mimo trzasku zamka uslyszal do niego inny dzwiek – pisk kol wozka.

O'Neill zamarl. Sparalizowal go strach, ledwo mogl oddychac. Wiedzial, ze z tylu jest Kell. Pytanie tylko jak dlugo? Nie mial wyjscia, musial improwizowac. Wsunal karte do szczeliny i sejf znow stanal otworem. Moze Kell uwierzy, ze wlasnie po raz pierwszy sprawdza klucz. Mruknal z zadowoleniem, odwrocil sie i udal zdziwienie na widok Kella i Nelligana.

–Znalazlem! – pochwalil sie i pokazal karte.

**–To widze – odparl opryskliwie Kell. – Gdzie? O'Neill powiedział mu prawdę.**

**Kell zerknął przez ramie na Nelligana.**

**–Myslałem, że przeszukales biurko O'Donnella?**

**–Tam nie szukałem – przyznał osilek z mina skazanca.**

**–Nieważne – odrzekł Kell. – Dobrze, że się znalazło. – Wyciągnął reke. O'Neill podszedł i dal mu karte. – Jest tam coś ciekawego? – zapytał Kell, swidrując go spojrzeniem.**

**–Prawdę mówiac, nie zdążyłem sprawdzic. Chcesz, żebym tam zajrzał jeszcze raz? – spytał O'Neill, silac się na obojętnosc. Czuł bolesne pulsowanie krwi w kikucie ramienia, gdy Kell badał go wzrokiem.**

**–Później – odparł Kell. – Teraz musimy pogadac. – Spojrzał w gore na Nelligana.– Zostaw nas samych.**

**Adiutant ustawil wozek u szczytu owalnego stolu i wyszedł. O'Neill zasiadł na drugim koncu, na wprost Kella.**

**–McGlynnowie prosza o spotkanie – oznajmil Kell.**

**O'Neill poczul, jak wnetrznosci wywracaja mu się do gory nogami. Bracia McGlynnowie – Dominic i Sean – byli przywódcami INLA – Irlandzkiej Narodowej Armii Wyzwolenczej w Belfascie, która prowadzila własna wojne z Brytyjczykami. Powstała kilka lat wcześniej z odłamu IRA. Zdolala skupic pod swym sztandarem najbardziej zagorzalych ekstremistow, ale ten sukces w znacznym stopniu zniweczyly ciągle walki wewnętrzne o władze. Ostatnio zdobyli ja brutalni psychopaci McGlynnowie. O'Donnell nazywal INLA "ropiejacym wrzodem". Bracia mieli wiele wspolnego z Kellem, choc brakowalo im jego rozumu i politycznej intuicji.**

**–Czego chca? – zapytał z niepokojem O'Neill.**

**–Sojuszu – odrzekł Kell.**

**O'Neill potarł czolo, ale nie odezwał się. Nie wyobrazal sobie Kella i McGlynnow na czele organizacji.**

**–Co ty na to?– spytał Kell.**

**–Jestem tego zdania co O'Donnell – odparł O'Neill. – Jesli polaczymy się z nimi, stracimy sympatie własnych ludzi. Oni sa nieobliczalni.**

**–To prawda – mruknął Kell. – Ale zawsze dobrze wiedziec, co mysla inni. Zgadzasz**

się z tym, Martin? Nie zaszkodzi wysłuchać, co mają do powiedzenia.

Uśmiechnięty Kell przypominał O'Neillowi pajaka przekonującego muchę. – Kiedy? – zapytał.

–W czwartek. Przysięgnę cię samochodem.

O'Neill odnalazł Drummonda i kazał się odwieźć do Cladeen.

Kiedy wyjechali z Belfastu, O'Neill wyczuł, że Drummond chce coś powiedzieć, ale się waha. W końcu jednak zdecydował się. – Mówiłem panu, no nie?

–Owszem, mówiłeś – przyznał O'Neill.

–Nie można rządzić organizacją za pomocą strachu – ciągnął Drummond. O'Neill nie odpowiedział.

–Powiedziałem, że...

–Słyszałem.

–Dobrze się pan czuje? – zapytał Drummond i obrzucił O'Neill'a długim spojrzeniem.

–Godzine temu strzeliłem w głowę dwudziestoletniemu chłopakowi.

–Ale ten mały skurwiel sypnął pana i...

–Zamknij się!

Po kilku milach O'Neill zaczął żałować, że tak potraktował Drummonda. Facet był jednym z najlepszych: służył w organizacji od niepamiętnych czasów. Chciał załagodzić złe wrażenie, zapytał:

–Słyszales, że McGlynnowie zaproponowali spotkanie?

Reakcja Drummonda upewniła O'Neill'a, że mu przebaczył. Kierowca odrzucił głowę do tyłu i parsknął:

–Ci kretyni chyba zapomnieli, że Kell ma długą pamięć!

–Co masz na myśli?

–Bomba.

–Jaka bomba? – zdziwił się O'Neill.

–Te, która urwała Kellowi nogi. Zrobił ją ojciec McGlynnów Seamus. Wszyscy uważali, że to wypadek, ale nie Dzieciak. Był pewien, że McGlynn celowo tak ustawił zapalnik. Nigdy nie powiedział tego publicznie, ale prywatnie odgrzał się, że pewnego dnia wyrowna rachunki. A kiedy Dzieciak tak mówi...

–Co McGlynn miał do Kella?

–Wie pan, jak to jest, gdy jest się młodym. McGlynn był bohaterem, dopóki na scenie nie pojawił się Kell i nie przyćmił jego sławy. Można powiedzieć, że wszystko przez zwykłą zazdrość.

–Dobrze wiedzieć – mruknął O'Neill. Ucieszył się, że coś może przeszkodzić Kellowi w zawarciu przerażającego sojuszu z McGlynnami.

–Kell ma zamiar z nimi gadać? – spytał Drummond.

–Tak. W czwartek – odrzekł O'Neill. Drummond uśmiechnął się krzywo.

–Na miejscu McGlynnów wziąłbym długi kij.

Kathleen widziała, że coś dreczy O'Neill, ale o nic nie pytała. Uznała, że lepiej poczekać, aż sam jej powie. Jak zawsze. Zabrała się za zmywanie po kolacji. Mimo że była o kilka lat młodsza od brata, od piętnastego roku życia zastępowała rodzinie matkę: wtedy właśnie zmarła pani O'Neill. Oprócz Martina Kathleen miała jeszcze dwie młodsze siostry – Maureen i Claire. Obie wyszły za mąż i wyjechały za granicę; jedna do Kanady, druga do Australii.

Tradycje nacjonalistyczne były w rodzinie bardzo stare. Wprawdzie ojca bardziej obchodziło zagładanie do butelki, jednak stale rozpamiętywał bohaterskie czyny dziadka, który walczył w powstaniu wielkanocnym w 1916 roku i został potem stracony przez Brytyjczyków.

Absorbujące obowiązki domowe nie przeszkodziły Kathleen w zdobyciu wyższego wykształcenia. Studiowała języki nowożytne i skończyła ten sam uniwersytet co brat, tyle że trzy lata później. Dla Martina najważniejsza w życiu była polityka, ale ona została nauczycielką. Uczyla niemieckiego i francuskiego w liceum katolickim.

Maureen i Claire O'Neill nie miały wygorowanych ambicji. Zależało im tylko na szczęśliwym małżeństwie, bezpieczeństwie i dzieciach jak wielu rówieśniczkom Kathleen. Częściowo z tego powodu Kathleen ceniła sobie wysoko przyjaźń z bratem; pasowali do siebie intelektualnie. Ale płaciła za to samotnością – nie prowadziła żadnego życia towarzyskiego. Martin pisał się w górę w IRA, a jej lojalność wobec niego narazala ją na przykrości.

Przyjaźń z kolegą, nauczycielem z tego samego liceum, zapowiadała się obiecująco.

Romans zakonczyc sie moglby malzenstwem, ale zamiast tego doszlo do zerwania. Narzeczony postawil Kathleen ultimatum i musiala wybierac miedzy nim a bratem. Nie wyparla sie Martina. Stracila jeszcze wielu adoratorow, ktorzy wycofywali sie, slyszac, ze jest siostra Martina O'Neilla.

–Mam problem, Kath – odezwal sie O'Neill. – Mozesz zdradzic jaki?

–Zabralem pewna koperte z Dlugiego Domu.

–Chcesz powiedziec, ze ja ukradles?

–Wyjalem z sejfu. O'Donnell kazal mi to zrobic, Zeby nie wpadla w niepowolane rece.

–Chodzilo mu o Kella?

–Dokladnie.

–Co w niej jest?

–Nie wiem.

–Jak to? Nie rozumiem...

O'Neill oderwal wzrok od kominka i spojrzal na Kathleen.

–O'Donnell kazal mi ja oddac Brytyjczykom.

–Chyba zartujesz?

–Chcialbym.

–Ale dlaczego? O'Neill pokrecil glowa. – Nie mozesz jej otworzyc?

–Wlasnie sie nad tym zastanawiam.

Kathleen przygladala sie bratu. Znow zapatrzyl sie w ogien.

–Mam wrazenie, ze sie domyslasz, co tam moze byc – powiedziala.

O'Neill usmiechnal sie.

–Zawsze potrafilas przejrzec mnie na wylot. O'Donnell nie cierpial Kella tak samo jak ja. Obawiam sie, ze zamierzal podac go Brytyjczykom na talerzu, zebysmy sie go pozbyli na dobre.



**–Sam mówiles, że Kell może zniszczyć organizację – zauważyła Kathleen.**

**O'Neill przytaknął.**

**–Ale to zdrada. Jest dowódca.**

**–Wiesz, jeśli oddasz im te koperty, będziesz zdrajca?**

**–Tak.**

**–Musisz ją otworzyć – zdecydowała Kathleen. – Może wcale nie o to chodzi.**

**–Masz rację – przyznał O'Neill. – Podaż mi marynarkę?**

**Kathleen położyła mu ją na kolanach i zapaliła lampę stojącą za jego fotelem. Miała ochotę pomóc, ale powstrzymała się. Scisnął koperty kolanami i niezdarnie rozkleił kciukiem. Podniosła ją z ziemi, kiedy wyciągnął list i zaczął czytać.**

**Z niepokojem patrzyła, jak brat błędnie. Nie chciała mu przerywać, ale w końcu nie wytrzymała.**

**–Czy to jest to, czego się obawiales?**

**–Nie – odrzekł oszołomiony. – Zupełnie coś innego. – Wreczył jej list. Kathleen przebiegła wzrokiem treść i ze zdumienia otworzyła usta.**

**–To niemożliwe! Coś byśmy słyszeli. Widziałeś datę? Sprzed trzech tygodni.**

**–Wiem, ale widac O'Donnell nie uważał tego za żart.**

**–Dlaczego to ukrył? Dlaczego chciał to przekazać Brytyjczykom?**

**–Właśnie się nad tym zastanawiam – mruknął O'Neill.**

**Kathleen podała mu szklanke whisky. Wciąż patrzył w ogień. W końcu powiedział:**

**–Chyba rozumiem. To by nas przerosło. Gdybyśmy w to weszli, wybuchłaby wojna domowa i przegralibyśmy. Kiedy rozwałby się dym i zmyto by krew, Irlandia byłaby bardziej podzielona niż kiedykolwiek. O'Donnell musiał zdawać sobie z tego sprawę i uznał, że powinniśmy trzymać się od tego z daleka. Ale Kell... Jego to może skusić.**

**–To musi być mistyfikacja! – zaprotestowała Kathleen.**

**O'Neill zastanowił się.**

**–Niekoniecznie. Brytyjczykom mogło się jakoś udać utrzymać to w tajemnicy, żeby**

**zyskac na czasie.**

**–Ale skoro O'Donnell odrzucil oferte?**

**–Moze nie odrzucil – odparl O'Neill. – Moze gral na zwloke. Moze odpowiedzial im, ze sprobujze zebrac fundusze. Moze rzeczywiscie je zbieral. Niczego nie wiemy na pewno.**

**–Bez wzgledu na to, jak bylo, czy oni teraz nie skontaktuja sie z Kellem? Mysl o tym zmrozila O'Neill.**

**–Masz racje. Musimy dostarczyc te wiadomosc Brytyjczykom.**

**–Rano pojade do miasta – zaproponowala Kathleen. – Dzis juz za pozno. Chodmy spac.**

**O'Neill skinal glowa, ale powiedzial, ze najpierw chce dokonczyc whisky. Kathleen zyczyla mu dobrej nocy i zabrala list na gore.**

**O'Neill oprznil szklanke i nalal nastepna. Tylko alkohol skutecznie zwalczal ciagly bol w kikucie, a on musial spokojnie pomyslec.**

**Dochodzila druga nad ranem, kiedy wydalo mu sie, ze uslyszal chrzest zwiru na zewnatrz. Zerwal sie z fotela i podszedl do okna. Wyjrzal przez szybe i zaklal, ze nie ma dwoch rak. Jedna trudno bylo oslonic twarz przed blaskiem swiatla w pokoju. Zgasil lampe i wrocil do okna. Nic nie zobaczy, ale chrzest sie powtorzyl. Tym razem nie mogli sie przeslyszec.**

**Ruszyl do kuchni po pistolet, ale natychmiast zrozumial, ze jest za pozno. Przeklal wlasna glupote: chrzest zwiru od frontu mial tylko odwrocic jego uwage! Ktos zaszedl go z tylu!**

**Drzwi kuchni otworzily sie z impetem. W ksiezycowej poswiacie O'Neill ujrzal mezczyzne z bronia automatyczna wycelowana w jego brzuch. Do pokoju wsliznal sie inny i zapalil swiatlo.**

**–Co jest, do cholery?! – wykrzyknal O'Neill. W jednym z mezczyzn rozpozna tego, ktory go nakryl w gabinecie Kella, kiedy szukal klucza do Pokoju Narad. Drugiego nie znal.**

**Mezczyzna nie odpowiedzial. Pokazal lufa, zeby O'Neill podszedl do kominka. Drugi otworzyl frontowe drzwi i stanal w progu, jakby na cos czekal.**

**Po chwili rozlegl sie pisk wozka. O'Neill patrzyl bezradnie, jak Nelligan wtacza do pokoju Kella i zamyka drzwi.**

**–Co jest grane, Finbarr? – zapytał zuchwale O'Neill. Kell popatrzył na niego jak na plame na dywanie.**

**–Pokaz mu, Reagan!– wycedził.**

**Mezczyzna z bronia zamachnal sie i stracil z lampy abazur. Do nozki byl przyklejony mikrofon.**

**–Slyszalem kazde slowo – oswiadczył Kell tonem sedziego wydajacego wyrok smierci. W jego oczach blysnela nienawisc. Odwrocil sie do Nelligana.**

**–Co ci zawsze mowilem? Nigdy nie ufaj intelektualistom.**

**–Zdradziecki skurwiel! – warknal Nelligan.**

**–Nie jestem zdrajca, Kell. Zawsze mialem na wzgledzie dobro organizacji.**

**Kell rozesmial sie ponuro i spojrzal znaczaco na innych. Zawtorowali mu.**

**–Chciales przekazac wrogowi informacje i nie jestes zdrajca? – zadrwil.**

**–Wykonywalem rozkazy mojego dowodcy Kevina O'Donnella.**

**–O'Donnella... – parsknal Kell. – Tej galarety na miekkich nogach! Tyle razy wisial na telefonie, zeby ostrzec Brytyjczykow, ze powinni go wciagnac na liste zasluzonych!**

**Kiedy ucichl rechot Nelligana, usmiechnieta twarz Kella zamienila sie w maske pelna jadu.**

**–Gdzie jest list? – wyrzucil z siebie.**

**–Przyniose – zaproponowal O'Neill i zrobil krok w kierunku schodow. Kell skinal na Reagana i kolba karabinka trafila O'Neilla w brzuch. Skrzywil sie z bolu i upadl na podloge.**

**–Czy ty nigdy nie przestaniesz uwazac mnie za idiote? – szepnal zlowrogo Kell. Podniosl wzrok na Reagana. – Idz na gore i przyprowadz te suke nauczycielke!**

**Reagan wrocil po kilku sekundach. – Nie ma jej, panie Kell!**

**–Jak to nie ma? – wychrypial Kell.**

**–Okno jest otwarte. Musiala zejsc na dach szopy i uciekla.**

**–Jezu! Dlaczego mam wokol siebie samych debili? Nie mogla uciec daleko.**

**Znajdźcie ja i sprowadźcie tutaj! – Kell popatrzył na leżącego O'Neilla. – Przez ten czas nasz przyjaciel opowie nam, co jest w liście. Chyba zechce, nie Nelligan?**

**Osilek wyszedł zza pleców Kella i stanął nad O'Neillem. Z dołu wyglądał, jakby miał ze cztery metry wzrostu.**

**Kathleen wiedziała, że pieszo i w koszuli nocnej nie ucieknie daleko, toteż wolała schować się w budce na koncu ogrodu, między narzędziami, torfem i nawozami sztucznymi. Miała nadzieję, że ludziom Kella nie wpadnie do głowy, żeby jej tu szukać. Ale co dalej, nawet jeśli odjada? Omal nie dała za wygraną kiedy przez brudną szybkę zajrzał księżyc i zobaczyła szczura na raczce kosiarki. Wstrzymała oddech. Sparalizowało ją obrzydzenie. Po chwili mocniej scisnęła w dłoń list z Długiego Domu i cofnęła się w najdalszy kąt, za sterte jutowych worków.**

**–Czekam – powiedział groźnie Kell.**

**O'Neill doszedł do siebie po ciosie w żołądek i wstał. Bał się panicznie.**

**–Dobrze, powiem ci – zgodził się. Opor nie miał sensu.**

**Kiedy skończył, twarz Kella pociemniała z gniewu. Wytrzeszczył oczy powiększone grubymi szklami. Nelligan obserwował go i czekał, jak zareaguje.**

**–Ty chyba ciągle uważasz mnie za imbecyla, O'Neill! – parsknął Kell. – Naprawdę myślisz, że lykne te bzdury?**

**O'Neill był zaskoczony. Nie spodziewał się, że Kell mu nie uwierzy. Kell spojrzał na Nelligana. – Pokaż mu, że się myli!**

**Osilek zamachnął się i pięść wielkości szynki z powrotem powaliła O'Neilla. Tym razem wylądował na kikucie ramienia i krzyknął z bólu.**

**–Panu O'Neillowi wyraznie dokuczają świeża rana – zadrwił Kell.**

**Nelligan zrozumiał. Kopnął O'Neilla w brzuch, potem przygwozdził go kolaniem i zaczął walić w kikut. Nie zważał na wrzaski ofiary, tylko patrzył na szefa, szukając aprobaty.**

**Na swoje szczęście O'Neill zemdlął. Już nie był w Cladeen. Znow miał szesnacie lat. Opierał się o płot farmy w Valeena, gdzie cała rodzina spędzała ostatnie wspólne wakacje. Świeciło słońce i zieleniła się trawa. Czuli na plecach ciepłe promienie. Czekal na Maureen, miejscowa dziewczynka. Szła ku niemu przez pole. Była w białej sukience, która tak bardzo lubił, i miała rozwiane włosy. Uśmiechała się i patrzyła na niego z młodzieńczą miłością. Boże, jak dobrze być młodym i zakochanym. Życie jest takie przyjemne, pełne... zimna, wilgoci i niewyobrażalnego bólu.**

**–Odzyskuje przytomność – powiedział Nelligan i odstawił wiadro.**

**–Dobrze mu jeszcze – rozkazał Kell.**

**–Przestaniecie! – rozległ się od drzwi krzyk Kathleen. – Tego chcecie? – Cisnela Kellowi list, odepchnęła Nelligana i uklekała przy bracie. Wzięła jego głowę w ramiona. – Przepraszam, ale nie mogłam znieść tego, co z toba wyprawiają.**

**–Zawsze byłeś w pobliżu, żeby wytrzymać mi nos – wystękał O'Neill.**

**Nelligan chciał ich rozdzielić, ale najpierw spojrzał pytająco na szefa.**

**Kell niecierpliwie machnął ręką dając mu do zrozumienia, że to nieważne. Zabrał się do czytania listu. Nelligan odsunął się, lecz nie spuszczał z oka rodzeństwa.**

**Reagan i jego kolega wrócili po bezowocnych poszukiwaniach Kathleen i stali teraz potulnie, czekając na wybuch gniewu Kella. Ale Dzieciaka całkowicie absorbowало coś innego. Skończył czytać i długo patrzył w przestrzeń. W pokoju panowała zupełna cisza. Nagle otrząsnął się, jakby sobie przypominał, gdzie jest. Uśmiechnął się.**

**–No, no... – mruknął. – Kto by pomyślał, że nasz przyjaciel-intelektualista nie kłamie. Jesteśmy mu winni przeprosiny, Nelligan.**

**Osilek niepewnie wyszczerzył zęby.**

**–Zabrać ich do Długiego Domu – warknął Kell.**

**Reagan wyprowadził rodzeństwo pod lufę. Kell nawet na nich nie spojrzał; znów się głęboko zamyslił.**

**–My też tam wracamy, panie Kell? – zapytał ostrożnie Nelligan, kiedy zostali sami.**

**–Nie – odparł szef. – Muszę pogadać z Harriganem. Zadzwoń do Anglii i daj go do telefonu.**

**Spotkanie z braćmi McGlynn zaplanowano w Pokoju Narad. Za plecami Kella stali Nelligan, Reagan i dwaj inni. Mieli kamienne twarze. Dominic i Sean McGlynnowie weszli w towarzystwie dwóch ochroniarzy.**

**–Milo cię widzieć, Finnbar – odezwał się Dominic.**

**–Was też, chłopcy – odrzekł Kell. – Czemu zawdzięczamy tę przyjemność?**

**–Mówiąc najkrócej, uznaliśmy, że czas zapomnieć o dzielących nas różnicach i znów połączyć siły.**

**–A co wam podsunelo taki pomysl? – zapytal Kell.**

**–Smierc O'Donnella – odparl Sean. – Z nim nigdy nie moglibysmy sie dogadac. Ty to co innego, Finnbar. Myslimy podobnie. Wszyscy wiemy, ze te polityczne bzdury nic nie dadza. Z Brytyjczykami trzeba gadac takim jezykiem, jaki najlepiej rozumieja.**

**Kell patrzyl przez chwile na braci, potem usmiechnal sie.**

**–No coz, chlopcy. Tak sie sklada, ze nie mogliście trafic na lepszy moment.**

**McGlynnowie wymienili spojrzenia i wyraznie sie odprezyli, podobnie jak cala reszta.**

**–Whisky dla naszych gosci, Nelligan – zarzadzil Kell.**

**–Wyglada na to, ze masz jakis pomysl, Finbarr – zauwazyl Dominic, przyjmujac szklanke.**

**–Owszem – potwierdzil Kell. – Sluchajcie uwaznie.**

**Kiedy Kell skonczyl, zapanowalo poruszenie. Wszyscy chcieli mowic jednoczesnie i przekrzykiwali sie nawzajem. Dzieciak uciszyl ich gestem.**

**–Sprawdziles to? – zapytal Dominic McGlynn.**

**–Jasne, ze sprawdzilem! – parsknal Kell. – Za kogo mnie masz? – I co?**

**–Miejsce jest szczelne jak puszka konserw. Nikt nic nie mowi, ale tez nikt go nie widzial od trzech tygodni.**

**–Masz kogos wewnatrz?**

**–Pewnego miejscowego. Wersja oficjalna glosi, ze zagrozilismy tamtemu smiercia i stad taka tajemnica.**

**–Ale dlaczego nie zwrocili sie o forse do Brytyjczykow? – zdziwil sie Sean McGlynn.**

**Kell usmiechnal sie.**

**–Zawsze latwiej handlowac z przyjaciolmi niz z wrogami, no nie?**

**–Gdybysmy go mieli, moglibysmy wytargowac wszystko, co chcemy – zauwazyl cicho Dominic.**

**–Dokladnie – przyznal Kell.**

**–Jak mozemy w to wejsc? – zapalil sie Sean.**

**–Zbierzcie forse – usmiechnal sie Kell. – Zawsze mieliscie swoje sposoby "gromadzenia funduszy", chlopcy.**

**–Myslisz o bankach? – Zgadza sie – przytaknal Kell.**

**–Nigdy tyle nie zgarniemy – mruknal Dominic McGlynn.**

**–W jednym banku nie – zgodzil sie Kell – ale jak obrobicie cztery naraz, bedzie tego calkiem sporo.**

**–Cztery?! – wybuchnal McGlynn. – Nie damy rady! Musielibysmy do tego zaangazowac wszystkich naszych ludzi!**

**–Nikommu nie jest lekko – przypomniał Kell.**

**–A co beda robic twoi ludzie? – zainteresowal sie Sean McGlynn.**

**Kell pokrecil glowa.**

**–Stracilismy O'Donnella, a O'Neill okazal sie zdrajca. Mamy kupe problemow Co najwyzej mozemy odwrocic uwage wroga, zeby wasi chlopcy spokojnie zrobili swoje, o ile wprowadzicie mnie w szczegoly.**

**–To ogromna suma. Skad wezmiesz reszte forsy? – zapytal Dominic.**

**–Od Amerykanow – odparl Kell.**

**–Zwykle niechetnie ja daja – zauwazyl McGlynn.**

**–Moze tym razem przekonam ich, zeby nie byli tacy skapi. Zapadla cisza. Tylko bracia McGlynn szeptali miedzy soba.**

**–No wiec? – zniecierpliwil sie Kell. – Wchodzicie w to czy nie?**

**–Wchodzimy – odpowiedzial Dominic. Nelligan nalal nastepna kolejke.**

**–Jak sie z nimi skontaktujesz? – spytal Sean. Kell usmiechnal sie.**

**–Damy ogloszenie w kolumnie "ogloszen drobnych" londynskiego "Timesa".**

**–Jakiej tresci?**

**–"Sean przekroczy Rubikon".**

Kilka pieter nizej Martin O'Neill podniosl glowe na dzwiek klucza w drzwiach tej samej celi, gdzie zastrzelil zdrajce. W progu stanal Liam Drummond. Przyniosl na tacy chleb i herbate.

–Mylilem sie – szepnal.

–Myliles sie? – nie zrozumial O'Neill. Drummond przytaknal.

–Kell zawarl sojusz z McGlynnami.

## 5

Padalo, kiedy Avedissian przyjechal do szpitala. Sciany budynku poczernialy od wilgoci i miejsce sprawialo ponure wrazenie. Przecisnal sie miedzy karetkami zaparkowanymi przed oddzialem naglych wypadkow i przystanal w wejsciu, zeby strzasnac z siebie wode. Potem pchnal uchylne drzwi i zatrzymal sie przed tablica informacyjna. Po chwili znalazl to, czego szukal: "Doktor S. Harmon. Konsultant." Poszedl wypucowanym korytarzem i minal poczekalnie. Siedzialo tam okolo dwudziestu osob. W poblizu plakalo dziecko, a matka z pielegniarka staraly sieje uspokoic. Przed pracownia rentgenowska lezal na wozku nastolatek z opuchnieta prawa kostka. Pielegniarki biegaly z miejsca na miejsce, a ich podeszwy skrzypialy przy zetknieciu z linoleum.

Avedissian podszedl do drzwi wlasciwego gabinetu i zapukal. Uslyszal jakis pomruk, wiec wszedl.

Harmon okazal sie szczuplym mezczyzna po czterdziestce z czarnymi wlosami i wyraznym cieniem zarostu. Spojrzal na Avedissiana znad okularow do czytania i zwolnil przycisk dyktafonu.

–Tak?– zapytal.

–Nazywam sie Gillibrand – powiedzial Avedissian.

–Niech pan siada. Zaraz skoncze.

Glos lekarza brzmial neutralnie. Avedissian nie wyczul w nim ani sympatii, ani wrogosci. Usiadl i spojrzal w okno, dajac Harmonowi czas na podyktowanie listu. Nie zobaczyl nic oprócz sasiedniego budynku. W oknie naprzeciwko pojawiala sie czasami jakas postac. Naliczyl dwie pielegniarki i trzech pacjentow w szlafrokach. – ... totez stopien sztywnosci stawu bedziemy w stanie ocenic dopiero za pewien czas. Z wyrazami i tak dalej. – Harmon wylaczyl dyktafon. – Witam w Belfascie. – Wzial od Avedissiana dokumenty, przejrzal je pobieznie i wrzucil do drucianego korytka na biurku. – Wiem, ze nie nazywa sie pan Gillibrand. Te bzdury sa dobre dla



administracji.

Teraz Avedissian wyczul w jego głosie cien niechęci.

–Bede z panem całkiem szczery – ciągnął Harmon. – Nie jestem zachwycony, że ktoś z zewnątrz mówi mi, kogo mam zatrudnić na moim oddziale.

–Rozumiem pana – odrzekł Avedissian.

–W Belfascie mamy do czynienia z przypadkami, jakich nie widziano od wojny w Korei. W kolejce do pracy czeka tłum lekarzy. A tu przysyłają mi kogos, kto nie miał styczności z takim oddziałem od czasów akademii medycznej.

Avedissian milczał i słuchał dalej.

–Nie wiem, co pan tu robi, Gillibrand, ale...

–Ja też nie – przerwał Avedissian. Miał tego dosyć. W innych okolicznościach ten człowiek byłby raczej jego kolega na równorzędnym stanowisku, a nie przełożonym.

–Mówi pan poważnie? – zdziwił się Harmon.

–Tak.

Harmon westchnął przeciągle.

–Boże, już mi się niedobrze robi od tych wiecznych tajemnic, intryg i... – wykonał nieokreślony gest, jakby szukał słów – zagadek. Bywają dni, że nie mogę się precyzyjnie wyrazić między facetami w szarych garniturach z lewymi plakietkami w klapach.

–Co pan ma na myśli? – zapytał Avedissian.

–Od kilku miesięcy na każdym takim oddziale szpitalnym w prowincji jest komórka służb specjalnych.

Avedissian wzruszył ramionami.

–W obecnej sytuacji to chyba normalne.

–Nie mówię o zwykłym zainteresowaniu policji tym, kto tu wchodzi i kto stąd wychodzi. Coś się dzieje albo będzie się działo, a oni czekają, patrzą i słuchają. Nie wiem co, i nie chcę wiedzieć. Chcę tylko, żeby nie wchodził mi w drogę.

–Może to ma coś wspólnego ze śmiercią O'Donnella – podsunął Avedissian. – Próbuje zebrać informacje o zmianach kadrowych w IRA.

**–Mogłoby tak być, gdyby nie to, że wszystko zaczęło się jeszcze przed śmiercią O'Donnella – odparł Harmon. – A skoro już o tym mowa, wie pan, że siedzimy na beczce prochu?**

**Avedissian przyznał, że słyszał pogłoski o nowym dowództwie IRA i o możliwości demonstracji siły.**

**–Ostatnim razem wywieźliśmy cztery śmieciarki bezpanskich konczyn – powiedział Harmon.**

**Avedissian skrzywił się.**

**–Chciałbym, żeby ci skurwiele chociaż raz tu zajrzeli po wybuchu swojej pieprzonej bomby. Chciałbym, żeby stali na środku sali operacyjnej, we krwi i wśród poszarpanych ciał, i wygłosili przemówienie o ich "walce o wolność". Musieliby krzyczeć, żeby zagłuszyć wrzaski. Może by je wtedy zapamiętali.**

**Avedissian skinął głową, ale wstrzymał się od komentarza. Nie był pewien, czy słowa Harmona mają podłoże polityczne, czy płyną z serca. Nie znał go jeszcze.**

**–No dobra, Gillibrand, czy jak panu tam. Odpowiada panu perspektywa składania ludzi do kupy? – zakończył Harmon.**

**–Nie. Napawa mnie obrzydzeniem – odrzekł Avedissian.**

**Na twarzy Harmona pojawił się wyraz zdumienia, jakby został zmuszony do zmiany zdania na temat siedzącego przed nim człowieka.**

**–Mnie też – wyznał cicho po chwili milczenia. – Ciesze się, że nie traktuje pan tego jak "nowego wyzwania". Miałem tu już wielu takich palantów, którzy nie widzieli ludzi, tylko "wyzwania".**

**Avedissian uśmiechnął się. Zaczynał czuć sympatię do Harmona.**

**–Podobno Belfast w zyciorysie wystarczy za dziesięć innych miejsc. Harmon odwzajemnił uśmiech.**

**–Dokładnie.**

**Do gabinetu zajrzała pielęgniarka. Przepraszyła, że przeszkadza, ale doktor Harmon jest proszony na izbę przyjęć. Harmon wstał.**

**–Chodźmy.**

**Avedissian włożył biały fartuch. Poczul się szczęśliwy, bo nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś to zrobi. Ale zaraz się zaniepokoił. Minęło tyle czasu... Poradzi sobie?**

**–Od razu na głęboka wodę, co? – zagadnął Harmon, kiedy szli korytarzem.**

**–Może być – odparł Avedissian.**

**Został przedstawiony pielęgniarce i stanął oko w oko z pierwszym pacjentem. Mężczyzna po trzydziestce spadł z drabiny.**

**Wraz z upływem godzin przybywało zranień, zwichnięć i złamań. Harmon uprzedził go, że to tylko cisza przed burzą, ale Avedissianowi dało to czas na przypomnienie sobie tego, co kiedyś potrafił.**

**Powazny przypadek trafił się dopiero późnym popołudniem, gdy przyjęto sześć osób rannych w groźnym wypadku samochodowym. Dwie zmarły, cztery były w ciężkim stanie. Avedissianowi wypadło zająć się mężczyzną po dwudziestce z uszkodzeniami klatki piersiowej i nog. W pewnym momencie akcja serca ustalała i Avedissian przeżył dziesięć długich sekund grozy, zanim udało mu się reanimować pacjenta.**

**Mimo zdenerwowania i obawy, czy sobie poradzi, Avedissian nie dał po sobie nic poznać. Działał ze spokojem profesjonalisty, co nie uszło uwagi Harmona, który zerknął na niego z nad stołu operacyjnego i powiedział:**

**–Witam na pokładzie.**

**Avedissian tylko skinął głową: nie miał czasu na rozmowę. Jeszcze nie skończył z chłopakiem, a w kolejce czekał następny pacjent.**

**–Przedawkowanie leków w drodze – zawiadomiła pielęgniarka oddziałowa. – Kobieta, czterdzieści dwa lata. Librium.**

**–Dziękuję, sestro – odrzekł Harmon, nie podnosząc głowy. – Proszę ją przygotować, dobrze?**

**Były jeszcze dwa inne przedawkowania, trzy wypadki samochodowe, oparzenie i ofiara "kłotni rodzinnej", jak to określiła policja. W końcu Avedissian mógł przekazać dyżur nocnej zmianie.**

**Wdrapał się po schodach do swojego pokoiku w kwaterze dla lekarzy i opadł na łóżko. Był wykończony. Na szczęście nie stracił zawodowych umiejętności, ale pierwszy dzień pracy po tak długiej przerwie kosztował go wiele nerwów i wysiłku. Mimo to dawno nie czuł się tak dobrze. Nawet obskurne otoczenie nie psuło mu humoru. Nie zwracał uwagi na odpryskującą zieloną farbę na ścianach klitki, która znajdowała się w wiktoriańskiej wieży należącej do publicznej służby zdrowia. Bryant miał rację. Praktyka na oddziale nagłych wypadków okazała się tym, czego potrzebował. Pobyt w Belfascie przywracał mu poczucie własnej wartości, tak jak**

**pobyć w Llangern przywrócił mu sprawność fizyczną.**

**Gdy trochę odpoczął, poszedł do stołówki. Potem wrócił na górę i zabrał się do czytania. Harmon zaopatrzył go w materiały poświęcone medycynie wojskowej. Zaczął od ran postrzałowych.**

**Mijały dni i w miasteczku rosło napięcie. Na razie plotki krążyły w pubach nie znajdowały potwierdzenia – IRA nie rozpoczęła akcji odwetowej za śmierć O'Donnella. Optymiści uważali nawet, że zabicie go zadało organizacji zbyt dotkliwy cios, by mogła się szybko pozbierać. Pesymisci tylko czekali, co będzie. Pogoda nie poprawiała nastrojów. Nieznosna duchota wszystkim dawała się we znaki. Zdawało się, że miasto przygniata wielka, wilgotna chmura. Ludzie pocili się przy najmniejszym wysiłku i stali się nerwowi.**

**Avedissian skrzywił się i rozluźnił kołnierzyk. Właśnie zaczynał popołudniowy dyżur. Na oddziale unosił się nieprzyjemny odor potu. Nawet won środków znieczulających i dezynfekujących nie mogła go zabić.**

**–Co dziś mamy? – zapytał dyżurna pielęgniarkę.**

**–Niewiele. Skrecona kostka i złamany kciuk.**

**Dzień nie należał do wyczerpujących. O dziewiątej wieczorem praca dobiegła końca. Avedissian zdejmował fartuch, kiedy przed wejściem zatrzymała się karetka. Sanitariusze wwieźli do środka kobietę. Wyglądała na ciężko pobita. Ponieważ Harmon miał wolne, a młodszy lekarz innego pacjenta, Avedissian postanowił się nią zająć.**

**Opuchlizna i zakrzepła krew niemal uniemożliwiły rozpoznanie twarzy okolonej pięknymi, rudymi włosami. Avedissian delikatnie zbadał kończyny, ale nie stwierdził złamań: znalazł tylko sinię. Skierował ją na przeswietlenie.**

**Wyniki potwierdziły jego nadzieję, że stan pacjentki jest lepszy, niż na to wygląda. Kości i czaszka były całe. Została jednak tak ciężko pobita, że dopiero teraz zaczęła odzyskiwać przytomność. Próbowła coś powiedzieć, ale pielęgniarka nalegała, żeby na razie odpoczywała. Kobieta nie dawała za wygraną.**

**–W porządku – zdecydował Avedissian. – Niech mówi.**

**Kiedy pacjentka usiłowała skłecić zdanie, dyskretnie zapytał pielęgniarkę:**

**–Wiemy, kim ona jest?**

**Zaprzeczyła.**

**–Nie miała torebki ani dokumentów. – A wiemy, dlaczego ja pobito?**

**–Nie. Ktos zadzwonił pod 999. Nie przedstawił się.**

**–No jasne – mruknął pod nosem Avedissian. W Belfascie ludzie woleli się do niczego nie mieszać. Częściej niż gdzie indziej w Zjednoczonym Królestwie unikali angażowania się w cokolwiek.**

**–Muszę rozmawiać... z kims... z brytyjskich służb wywiadowczych... – wykrztusiła z trudem kobieta.**

**–Poproszę tu policjanta – zaproponowała pielęgniarka. Avedissian miał zamiar się zgodzić, gdy pacjentka chwyciła go za ramię.**

**–Nie chce policji... Kogoś z wywiadu... Bryanta... Avedissian poczuł zimny dreszcz.**

**–Niech pani zaczeka, siostró – powiedział do pielęgniarce, która już doszła do drzwi. Zatrzymała się z ręką na klamce.**

**Pochylił się nad kobietą.**

**–Co pani o nim wie?– szepnął.**

**–Muszę go zawiadomić... Mam ważne informacje... Jestem... Kathleen O'Neill... Siostra Martina O'Neilla...**

**Avedissian nie znalazł tego nazwiska. Wyprostował się i podszedł do pielęgniarce.**

**–Twierdzi, że nazywa się Kathleen O'Neill. Mówi to pani coś? Dziewczyna przecząco pokręciła głową.**

**–Podobno jest siostra Martina O'Neilla.**

**–Aha, już wiem. – Pielęgniarce wyjaśniła, że to jeden z przywódców IRA.**

**Avedissian wrócił do kobiety.**

**–Może nam pani zdradzić, o co chodzi? Musi pani odpocząć, wyspać się.**

**–Nie... Chcę rozmawiać z Bryantem... Powiedzieć mu coś... o poszukiwanej osobie...**

**Avedissian wzruszył ramionami i zwrócił się do pielęgniarce.**

**–Trzeba zawiadomić służbę bezpieczeństwa. Wybrała numer i podała mu telefon.**

**–Jest sygnał.**

**–Tu doktor Gillibrand z oddziału nagłych wypadków szpitala ogólnego. Mam u siebie kobietę, która podaje się za siostrę Martina O'Neilla. Chce rozmawiać z kimś o nazwisku Bryant, żeby przekazać wiadomość o poszukiwanej osobie.**

**Po niecałym kwadransie przed szpitalem zahamowała czarna limuzyna. Z samochodu wyskoczył Bryant w towarzystwie trzech mężczyzn. Ruszył prosto przed siebie, a za nim jego ludzie, strzelając oczami na wszystkie strony.**

**–Co za przypadek, doktorze Gillibrand – mruknął pod nosem, kiedy upewnił się, że nikt go nie słyszy. – Jak leci na Szmaragdowej Wyspie?**

**Avedissian nie po raz pierwszy zauważył drwinę w słowach "Szmaragdowa Wyspa".**

**–Jakos sobie radzę – odrzekł.**

**–To dobrze. Gdzie ta O'Neill? Avedissian wskazał zamknięte drzwi.**

**–Tam. Ale jest bardzo słaba. Ktoś ją ciężko pobił. Bryant wyszczerzył zęby, jakby usłyszał dobry dowcip. – Naprawdę? To żaden wstyd.**

**–Uważam, że z przesłuchaniem powinien pan poczekać do rana – powiedział Avedissian.**

**Uśmiech zniknął z twarzy Bryanta.**

**–Jak będę potrzebował "fachowej" porady, to się po nią zwrócę, doktorze – wycedził. – Idziemy.**

**Avedissian ugryzł się w język i poszedł przodem. Już miał wejść do sali, gdy Bryant przytrzymał go za ramię.**

**–Proszę poczekać na zewnątrz.**

**–To moja pacjentka! – zaprotestował głośno Avedissian. Bryant przeszył go gniewnym spojrzeniem.**

**–Nie przesadzaj z tą grą, doktorze.**

**–Dla niej to nie żadna gra – syknął wściekle Avedissian.**

**–Zrób jej krzywdę, a rozwalę ten cały cholerny domek z kart. I pieprze konsekwencje!**

**Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, wreszcie Bryant uległ.**

**–W porzadku, doktorze – usmiechnal sie. – Piec minut, nie wiecej. Obiecuje.**

**Drzwi zamknely sie Avedissianowi przed nosem. Odwrocil sie i napotkal zdumione miny pielegniarek. Nie rozumialy, co sie dzieje. – Zastrani biurokraci!– mruknal.**

**–To samo mowi doktor Harmon – zauwazyla jedna z kobiet.**

**Bryant dotrzymal slowa i wyszedl po pieciu minutach. Wygladal na bardzo zadowolonego. Kiedy podszedl do Avedissiana, pielegniarki rozeszly sie.**

**–Gwiazdka wczesnie przyszla tego roku – powiedzial. – A Swiety Mikolaj byl dla nas bardzo hojny.**

**Avedissian spodziewal sie jakichs wyjasnien, ale sie nie doczekal. Zamiast tego uslyszal:**

**–Bedziemy musieli przeniesc stad te O'Neill. – Otworzył usta, zeby zaprotestowac, ale Bryant szybko go powstrzymal. – Dla jej wlasnego dobra. I dla bezpieczenstwa calego szpitala. Jak myslisz, doktorze: co robi IRA, kiedy sie dowie, ze lezy tu Kathleen O'Neill i zdradza Brytyjczykom tajemnice Irlandczykow? Moze ci sie zdaje, ze te sukinsyny oszczedza szpital? – Bryant zasmial sie drwiaco. – Ktos po nia przyjedzie. Bedzie pod dobra opieka.**

**Kathleen O'Neill zabrano o drugiej w nocy. Wszystko odbylo sie szybko i po cichu, jakby jej tu w ogole nie bylo. Avedissianowi nie przypadlo to do gustu. Zatrzymal sanitariuszy wiozacych ja do karetki i zapytal, jak sie czuje. Popatrzyła na niego wielkimi, zielonymi oczami. Dostrzegl w nich strach, ale odpowiedziala dzielnie – Duzo lepiej, doktorze. Dziekuje za pomoc. – Scisnal ja za reke i usunal sie z drogi.**

**Maly konwoj odjechal w ciemnosc bez syren i migajacych swiatel. Zagrzmielo, niebo przecielo blyskawica. Parne dni sie skonczyly.**

**Avedissian stal w wejsciu i patrzyl, jak ulewa zmywa chodniki i przepelnia rynny. Oceany wody, pomyslal. Jakby sam Neptun chcial splukac miasto do czysta.**

**Avedissian czytala piatkowa poranna gazete, gdy jego uwage przykul naglowek: "Wysoki urzednik panstwowy poniosl smierc, skaczac z okna". Artykul donosil, ze jeden z dyrektorow w Ministerstwie Spraw Wewnetrznych – sir Michael Montrose – zginal po upadku z ostatniego pietra budynku w Belgravii. Policja nie podejrzewa morderstwa.**

**Avedissiana zainteresowal nie tyle tekst, co fotografia zmarlego. Sir Michael Montrose byl tym samym czlowiekiem, ktory przyjal go, wraz z trzema innymi, w Cambridge. Avedissian pamietal niechec, z jaka odnosili sie do siebie nieboszczyk i Bryant. Ale dlaczego starszy z nich odebral sobie zycie?**

Zanim zdążył się nad tym zastanowić, rozpetalo się piekło. Podczas porannego szczytu, w centrum handlowym Shamrock wybuchła bomba o potwornej sile rażenia. Mimo iż szpital znajdował się o mile stamtąd, Avedissian i inni poczuli wstrząs i z sufitu poleciał tynk. Jedna z pielęgniarek przezegnała się. Harmon zaklął głośno.

Avedissian, jak wielu innych, stał bez ruchu w śmiertelnej ciszy, która zapadła chwilę potem. Wyobrażał sobie skutki detonacji. Jęk syren wyrwał wszystkich z odretwienia. Rzucili się do swoich zajęć.

Radio wzywało cały personel do powrotu z urlopów i apelowało o krew. Pielęgniarki przygotowywały opatrunki i narzędzia chirurgiczne. Z drugiego kranca miasta dochodziły strzały i wszyscy wiedzieli, że zawieszenie broni się skończyło.

Avedissian jeszcze nigdy nie widział tak straszliwie okaleczonych ciał i tylu ofiar jednocześnie. Katastrofa kolejowa, którą oglądał przed laty, wydała mu się teraz niczym w porównaniu z tą masakrą. Ranni wykrwawiali się na śmierć w karetkach, zanim dotarli do szpitala. Inni, którzy na swoje nieszczęście nie stracili przytomności, patrzyli w szoku na własne wnętrza wychodzące z rozerwanych brzuchów. Chłopiec bez nóg próbował uciec z noszy. Kobieta bez twarzy krzyczała przez bezkształtny, poszarpany otwór po ustach. Avedissian po raz pierwszy słyszał taki dźwięk.

Pracował jak w amoku. Czuł lodowaty spokój i chwilami to wszystko wydawało mu się nierealne – umysł buntował się przeciwko temu, co widziały oczy. Dopinguowało go zachowanie Harmona: lekarz był bardzo opanowany, dyrygował pielęgniarkami, dodawał im otuchy, czuwał nad wszystkim z chłodną profesjonalną wprawą.

Avedissian wiedział, że Harmon potrafi ulegać emocjom, bo wcześniej słyszał jego opinie na temat takich sytuacji. Ale teraz lekarz zupełnie nie okazywał uczuć, miał wszystko pod kontrolą i dawał przykład innym. W tej chwili Avedissian podziwiał go jak nikogo przedtem.

Po pewnym czasie porządek wziął górę nad początkowym chaosem. Portierzy odwiezli zmarłych do szpitalnej kostnicy, część rannych czekała na wózkach w kolejkach do sal operacyjnych, inni pozostali na oddziale intensywnej terapii.

Avedissian stracił poczucie czasu. Rozpaczliwie usiłował zatamować krwawienie u chłopca z ramieniem oderwanym tuż przy barku, gdy usłyszał komunikat, że w drodze są dwie ofiary strzelaniny.

Nowych pacjentów przywoził konwoj pojazdów policyjnych i wojskowych. Eskorta obchodziła się z poszkodowanymi dość brutalnie. W ciężarówkach leżało kilka ciał. Avedissian i Harmon ustalili, że zmarli jeszcze przed zabraniem ich do szpitala.

–Teraz druga strona – powiedział Harmon, kiedy obaj wrócili do sali.



**–Co pan ma na myśli? – zapytał Avedissian.**

**–Ci sa z IRA – odrzekł Harmon, wskazując mężczyzn na stołach. Jeden z żołnierzy, który slyszal o masakrze w centrum handlowym, nie wytrzymał. Uniosł bron i wycelował w rannego. Powstało zamieszanie. Wśród krzyków paniki został wyprowadzony z oddziału przez podoficera. Harmon zwrocil sie do inspektora policji.**

**–Co sie stalo w miescie?**

**–Wyglada na to, ze IRA i INLA przeprowadzily wspolna akcje. IRA zaatakowala centrum handlowe, a INLA w tym samym czasie napadla na kilka bankow.**

**–I co sie stalo?**

**–Nie wyszlo im. Odwrocenie uwagi nic nie dalo. INLA zostala doszczetnie rozbita.**

**Harmon rozejrzal sie po kaluzach krwi i strzepach ludzkiej tkanki, ktorych jeszcze nie usunieto.**

**–Odwrocenie uwagi? To mialo byc... odwrocenie uwagi?**

**–Lepiej niech pan tu przyjdzie, doktorze – poprosila jedna z pielegniarek, zajmujaca sie rannym lezacy na wozku.**

**Dyzurna rozciela ubranie mezczyzny. Dostal dwie kule: jedna w ramie, druga w lewe udo. W obu wypadkach pociski strzaskaly kosci, ale przeszly na wylot.**

**–Bron wojskowa – powiedzial Harmon. – Jak sie z niej dostanie, czlowiek juz sie nie podniesie.**

**Avedissian zajal sie drugim postrzelonym. Ucierpial mniej: zostal trafiony tylko raz, w lewa lydke. Pocisk wszedl pod katem i wyzlobil w ciele tunel. Ale since na twarzy i tulowiu wskazywaly, ze przezył "ciezkie" aresztowanie.**

**Kiedy wreszcie zapanowal spokoj, Harmon powoli usiadl na pulpicie chirurgicznym i zapalil papierosa. Poczestowal Avedissiana, ale ten odmowil. Siedzieli w milczeniu, dopoki nie podeszla dyzurna pielegniarka z herbata.**

**–Wyjdzie pani za mnie, siostro? – zapytal Harmon, biorac filizanke jak swietego Graala.**

**–Niech pan sie ustawi w kolejce – powiedzial Avedissian.**

**Nazajutrz w gazetach dominowal ostrozny ton, bo zwyciestwo sil bezpieczenstwa nad INLA przycmila tragedia w centrum handlowym Shamrock. Zginelo siedemnascie osob, piec wciaz znajdowalo sie w stanie krytycznym, a czterdziestci trzy odniosly**

**obrażenia. Niektorzy zostali okaleczeni do końca życia.**

**Kosciol ponowil apele o zaprzestanie stosowania przemocy, ale jak zwykle nie trafily one pod wlasciwy adres. Protestantcy zwolennicy twardej linii grozili odwetem za "krwawy akt terroru", a politycy mowili to, co chcieli uslyszec wyborcy Szarzy obywatele byli przygnebieni i wsciekli. Po chwilowej ciszy w Irlandii Polnocnej wszystko wrocilo do normy.**

**Avedissian mial wolne. Siedzial w swojej klitce, gdy ktos zapukal. Powiedzial "prosze", ale nikt nie wchodzil. Wstal i otworzyl drzwi. W progu stal Paul Jarvis.**

**–Nie wierze wlasnym oczom! – wykrzyknal z radoscia zaskoczony Avedissian.**

**–Zycie jest pelne niespodzianek – wyszczerzyl zeby Jarvis.**

**Avedissian zaprosil goscia do srodka i posadzil na jedynym krzesle. Sam przysiadl na rogu lozka.**

**–Niezbyt tu elegancko, ale zawsze to dom – powiedzial, rozgladajac sie po klitce.**

**–Juz nie na dlugo – odrzekl Jarvis.**

**–Cos sie dzieje? – zapytal Avedissian.**

**–Jutro mamy spotkanie z Bryantem. Twój pobyt tutaj dobiegl konca. Przyjechalem specjalnie, zeby cie o tym poinformowac.**

**Avedissian przyjal te wiadomosc z mieszanymi uczuciami. Spodobala mu sie praca z Harmonem. Juz niemal uwierzyl, ze naprawde wrocil do zawodu.**

**–Uprzedze doktora Harmona – powiedzial.**

**–Juz wie – odparl Jarvis. – Musial miec czas na znalezienie kogos na twoje miejsce.**

**–No tak, oczywiscie. – przyznal cicho Avedissian. – Przyjechales z Walii czy ze swojej bazy?**

**–Z Edynburga. Dostalem trzy dni urlopu i pojechalem do mojej dziewczyny.**

**–Annie – przypomniat sobie Avedissian.**

**–Masz doskonala pamiec – pochwalil Jarvis.**

**–Poprawila mi sie, odkad skonczylem z dzinem.**

**–Ach, bylbym zapomniat. Przepraszam. – Za co?– zdziwil sie Avedissian.**

**–To ja zabralem ci butelke w Llangern – wyjasnil Jarvis.**

**–Rozumiem... Chyba powinienem podziekowac.**

**–Byles raczej w kiepskiej formie – przyznal Jarvis.**

**–Wiec czego sie jutro dowiemy? – zmienil temat Avedissian.**

**–Wiem tyle, co ty. Mialem cie tylko zawiadomic i zabrac stad jutro rano.**

**Avedissian zaprosil Jarvisa na kolacje, ale ten odmowil. Musial sie zameldowac z powrotem. Umowili sie na dziesiata rano.**

**Avedissian poszedl na oddzial, zeby poszukac Harmona. Znalazl go w gabinecie nad sterta papierow i w zlym humorze.**

**–Cholerne idiotyzmy! – parsknal lekarz i odlozyl dlugopis. – Sprawozdania, sprawozdania i jeszcze raz pieprzone sprawozdania! Nikt ich nie czyta, tylko rzucaja na kupe!**

**Avedissian usmiechnal sie wspolczujaco. – Tak juz jest na tym swiecie.**

**–Juz pana zawiadomili? – zapytal Harmon, widzac jego mine. Avedissian przytaknal.**

**–Szczерze zaluje, ze musze wyjechac – dodal. Harmon zdjal okulary.**

**–Nigdy nie myslalem, ze to powiem, ale szkoda mi pana tracic. Dobrze nam sie pracowalo... doktorze Avedissian.**

**–Wiedzial pan?**

**–Wiem dopiero od kilku dni, choc panska twarz od poczatku wydawala mi sie znajoma. Potem przypomnialem sobie tamta sprawe. Nie pamietalem wszystkich szczegolow, wiec sprawdzilem je.**

**–Rozumiem.**

**–Jesli to pana pocieszy, jestem po panskiej stronie. Avedissian wstal.**

**–Dziekuje, doktorze. Jest pan bardzo uprzejmy. – Wyciagnal reke.**

**–Mowie powaznie – zapewnil Harmon. Uscisneli sobie dlonie. – Niestety, nigdy nie moglbym zaproponowac panu pracy, ale zycze powodzenia.**

**Avedissian wyszedl z gabinetu i po raz ostatni rozejrzal sie po oddziale. Wrocil do siebie, zeby spakowac rzeczy. Potem zjadl kolacje i wczesnie poszedl spac.**

Jarvis przyjechał punktualnie o dziesiątej. Podczas jazdy przez miasto Avedissian z przygnębieniem patrzył na znajome ulice: przypominały mu służbę wojskową w Belfascie. Przez tyle lat nic się nie zmieniło, myślał. Całe nowe pokolenie wyrosło wśród broni i mundurów. Wszęchobecne, fanatyczne graffiti mówiły same za siebie. W Irlandii wrogiem był sąsiad.

Samochód zwolnił i skręcił na podjazd ogrodzony z obu stron wysokimi, czarnymi sztachetami. Kierowca otworzył pilotem żelazną bramę i wjechali na polkolistą podjazd przed niskim, georgianskim budynkiem. Wejście zdobiły ozdobne latarnie. Szyld na ścianie głosił, że to "Południowoirlandzkie Archiwum Ziemi – Okręg nr 7".

Avedissian i Jarvis zostali wprowadzeni do pokoiku na tyłach gmachu, od strony zadbanych ogrodów. Sekretarka poprosiła, żeby poczekać, i zaproponowała kawę. Popijali ją w milczeniu i wyglądali przez okno.

–Pan Bryant prosi do siebie – usłyszeli w końcu.

Zostawili filiżanki oraz spodeczki na parapecie i weszli za sekretarką do wielkiego gabinetu. Bryant siedział za długim, mahoniowym biurkiem.

–Koniec czekania, panowie – oznajmił. – Zaraz wam wyjaśnię, do czego jesteście nam potrzebni.

Avedissian i Jarvis wymienili szybkie spojrzenia i zamienili się w słuch.

–Kilka tygodni temu – zaczął Bryant – porwano dziecko. Ślad po nim zaginął. Chcielibyśmy, żebyście pomogli nam je odnaleźć.

Avedissian był zaskoczony.

–A policja?

–Nie została zawiadomiona. Jarvis był nie mniej zaskoczony.

–Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem, sir.

Bryant wyjął z szuflady zdjęcie rodzinne. Podsunął je obu mężczyznom i wskazał palcem jedno z dzieci.

–To ono.

Avedissianowi opadła szczeka. Jarvis zareagował podobnie.

–Mówi pan poważnie?! To przecież rodzina królewska!

–Właśnie – odparł Bryant.

**–Porwano dziecko z rodziny królewskiej?! – zapytał z niedowierzaniem Jarvis. – Ale jak to się udało utrzymać w tajemnicy? I dlaczego?**

**–Ze względu na reperkusje – wyjaśnił Bryant.**

**–Nic z tego nie rozumiem – westchnął Avedissian. – Jakie reperkusje?**

**–Z braku jakichkolwiek informacji wina spadłaby na IRA. Skutki nietrudno przewidzieć: zemście nie byłoby końca.**

**–Ma pan na myśli wojnę domową? – zapytał Jarvis.**

**–Dokładnie. Zwolennicy twardej linii ruszyliby na osiedla katolickie i ulice spłynęłyby krwią.**

**–Powiedział pan: "z braku jakichkolwiek informacji" – zauważył Avedissian. – Czy to znaczy, że nie wiecie, kto uprowadził dziecko?**

**–Zgadza się – przyznał Bryant.**

**–Wiec to może być IRA – powiedział Jarvis.**

**–Nie – zaprzeczył Bryant. – To wiemy na pewno.**

**–Skąd?**

**–Bo zezadano od nich okupu.**

**–Co?! – wykrzyknęli chórem Avedissian i Jarvis.**

**–Porywacze zezadali okupu od IRA, nie od nas.**

**–Ale dlaczego?**

**–Prawdopodobnie uznali, że z IRA łatwiej będzie się dogadać i że zakładnik bardzo jej się przyda jako karta przetargowa.**

**–Chyba IRA nie skorzysta z okazji? Z przyczyn, o których pan wspomniał. Wybuchłaby wojna domowa.**

**–Zdaje się, że jej nowy przywódca zamierza zaryzykować – odparł Bryant.**

**Avedissian nagle stał się podejrzliwy, choć do tej chwili przyjmował słowa Bryanta za prawdę.**

**–Ale jak udało się utrzymać to w tajemnicy? Ludzie nie wiedzą, że dziecka nie ma w**

domu?

–Według oficjalnej wersji dzieciom z rodziny królewskiej grozono śmiercią. Wzmocniono ochronę, rodzina nie pokazuje się publicznie, i tak dalej. Tylko wąskie grono zaufanej służby wie, że dziecko zaginęło. Wszyscy zostali zobowiązani do zachowania milczenia.

–Przecież nie można ukrywać tego w nieskończoność – zaprotestował Avedissian.

–Oczywiście, że nie. Dlatego musimy jak najszybciej odzyskać dziecko, skoro już wiemy, czego zadają porywacze.

–A skąd to wiecie? – zainteresował się Jarvis.

Bryant przycisnął guzik na biurku. Oparł się wygodniej i czekał w milczeniu. W końcu drzwi się otworzyły i sekretarka wprowadziła do gabinetu kobietę, która szła wolno i sztywno. Była nią Kathleen O'Neill.

Bryant zwrócił się do Avedissiana.

–Zdążyliście się już poznać, prawda?

Avedissian wstał i uśmiechnął się do Kathleen. Odwzajemniła uśmiech. Dodała, że miło go znów widzieć. Zapytał ją o zdrowie i zauważył, że śmiech na twarzy prawie zniknął. Przedstawił jej Jarvisa, potem wszyscy usiedli.

Bryant wyjaśnił:

–To panna O'Neill poinformowała nas, że porywacze zaszali okupu od IRA. Chcieli za dziecko dwadzieścia pięć milionów dolarów, ale nieżyjący już przywódca, O'Donnell, zwlekał ze wspomnianych wcześniej przyczyn. Teraz na czele organizacji stoi nowy człowiek, Kell. Chce skorzystać z oferty.

–A skąd panna O'Neill wie to wszystko? – zapytał Jarvis.

–Jestem siostrą Martina O'Neilla – odpowiedziała Kathleen.

Bryant dostrzegł minę Jarvisa.

–Pewnie się dziwicie, dlaczego wierzymy siostrze jednego z najbardziej poszukiwanych ludzi w prowincji?

–Szczepnie mówiac, tak.

–Oprócz informacji o zadaniu okupu panna O'Neill przekazała nam również wiadomość o nowym sojuszu IRA i INLA. Ostrzegła nas, że INLA zamierza napasać na

banki w zeszly piątek, i powiedziala na ktore. W duzym stopniu to jej zawdzieczamy sukces w rozbiciu INLA i uniemozliwienie IRA zdobycia pieniedzy na okup.

Avedissian spojrzal na Kathleen i zapytal po prostu:

–Dlaczego?

–Moj brat, podobnie jak Kevin O'Donnell, uwazal, ze IRA nie powinna miec nic wspolnego z ta sprawa. O'Donnell rozkazal mu nawet doreczyc Brytyjczykom list z zadaniem okupu, ale Kell go przejal.

–Co sie stalo z pani bratem? Kathleen spuscila wzrok.

–Kell zastrzelil go na moich oczach. – Ale pani udalo sie uciec?

–Tez mialam umrzec, ale mezczyzna wyznaczony do wykonania egzekucji mial przedtem wobec mnie inne plany.

–To on pania pobil?

–Tak. Najpierw mnie zgwalcil, potem zasnal. Ogluszylam go i ucieklam, zanim odzyskal przytomnosc.

–Wiele pani przeszla – powiedzial cicho Avedissian.

–Osmiele sie zauwazyc, ze w swoim czasie rodzina O'Neillow nie szczedzila cierpien innym – wtracil chlodno Bryant.

–Wiec co teraz?– zapytal Jarvis.

–Dwa dni temu IRA zamiescila w "Timesie" zaszyfrowana wiadomosc, ze chce negocjowac z porywaczami. Nasi ludzie kontroluja sytuacje.

–A skad IRA wezmie pieniadze? – zaciekawil sie Avedissian.

–Na pewno nie z banku – usmiechnal sie lodowato Bryant. – Z zagranicy.

–To znaczy?

–Od NORAIID-u, czyli bandy glupich, nieuswiadomionych Jankesow.

–Az tyle? – mruknal Jarvis. – Dwadziescia piec milionow?

–To jest operacja "wszystko albo nic" – odparl Bryant.

–A jaka jest nasza rola? – zapytal Avedissian.

**–Stworzyliśmy specjalny zespół ratunkowy. Składa się z przedstawicieli wszystkich możliwych dziedzin. Są w nim kierowcy, alpinisci, spadochroniarze... Można by długo wymieniać. Ich zadaniem jest odzyskać dziecko. Kiedy zrobią swoje, przekaza chłopca wam dwóm. Odstawicie go do domu, a oni będą zabezpieczać tyły, jak to się mówi. Ty, doktorze, będziesz odpowiedzialny za jego zdrowie.**

**–A ja?– chciał wiedzieć Jarvis.**

**–Będziesz łącznikiem między zespołem i Avedissianem.**

**–Kiedy zaczynamy? – zapytał Avedissian.**

**–Niedługo.**

**–A do tego czasu?**

**–Zostaniecie tutaj.**

**–Panna O'Neill też? – spytał Avedissian. Bryant uśmiechnął się.**

**–Też. Jak dotąd jej informacje okazywały się dla nas bezcenne. Zapewne może nam jeszcze wiele powiedzieć o Kellu i jego ludziach. Na piętrze mamy dla was wygodne pokoje. Dostaniecie wszystko, o co poprosicie. Oczywiście w granicach rozsądku.**

## **6**

**Avedissian przyłapał się na tym, że ciągnie go do Kathleen O'Neill. Najpierw przekonywał sam siebie, że to zainteresowanie czysto medyczne. Potem, kiedy siniaki zniknęły, że to tylko współczucie. To prawda, iż w krótkim czasie wszystko straciła, czekała ją zmiana tożsamości i przymusowa emigracja z jedyne go kraju, który znała. Ale prawdą było też, że pociąga go jako kobieta. Gdy znikły ślady pobicia, zauważył, że jest bardzo piękna. Już wcześniej dostrzegł zielone oczy i włosy, ale dopiero teraz odkrył delikatność rysów twarzy, która nadawała jej urzekająco pogodny wyraz.**

**Było jasne, że Bryant i Jarvis nie podzielają jego sympatii do Kathleen. Winili ją za grzechy rodziny. Podczas jej nieobecności Bryant zawsze mówił o niej "ta O'Neill". Paul Jarvis zachowywał się poprawnie, ale z rezerwą.**

**Chociaż mieli zakaz opuszczania budynku, "areszt domowy" nie ograniczał korzystania z ogrodu. Avedissian i Kathleen spędzali tam dużo czasu. Jarvis dbał o formę i wolał ćwiczyć w siłowni na ostatnim piętrze.**

**Avedissian próbował nakłonić Kathleen do zwierzeń na temat rodziny i stosunku do**



brata, ale bez większego powodzenia. Podczas kolejnej przechadzki znow o to zapytał.

–Nie rozumiałby pan – usłyszał ku swemu niezadowoleniu.

–Dlaczego?

–Bo nie ma pan zrozumienia dla naszej historii.

–Historia! – parsknął Avedissian. – Zawsze ta "historia"! – Jest ważna.

–Powiedziałbym, że dużo ważniejsza jest przyszłość.

–Wygodny punkt widzenia – odparła Kathleen. – Chce zrozumieć. Naprawdę.

Kathleen uśmiechnęła się.

–Przestanmy rozmawiać o polityce, dobrze? Po chwili wahania Avedissian zgodził się.

–Niech pani mi opowie o swojej pracy. Jest pani nauczycielka, prawda? Mówiła o tym chętnie i z zapalem. Odnosił wrażenie, że bardzo lubi dzieci i że zawód jest dla niej tak ważny, jak dla niego praktyka lekarska. Zastanawiał się nawet, czy Kathleen zdaje sobie sprawę, że zapewne już nigdy nie będzie uczyć. Ale nie miał serca przypominać jej o tym. Słuchał opowieści o szkole średniej i uczniach i śmiał się z nich.

–Nie wyszła pani za mąż? – zapytał, gdy na chwilę zamilkła.

–Nie. A pan jest żonaty?

–Jestem wdowcem.

–Przepraszam.

Avedissian nieoczekiwanie dał się wciągnąć w rozmowę o sobie. Kathleen zaczęła go wypytywać o jego życie i karierę zawodową. Do tej pory to on nadawał kierunek rozmowie i już się do tego przyzwyczaił. Teraz miał ochotę wykrecac się od odpowiedzi. Był z siebie niezadowolony.

–Zawsze chciał pan zostać lekarzem?

Avedissian zamierzał skłamać, że tak, w końcu zrezygnował. Sam nie wiedział dlaczego, ale nie potrafił jej oszukiwać.

–Nie – odpowiedział. Miał nadzieję, że to zakończy temat. – Dopiero później.

**–To znaczy?**

**Avedissian wziął głęboki oddech. – Najpierw służyłem w wojsku. Zaskoczona Kathleen spojrziała na niego. – Ale nie tutaj?**

**–Tutaj. Byłem oficerem spadochroniarzy.**

**Kathleen odwróciła wzrok. Poszli dalej. Zatrzymali się przy rozach. Zaczęła oglądać wielki, złoty kwiat.**

**–I jak się panu podobało? – zapytała.**

**–Wcale – odrzekł.**

**–Wiec został pan lekarzem?**

**–Tak.**

**–Miał pan szczęście.**

**Avedissian był zawiedziony. Niczego się o niej nie dowiedział. Wrocili do budynku. Nie wiedzieli, że od pewnego czasu przez okno na piętrze obserwuje ich Bryant.**

**Widok Avedissiana i "tej O'Neill" spacerujących razem podsunał Bryantowi pomysł. Pojawienie się Kathleen było dla niego największym uśmiechem losu, od kiedy zajmował się problemem Irlandii. Nie mogło się zdarzyć w lepszym momencie. Może uda się ją jeszcze wykorzystać?**

**Rozgromienie INLA zaraz po zawarciu sojuszu z IRA znacznie poprawiło wizerunek Bryanta. Wreszcie udowodnił, że ma rację: wroga trzeba atakować, zanim uderzy pierwszy. Czekanie i oddawanie ciosu po otrzymaniu policzka jest dobre dla grzecznych chłopców z ekskluzywnych prywatnych szkół. W tym problem, pomyślał. W naszej służbie roi się od starych durniów w rodzaju Montrose'a, którzy tak naprawdę nigdy nie wyszli z tych swoich cholernych, prywatnych szkół. Choc... Montrose przestał już przeszkadzać. Gdyby ta operacja się powiodła, można by przechytrzyć resztę i dojść na sam szczyt, a potem prowadzić własną politykę. Bryant wezwał do siebie Kathleen.**

**Zajrzała do gabinetu.**

**–Chciał mnie pan widzieć...**

**–Proszę wejść. Niech pani siada – odrzekł. Zdawało się jej, że powiedział to cieplejszym tonem niż zwykle. – Chodzi o pani nową tożsamość...**

**–Jakies kłopoty?**

**–Niezupelnie. – Bryant wyraźnie kluczyl.**

**–A zatem?**

**–Zastanawialem sie, czy nie zechcialaby pani pomagac nam dalej?**

**–Powiedzialam juz wszystko, co wiem. Bryant uniosl dlon.**

**–Oczywiscie. Ale mam pomysl. – Prosze mowic.**

**–Zdaje sobie pani sprawe, jak wazne jest dla nas odzyskanie dziecka bez narazenia go na niebezpieczenstwo i bez rozglosu? To w tej chwili najwazniejsza rzecz dla Irlandii.**

**Kathleen skinela glowa.**

**–Nasi ludzie beda potrzebowali wszelkiej mozliwej pomocy.**

**–Co moze zrobic?**

**–Zna pani mnostwo twarzy w IRA. Pani obecność na miejscu bylaby bardzo przydatna.**

**–Chce pan, zebym towarzyszyła doktorowi i kapitanowi Jarvisowi?**

**–Tak. Fakt, ze jest pani kobieta tez ma duze znaczenie.**

**–Jak to?**

**–Dziecko podrozujace z mezczyzna i kobieta nie rzuca sie tak w oczy jak dziecko w towarzystwie dwoch mezczyzn – wyjasnil Bryant.**

**Kathleen zawahala sie.**

**–Chcialabym uslyszec zdanie tamtych.**

**–Zapytajmy ich.**

**Bryant wezwal przez telefon Avedissiana i Jarvisa. Avedissian uznal pomysl za dobry. Jarvis stwierdzil, ze ma sens. – Wiec?– spytal Bryant.**

**–Zgadzam sie – odpowiedziala Kathleen.**

**–Kiedy zaczynamy? – zainteresowal sie Jarvis.**

**–Natychmiast – odparl Bryant. – Wiemy z grubsza, gdzie jest chlopiec. Wyjedziesz**

**dzis w nocy, Jarvis. Reszta jutro po poludniu.**

**Jarvis zapytal dokad.**

**–Do Stanow Zjednoczonych.**

**–Jak nawiaze kontakt z zespolem?**

**–Wprowadze cie w szczegoly, gdy zostaniemy sami – odrzekl Bryant. Zwrocil sie do pozostalych. – Obowiazuje zasada, ze kazdy wie tylko tyle, ile musi. Tak jest bezpieczniej. Inni czlonkowie zespolu nawet sie nie znaja. W ten sposob unikniemy dekonspiracji i zdrady.**

**–Ale...- zaczal Avedissian.**

**–Dowiecie sie wszystkiego we wlasciwym czasie – przerwal mu Bryant.**

**–A jesli cos pojdzie zle? – nie ustepowala Kathleen.**

**–Dostaniecie alarmowy numer telefonu. A teraz wybaczcie...**

**Avedissian i Kathleen pozegnali sie z Jarvisem o dziewiatej wieczorem i poszli na kolacje. Za obopolna zgoda przystawili stolik do okna. Letnie dni byly dlugie i mogli patrzec na zmierzch zapadajacy wolno nad ogrodem. Avedissian ukradkiem przygladal sie Kathleen. Zauwazyla to.**

**–Cos sie stalo?– zapytala.**

**–Wlasnie myslalem, jak ladnie zeszly pani slady po obrazeniach – sklamal.**

**–To panska zaslug – powiedziala. – Jestem panu wdzieczna.**

**–Niewiele zrobilem.**

**Kathleen przeszla przez pokoj i Avedissian zauwazyl, ze juz nie porusza sie sztywno. Miala zmyslowy chod, ktory zdumiewal go i podniecal. Taki sposob poruszania sie byl typowy dla niektorych kobiet po trzydziestce. Ich doswiadczenie, osobowosc i znajomosc mezczyzn pociagaly nie tylko rowiesnikow, ale rowniez chlopcow w wieku dojrzewania. Babie lato Kathleen O'Neill, pomyslal.**

**Wrocila do stolika z kieliszkami do wina.**

**–O czym pan myśli?**

**–Zastanawialem sie, kiedy po raz ostatni byla pani naprawde szczesliwa. Kathleen wygladala na zaskoczona, ale odpowiedziala:**

**–Chyba dziesięć albo dwanaście lat temu. Od tamtej pory zdarzały się oczywiście pojedyncze szczęśliwe dni, ale domyślam się, że chodzi panu o dłuższy okres zadowolenia czy też szczęścia?**

**Avedissian przytaknął.**

**–Tak myślałem. A dlaczego? – Po prostu jestem ciekaw.**

**–Sprawdza pan, czy mam sumienie?**

**–Sam nie wiem. Może.**

**–Przypuszczam, że pan, lekarz, śpi co noc snem sprawiedliwego i ma sumienie czyste jak arktyczny śnieg?**

**–Jestem lekarzem pozbawionym prawa wykonywania zawodu. Oskarżono mnie o zamordowanie dziecka. Z tego powodu moja żona popełniła samobójstwo.**

**–Moj Boże! – szepnęła Kathleen. – Nie wiedziałam. To straszne!**

**–Może nie powinienem był tego mówić. Zburzyło to pani wyobrażenie o moim czystym sumieniu.**

**–Opowie mi pan o tym?**

**Avedissian opowiedział jej ostatnie trzy lata swojego życia.**

**–Zatem oboje nie zazналиśmy nadmiaru szczęścia – stwierdziła Kathleen. Uśmiechnął się i napełnił kieliszki.**

**–Za przyszłość – wznosił toast.**

**–Za przyszłość – powtórzyła Kathleen.**

**Kiedy po jedzeniu pili kawę, wszedł Bryant z papierami w ręce.**

**–Doktor George Farmer z żoną – oznajmił. – W drodze na urlop do Stanów z synem Davidem.**

**–A kto to?**

**–David to syn jednego z naszych ludzi. Spotkacie się z nim na lotnisku. Poleci z wami do Stanów wpisany w waszym paszporcie, a tam ktoś go odbierze i przewiezie z powrotem przez Atlantyk. Oficjalnie państwo Farmer spędza urlop w Stanach z synem, więc nic dziwnego, że wyjada razem z nim.**

**–Tyle ze to bedzie inny chlopiec – dodala Kathleen. Bryant przytaknal.**

**–Macie jakies zyczenia, zanim powiemy sobie dobranoc? Avedissian zawsze odpowiadaj, ze nie, ale tym razem odrzekl:**

**–Tak, owszem. Chcialbym dostac butelke dzinu Gordon, troche toniku Schweppes i jedna... – spojrzal na Kathleen – nie, dwie szklanki.**

**–Zobacze, co sie da zrobic – obiecal Bryant. – Cos jeszcze?**

**Kathleen pokrecila glowa. Avedissian tez podziekowal.**

**–Jak sie dowiedzielicie, ze chlopiec jest w Stanach? – zapytala Kathleen.**

**Bryant polozyl palec na ustach.**

**–Kazdy wie tyle, ile musi, pamietaj pani?**

**Potem wyszedl.**

**Po pieciu minutach ktos z personelu wniosl na tacy dzin zamawiany przez Avedissiana. Kathleen uniosla szklanke.**

**–Za co teraz wypijemy?**

**–Po prostu wypijmy – odparl Avedissian.**

**Osiem kilometrow dalej, w hotelowym apartamencie, Finbarr Kell tez przechylil szklanke i pociagnal solidny lyk.**

**–Gdzie on jest, do cholery? – wycedzil ze zloscia i po raz trzeci w ciagu trzech minut spojrzal na zegarek.**

**–Powinien juz tu byc – odrzekl bezradnie Nelligan, co jeszcze bardziej rozsierdzilo Kella.**

**–Przeciez wiem, do jasnej cholery! – parsknal. – Samolot wyladowal dwie godziny temu!**

**W takich momentach kalectwo dokuczalo mu najbardziej. Mial ochote pospacerowac tam i z powrotem, zeby sie wyladowac, a tymczasem jego beznogi tulow tkwil uwiezony w wozku.**

**W odpowiedzi na ogloszenie w "Timesie" otrzymal polecenie, zeby wyslac czlowieka do Amsterdamu po dalsze instrukcje. Zlecil te misje komus, kto nie mial zadnej kartoteki jako czlonkiem lub sympatykiem IRA: wprowadzil do akcji Liczydlo.**

**Malcolm Innes był szarym, niepozornym księgowym. Dobiegał czterdziestki, lysiał i nie rzucił się w oczy. Dlatego też idealnie nadawał się do pewnych zadań. Trzykrotnie zostawiał w miejscach publicznych teczki wypełnione materiałami wybuchowymi. Niepostrzeżenie zlikwidował w tłumie pięciu znanych zdrajców, wbijając im w nerki szpikulce do lodu. To on nosił pseudonim Liczydło.**

**W tej chwili stanowił dla Kella mocno nadwyrezone ogniwo w lancuchu, bo spóźniał się już ponad godzinę. Dopuszczalny margines wynosił dziewięćdziesiąt minut, gdyż o jedenastej mieli się zjawić Amerykanie. Kell potrzebował trochę czasu, żeby przed tym spotkaniem przetrwać wiadomości przywiezione przez Innesa.**

**Zgodnie z przewidywaniami Kella Jankeśi omal nie udławili się na wieść o tym, o jakie pieniądze chodzi. Wszelkie kwoty zawsze wypłacali w niewielkich ratach, nigdy nie przekazywali organizacji od razu większych sum. Ten stan rzeczy wciąż stanowił koszt niezgody, ale IRA nic nie mogła na to poradzić. Teraz uparli się, że przeleca Atlantycką, żeby omówić planowaną operację. Gdyby Kell nie przedstawił im faktów, mieliby wygodną wymówkę, żeby się wycofać. Wyszedłby wtedy na nieudolnego amatora, a oni wróciliby do domu pierwszym samolotem. Kell wychylił szklanke i wyciągnął rękę w stronę Nelligana.**

**–Jeszcze.**

**Kiedy Nelligan nalewał, rozległo się pukanie. Kell unosił dłoń i obaj zamarli w oczekiwaniu. Usłyszeli trzy stuknięcia, a po przerwie dwa kolejne.**

**–Dzięki Bogu – odetchnął Kell. Nelligan otworzył drzwi. Do pokoju wszedł Malcolm Innes.**

**W dłoni ścisnął teczkę i wyglądał na zmordowanego. Zdjął okulary i starł ze szkieł krople deszczu.**

**–Cos nie tak? – zaniepokoił się Kell.**

**–Nic takiego. – pokręcił głową Innes. – Po prostu zatrzymali mnie na cle. Akurat dziś. Po raz pierwszy w życiu przeszedłem szczegółową kontrolę. Zaglądali nawet pod podszewkę walizki.**

**–Chyba nie mieli powodu? – zapytał podejrzliwie Kell. – Gdybym choć przez moment przypuszczał...**

**–Nie, nie – uspokoił go Innes. – Chyba że powodem można nazwać cygara i butelkę adwokata.**

**Kell wyraźnie się odprezył.**

**–Bolsa.**

**–To absolutna prawda, panie Kell, ze... Aha, rozumiem. – Innes byl zupełnie nieprzygotowany na zart Kella i jego nagla zmiane nastroju.**

**Kell zerknal na zegarek. – Zostalo nam pol godziny. Mow.**

**Nelligan podal Innesowi drinka. Liczydlo szybko popil alkoholem dwie tabletki na niestrawnosc i zaczal opowiadac.**

**–Wyladowalem na Schiphol o czasie i wywolali mnie przez megafon do telefonu. Dostalem instrukcje, zeby wsiasc do konkretnej taksowki. Kierowca zawiozl mnie na spotkanie jakies osiem kilometrow od lotniska. Po okolo dziesieciu minutach...**

**–Sprawdzali, czy nikt cie nie sledzi – wtracil sie Kell. – ... zrownal sie z nami zielony mercedes. Przez otwarte okno taksowki podano mi telefon. Prowadzilismy rozmowe na odleglosc.**

**–Widziales, kto byl w mercedesie? – zapytal Kell.**

**–Nie. Mial ciemne szyby.**

**–Ale oni cie widzieli?**

**–Tak.**

**Kell usmiechnal sie i zamyslil na chwile. Potem kazal Innesowi kontynuowac.**

**–Chca dostac okup przelewem.**

**–Jak?**

**Innes wreczyl Kellowi kartke.**

**–Najpierw trzeba otworzyc konto w tym banku i wplacic tam pieniadze.**

**–Na czyje nazwisko? – spytal Kell.**

**–Niewazne. Trzeba tylko uzgodnic z bankiem haslo, zeby mozna bylo sprawdzic, czy suma zostala zdeponowana.**

**–A potem?**

**–Trzeba uzgodnic z bankiem drugie haslo, zeby mozna bylo dokonac przelewu. Kiedy dostaniemy dziecko, podamy im haslo, a oni przeleja sobie pieniadze gdziekolwiek zechca.**



**–Moglibysmy zabrac chłopaka i nie podawac im hasla – wyszczerzył zeby Nelligan.**

**–Jestem pewien, ze przygotowali sie na taka ewentualnosc, Nelligan – odparł chlodno Innes. – Nie zrobili na mnie wrazenia amatorow.**

**–Bo nimi nie sa – Kell usmiechnal sie zagadkowo. – Ale w koncu... ja tez nie.**

**Innes dalej.**

**–Panski czlowiek musi zjawic sie w ciagu trzech dni w Chicago. Zamelduje sie w hotelu "Stamford". Ma tam zarezerwowany pokoj 303.**

**–A potem?**

**–Skontaktuja sie z nim i pokaza mu chłopca. W ciagu nastepnej doby dokonaja wymiany.**

**–Gdzie?**

**–Oni zdecyduja.**

**–Jasne – szepnal Kell z ubawiona mina.**

**–To oni rozdaja karty – zauwazyl Innes.**

**Kell usmiechnal sie jeszcze szerzej.**

**–Oczywiscie, ze oni. – Jego oczy, powiekszone mocnymi szklami, mrugaly z hipnotyzujaca regularnoscia jak u jaszczurki.**

**–Naturalnie bedzie problem z wywiezieniem chłopca z kraju – powiedzial Innes.**

**Kell spojrzal na niego jak na niedorozwiniętego umyslowo.**

**–Chyba nasi amerykanscy przyjaciele jakos nam pomoga nie sadzisz?**

**–Skoro pan tak mowi...**

**Punktualnie o jedenastej znow ktos zapukal w umowiony sposob. Do pokoju weszli trzej mezczyzni. Wymienili z obecnymi usciski dloni i przedstawili sie jako Shelby, Bogroless i Roker. Kell wciaz trzymal szklanke, totez zaproponowal gosciom whisky. Shelby, przewodniczacy delegacji – niski, ciemny mezczyzna w szarym garniturze i zoltej, jedwabnej koszuli, zbyt obcislej na jego tusze – wskazal glowa szklanke Kella.**

**–Ja tez poprosze kropelke irlandzkiej.**

**Zle odgadl pochodzenie trunku. Kell kazal Nelliganowi zamowic do pokoju butelke jamiesona. Potem uniosl szklanke w strone Amerykanina.**

**–To szkocka.**

**Shelby zazartowal na temat jego upodoban i Kell udal rozbawionego, zeby nie zrazic gosci. Prosha o irlandzka whisky nie uszla jego uwagi. W duchu sklasyfikowal Shelby'ego jako "jankeskiego swietego Patryka". W ten lekcewazacy sposob okreslal sentymentalnych Amerykanow, ktorzy tesknili za stara Irlandia Jednak nie oni byli wazni, lecz ich pieniadze. Pozostawalo pytanie, jak je z nich wycisnac. W trakcie rozmowy stalo sie jasne, ze Bogroless to drugi "swiety Patryk". Z Rokerem sprawa wygladala inaczej. Zachowywal sie powsciagliwie, malo mowil i troche przypominal Innesa – sprawial wrazenie ksielowego. Moze zreszta nim byl. Kell uznal, ze to ten facet trzyma wszystko w garosci.**

**Shelby przeszedl do rzeczy.**

**–Zwraca sie pan do nas o ogromna sume, komendancie. To masa pieniedzy.**

**–Wolnosc Irlandii nie da sie tanio kupic – odparl Kell.**

**–Naprawde myslil pan, ze ta sprawa ja zapewni? – zapytal Shelby.**

**Kell przywdzial szate wielkiego patrioty i zaczal przedstawiac swoj plan.**

**Im dluzej mowil, tym wiekszej nabieral pewnosc, ze uda mu sie przekonac Shelby'ego i Bogrolessa. Martwil go tylko Roker. Domniemany ksielowy siedzial z kamiennym wyrazem twarzy i ani na moment nie spuszczal z Kella zimnego, twardego spojrzenia.**

**–Szczerze mowiac, komendancie, to zbyt duza suma – powiedzial Shelby. – Nie ma pan innych mozliwosci sfinansowania tej operacji?**

**–Probowalismy zdobyc pieniadze w zeszly piatek, ale dwunastu naszych najlepszych ludzi przyplacilo to zyciem – odrzekl Kell. – W tym moj bliski przyjaciel.**

**–Slyszelismy – westchnal wspolczujaco Shelby. – Prawdziwa tragedia. Bogroless przytaknal. Roker pozostal zupełnie obojetny. Dalej obserwowal Kella. Nagle po raz pierwszy sie odezwal.**

**–O ile wiem, to byla akcja INLA.**

**–Zgadza sie – przyznal Kell. – Ta operacja jest tak wazna, ze zdecydowalismy sie zapomniec o dzielacych nas roznicach i polaczyc sily.**

**–Zalozmy – zaczął ostrożnie Shelby – że udaloby się nam zebrać taką sumę, komendancie. Ale wtedy postawilibyśmy wszystko na jedną kartę, trzeba by w znacznym stopniu skorzystać z pożyczek. Nie przesadzę, jeśli powiem, że NORAIID zostałby bez centa. Gdyby operacja się nie powiodła, już nigdy...**

**–To będzie ostatnia operacja dla nas wszystkich – zapewnił Kell.**

**–Musisz nas pan o tym przekonać – odpowiedział Shelby. – Naprawdę wierzy pan, że Brytyjczycy wycofają się z Irlandii w zamian za oddanie dziecka?**

**–Tak.**

**Znow odezwał się Roker. Jego chłodny, bezbarwny głos pasował do wyglądu.**

**–Panie Kell, niektórzy twierdzą, że Brytyjczycy na to nie pójdą, i zamiast sugerowanego przez pana zwycięstwa, w Irlandii dojdzie do krwawej wojny domowej. Co pan na to?**

**–Ci, którzy tak mówią, mają rację – przyznał Kell ku zaskoczeniu wszystkich. Nawet Roker unosił brwi.**

**–Chce pan powiedzieć, że zamierza pan wciągnąć Irlandię w wojnę domową?**

**Kell wolno pokręcił głową i uśmiechnął się niczym wyrozumiały nauczyciel do niepojętych dzieci.**

**–Nie. Wielu ludzi po prostu nie dostrzega, o co naprawdę chodzi. Brytyjczycy zataili całą sprawę. To działa na naszą korzyść, rozumie pan? Jeśli zgodzi się na nasze warunki, chłopiec wróci do domu bez rozgłosu. Opinia publiczna nigdy nie pozna prawdy. Zachowają twarz i odzyskają dziecko, a dobrze wiemy, ile to dla nich znaczy.**

**Amerikanom trafiło to do przekonania.**

**–Chodzi panu o to, że świat nigdy się nie dowie, że ugieli się przed szantazem?– zapytał Shelby.**

**–Dokładnie – odparł Kell takim tonem, jakby wreszcie któryś z uczniów zaczął coś pojmować.**

**–Jakie są ustalenia w sprawie okupu? – zainteresował się Roker.**

**Kell wprowadził go w szczegóły.**

**–Mozemy dojść do porozumienia tylko pod jednym warunkiem: musimy kontrolować transakcje od początku do końca – zastrzegł Roker. – Chcemy czuwać nad pieniędzmi na każdym etapie.**

**–Prosze bardzo – zgodzil sie Kell.**

**–Wybaczy nam pan, komendancie. – Shelby wstal i zabral swych towarzyszy do drugiego pokoju. Naradzali sie szeptem. Kell, Neilligan i Innes czekali.**

**–O co chodzi z ta smiercia bliskiego przyjaciela z INLA, panie Kell? – zapytal cicho Nelligan.**

**–Zamknij sie – syknal Kell.**

**Amerykanie wrocili. Shelby stanal na srodku pokoju miedzy Bogrolessem i Rokerem.**

**–Zgadza sie – oznajmil. – Sfinansujemy to.**

**–Trzeba to uczcic! – wykrzyknal Kell. – Nelligan! Szklanki.**

**Uzgodniono, ze Roker bedzie prowadzil negocjacje z ramienia NORAD-u, zas Innes pojedzie do Stanow Zjednoczonych jako przedstawiciel IRA. Kell zaproponowal, zeby Innes wrocil z Amerykanami do ich hotelu i omowil z Rokerem szczegoly wymiany.**

**Shelby wzniosl ostatni toast wieczoru.**

**–Za wolna Irlandie.**

**Kell z usmiechem uniosl szklanke.**

**Kiedy Amerykanie wyszli, Nelligan zapytal Kella, czy dolac mu whisky. Kell odmowil.**

**–Mamy jeszcze cos do zalatwienia. Chce pogadac z Harriganem w Anglii, a potem zobaczyc sie z Reaganem. Ale najpierw zadzwon do Dlugiego Domu i dowiedz sie, czy odzywala sie nasza kobieta.**

**Avedissian nie mogl zasnac. Wiercil sie w lozku, w koncu wstal, zeby popatrzec na ogrod. W bladym swietle ksiezycy przypominal krajobraz z innej planety, gdzie jeszcze nigdy nie dotarl czlowiek. Kwiaty stracily barwe, a drzewa przybraly abstrakcyjne ksztalty. Wokol panowala absolutna cisza, oprócz... dziwnego drapania za jego plecami! Odwrocil sie. Ktos wolno poruszal klamka w drzwiach.**

**Avedissian przebiegl na palcach przez pokoj i przywarl plecami do sciany obok drzwi. Czekal, czy ktos wejdzie. Tetno skoczylo mu gwaltownie, gdy do pokoju wslizgnela sie ostroznie jakas postac. Avedissian szybko wyciagnal ramie i mocno oplotl jej szyje. Poczul miekkie wlosy i zapach znajomych perfum.**

**–Kathleen?! – wykrzyknal. Puscil ja i siegnal do kontaktu. – Nie zapalaj – poprosila.**

**–Przepraszam. Nie wiedziałem...**

**–To moja wina. Wyglupilam sie.**

**–Nie zrobilem ci krzywdy? – szepnal.**

**–Nie, wszystko w porzadku. Tylko mi glupio.**

**–Dlaczego?**

**Spojrzala na niego. W ksiezycowej poswiacie zobaczyl jej twarz.**

**–To smieszne, ale nie moglam zasnac. Pomyslalam, ze moglibysmy porozmawiac. Potem zdalam sobie sprawe, ze na pewno smacznie spisz. Chcialam po cichu zajrzec, zeby sprawdzic.**

**Avedissian usmiechnal sie w ciemnosci. Wyznal, ze tez nie moze spac i wyglada przez okno.**

**–Moge sie przylaczyc?**

**–Oczywiscie.**

**–Jaki spokoj – zauwazyla Kathleen.**

**–O tym samym myslalem – odrzekl Avedissian. – Ale kiedy nic czlowieka nie rozprasza, przypominaja sie wszystkie popelnione bledy. Wracaja i gnebia nas.**

**–To wina ciszy.**

**–Teraz kazde z nas ma spowiednika.**

**Kathleen usmiechnela sie i wskazala kota, ktory podkradal sie w trawie do niewidocznej zdobyczy. Obserwowali go w milczeniu, dopoki nie zniknal w krzakach.**

**–Ja pierwsza?**

**–Jesli chcesz?**

**–Nie wiem, od czego zaczac, "ojcze", bo mam na sumieniu mnostwo grzechow. Czasami wydaje mi sie, ze przez cale zycie bylam ofiara okolicznosci. Ale dobrowolna bo nie zrobilam nic, zeby to zmienic.**

**–Czujesz sie winna?**

**–Chyba tak. Jesli ktos przyglada sie biernie czyjejs krzywdzie, to prawie tak, jakby**

sam ja wyrzadzal. Albo nawet gorzej, bo potem moze sie uwazac za calkiem niewinnego.

–Mowisz o swoim bracie?

–Tak. Nie zrozum mnie zle, jestem za wolna Irlandia tak jak on. Chce, zeby skonczylo sie tutaj bezprawie, zeby Brytyjczycy sie stad wyniesli. Tyle ze w sytuacjach kryzysowych trace do tego przekonanie.

–Nie rozumiem...

–Martin zawsze do mnie przychodzil, kiedy potrzebowal wsparcia. Dodawalam mu otuchy, ale nie z tych powodow, co myslal. Nie dzielalam jego patriotycznego entuzjazmu, tylko po prostu byl moim bratem i kochalam go.

–Nie widze w tym nic zlego. Wrecz przeciwnie – powiedzial Avedissian.

–Ale tak byc nie powinno, nie rozumiesz? Pozwalalam mu wierzyc, ze zgadzam sie z nim, z jego metodami walki. Rozsadek podpowiadal mi, ze postepuje slusnie, i nadal tak uwazam. Ale serce mowilo mi co innego: ze popelnia smiertelny grzech. Nigdy mu tego nie wyjawilam. Nigdy nie probowalam go przekonac, ze moze nie miec racji. Bylo mi wygodniej udawac zgodna siostrze.

–Teraz dzialasz w dobrej sprawie – pocieszyl ja Avedissian.

–Znow jestem tylko ofiara okolicznosci – zaprzeczyla Kathleen.

–Nie musialas sie zgadzac – przypomniał.

Spojrzala na niego, potem usmiechnela sie w zamysleniu.

–Porzadny z ciebie facet, Avedissian. Tak przy okazji, co to za nazwisko?

–Ormianskie. Po pradziadku.

–A jakie grzechy masz na sumieniu? Wzruszyl ramionami.

–Arogancje, kiedy wygrywam, i slabosc charakteru, kiedy przegrywam.

–To typowe dla ludzkiej rasy – zauwazyla Kathleen.

–Pytanie tylko w jak wielkim stopniu?

Wzdrygnela sie. Avedissian otoczyl ja ramieniem. Zrobil to niepewnie i poczul, ze na moment zesztyniala. Jednak zaraz sie odprezyla i polozyla glowe na jego ramieniu.

**–Dawno nikt mnie nie obejmował – powiedziała.**

**–Przepraszam. Moze nie powinienem.**

**–Uwazasz mnie za atrakcyjna kobiete? – spytala cicho. – Nawet wiecej. Jestes piekna.**

**–Mam trzydziesci cztery lata.**

**Avedissian pocalowal ja we wlosy i powtorzyl, ze jest piekna.**

**–Od dawna nikt mi tego nie mowi. – Kathleen uniosla glowe. Avedissian pochylił sie i dotknal ustami jej warg. Byly miekkie, wilgotne i gorace. Pocalowal ja delikatnie.**

**Odsunela sie i oparla rece na jego piersi.**

**–Wracam do siebie – szepnela. – Dziekuje za mila rozmowe. Avedissian usmiechnal sie.**

**–Dobranoc, Kathleen O'Neill.**

**Zaczekal, az Kathleen zamknie za soba drzwi, po raz ostatni spojrzal na ogrod i wrocil do lozka. Zaczelo padac. Slyszal, jak krople deszczu bebnia o liscie. Gdzies za oknem odezwala sie sowa. Bylo mu dobrze, cieplo i czul sie bezpieczny.**

## **7**

**Nazajutrz padalo przez caly dzien. Avedissian i Kathleen kulili sie i oslaniali kolnierzami, idac kawalek od lotniskowego autobusu do schodkow boeinga 747 linii TWA. Na szczescie David czul sie w ich towarzystwie bardzo swobodnie. Avedissian przypisywal to pedagogicznym zdolnosciom Kathleen. Spedzili z chlopcem i jego rodzicami tylko godzine w poczekalni, ale to wystarczylo. Kiedy wspinali sie do tylnego wejscia samolotu, malec trzymal Kathleen za reke i dziarsko pokonywal wysokie stopnie.**

**Niemal w tym samym momencie przednim wejsciem wsiadali trzej Amerykanie, ktorzy poprzedniego wieczoru spotkali sie z Kellem. Jako pasazerowie tak zwanej "Ambassador Class" mieli male szanse na kontakt z rodzina Farmerow, podrozujaca w mniej luksusowej czesci samolotu. Byloby to zreszta bez znaczenia: nie znali sie nawzajem. Los nie mogl splatac figla ani jednym, ani drugim.**

**Po dwoch godzinach lotu nad Atlantykiem David zasnal. Avedissianowi i Kathleen nic nie przeszkadzalo w rozmowie.**

**–Myslisz, ze lecimy do Stanow, bo porywacze sa Amerykanami? – zapytala.**

**Avedissian wzruszył ramionami. Przez cały czas zastanawiał się nad tym samym, ale nie doszedł do żadnych wniosków.**

**–To wydaje się logiczne – odrzekł. – Choc mogą być inne powody. Może porywacze wiedzą że Irlandczycy są w stanie zebrać pieniądze na okup jedynie z pomocą Amerykanów, i wola otworzyć sklepik bliżej banku, że tak powiem.**

**–Wiec mogą być jakiegokolwiek narodowości?**

**–Tak przypuszczam.**

**–A dlaczego akurat Chicago? – spytała Kathleen. – Czy bardziej nie pasowałoby im miasto na Wschodnim Wybrzeżu?**

**–Wydaje mi się, że nie chcą ryzykować. Chicago leży w środku. To daje im możliwość przeniesienia się na północ, południe, wschód albo zachód. Trudno przewidzieć gdzie.**

**Przerwali, bo podeszła stewardesa i zaproponowała coś do picia. Oboje odmówili.**

**–Chciałabym już wracać – westchnęła Kathleen, kiedy kapitan lekko zmienił kurs.**

**Avedissian uśmiechnął się.**

**–A wiesz, czego ja bym chciał? Żebyśmy naprawdę byli państwem Farmer i lecieli na wakacje do Stanów z synem Davidem.**

**Położył głowę na oparciu i zamknął oczy. Było mu przyjemnie, gdy Kathleen scisnęła jego dłoń.**

**Wylądowali w Chicago o czasie i spotkali się z kobietą, która odebrała Davida. Życzyła im powodzenia, po czym zniknęła w tłumie wypełniającym halę przylotów. Wszystko stało się tak szybko, że Kathleen poczuła się zaskoczona. Zdążyła tylko tesknie popatrzeć za chłopcem.**

**–Przynajmniej nie ma problemu z pożegnaniem – zauważył Avedissian.**

**–Chyba tak – przyznała Kathleen.**

**Wsiadli do żółtej taksówki i pojechali do hotelu. Od razu zrozumieli, dlaczego ulokowano ich tutaj. Budynek był olbrzymi. Kathleen zadarła głowę, żeby popatrzeć na betonowy wieżowiec.**

**–Identyczne pokoje dla identycznych ludzi.**

**Podniecenie towarzyszące im na początku podróży opadło podczas długiego lotu.**



Wiedzieli, że znowu mają przed sobą okres oczekiwania. Zanim wyruszyli z Belfastu na londyńskie lotnisko Heathrow, Bryant polecił, żeby ktoreś z nich przez cały czas było w pokoju hotelowym. Drugie miało się meldować co dwie godziny.

–Głodna? – zapytał Avedissian, kiedy rozpakował ich skromny bagaż.

–Tylko zmęczona.

–Chciałbym rozprostować nogi.

–Zostane, możesz iść.

Kathleen spała, gdy wrócił z krótkiego spaceru po ulicach wokół hotelu. Przechadzka dobrze mu zrobiła, choć wilgotność powietrza dawała się we znaki. Z przyjemnością wszedł z powrotem do klimatyzowanego pokoju. Biorąc prysznic, starał się nie hałasować.

Przez cały następny dzień nic się nie wydarzyło i oczekiwanie zaczęło być irytujące. Nie mieli ochoty wychodzić w pojedynkę, więc siedzieli w pokoju i rozmawiali. Nie narzekali na taki sposób spędzania czasu, ale w głębi duszy oboje wiedzieli, że niedługo coś się stanie, i nie dawało im to spokoju.

O siódmej wieczorem Kathleen mówiła własnie:

–Mogliby nas trochę lepiej informować – gdy odezwał się telefon. Poczuli podniecenie. Avedissian odebrał. Dzwonił Paul Jarvis.

–Przyjdźcie za pół godziny do baru hotelu "Regency" – polecił. – To trzy przecznice na zachód od was.

Wśród klientów przy barze prym wiodła kobieta po trzydziestce. Jej szerokie pośladki wylewały się poza wysoki stół. Wszystkie wypowiedzi podkreślała wymownymi gestami. Słuchaczami byli w większości starsi mężczyźni. Lowili każde słowo, choć nie miała nic ciekawego do powiedzenia; po prostu mówiła głośno. Avedissian zauważył, że Amerykanka flirtuje z nimi po kolei.

Kobiecie towarzyszył szczupły mężczyzna po czterdziestce. Co jakiś czas przypalał jej papierosa, którego wyciągała z paczki leżacej przed nią. Cierpliwy mąż, pomyślał Avedissian.

Zamówił dzin z tonikiem dla siebie i Kathleen. Po pięciu minutach zjawil się Jarvis.

Avedissian celowo wybrał stolik z dala od tłumu, żeby mogli swobodnie rozmawiać.

–Czy zespół odzyskał chłopca? – zapytał.

**–Jeszcze nie – odpowiedział Jarvis. – Ale wiecie, gdzie jest?**

**–Niezupełnie.**

**–Przecież...**

**–Plan Bryanta jest taki, żeby odebrać chłopca Irlandczykom po wymianie. Uważa, że to łatwiejsze, niż mieć do czynienia jednocześnie z IRA i porywaczami. Pozostaje jeszcze NORAIID. Nie wiemy, jak się zachowają. W grę wchodzi ogromne pieniądze.**

**–A co my mamy robić? – spytał Avedissian.**

**–Najpierw dam wam to – Jarvis wręczył mu zapieczętowaną kopertę i wyjaśnił, że są tam bilety lotnicze dla nich obojga i dla chłopca. Avedissian schował ją do wewnętrznej kieszeni marynarki.**

**–Co z porywaczami? – zapytał. – Wiecie już, kim są?**

**–Wszystkie tropy prowadzi donikąd, jakby w ogóle nie istnieli. Jedno jest pewne: to nie amatorzy. Są prawie za dobrzy, żeby byli prawdziwi.**

**–A Irlandczycy?**

**–To nasz atut. Znamy ich łącznika i wiemy, gdzie jest. Jeśli będziemy mieć go na oku, zaprowadzi nas do dziecka. Nazywa się Innes i mieszka w hotelu "Stamford".**

**–Jak się o nim dowiedzieliście? – spytał Avedissian.**

**–Zadziałal wywiad Bryanta w Londynie – odparł Jarvis.**

**–Wciąż macie kontakt z Londynem?**

**–Oczywiście. Nic nie dzieje się bez wiedzy Bryanta. – Jarvis zwrócił się do Kathleen. – Słyszała pani kiedyś to nazwisko?**

**Przytaknęła.**

**–Malcolm Innes. Nazywają go Liczydło. Wygląda, jakby nie potrafił skrzywdzić muchy ale jest naprawdę niebezpieczny.**

**–Może go pani opisać?**

**Kathleen podała Jarvisowi rysopis.**

**–Zgadza się, to on – przyznał Jarvis. – Co więcej mogłaby pani o nim powiedzieć?**

**Kathleen pokręciła głową i rozłożyła ręce.**

**–Jest tu jeszcze ktoś z IRA? – zapytał Avedissian.**

**–Oficjalnie nie – powiedział Jarvis.**

**–Ale podejrzewacie, że może być? – A jak myślisz?– odparł Jarvis. Avedissian pokręcił głową potem spytał:**

**–Czy porywacze skontaktowali się już z Innesem?**

**–Tak. Dlatego odezwałem się do was. Zadzwonili do niego dziś po południu i kazali mi przyjść wieczorem na mecz baseballowy.**

**–Wiec wymiana może nastąpić dzisiejszej nocy? – odezwała się Kathleen.**

**–Nie sądzę – powiedział Jarvis. – Nie uzgodnili jeszcze szczegółów dotyczących okupu. Domyslam się, że NORAIID albo Irlandczycy chcą zobaczyć towar, zanim zapłacą.**

**–Zatem dziecko będzie na stadionie?**

**–Możliwe. Ale może chodzi tylko o spotkanie gdzieś, gdzie jest dużo ludzi. Mogą potem zabrać Innesa gdzie indziej.**

**–Pojdzie pan tam? – zapytała Kathleen.**

**–Wszyscy pojdziemy – odpowiedział Jarvis. – Wiemy, gdzie będzie siedział Innes, ale nie wiemy z kim. Chciałbym, żeby przyjrzała się pani twarzom wokół niego. Może rozpozna pani kogoś.**

**Kathleen skinęła głową. Avedissian zapytał, jaka będzie jego rola.**

**–Po prostu będziesz pod ręką – odparł Jarvis.**

**Malcolm Innes zastosował się do instrukcji Rótkera z NORAIID-u, żeby niczego nie robić na własną rękę. Poszedł do ulicznego automatu i zadzwonił pod podany numer. Poinformował Rótkera o tym, że porywacze nawiązali kontakt, i określił miejsce, gdzie będzie siedział na stadionie zgodnie z biletem.**

**–Nic więcej? – zapytał Amerykanin.**

**–Nic – odpowiedział Innes.**

**Wówczas była to prawda, ale kiedy wychodził na mecz, chłopiec hotelowy wręczył mu lornetkę i kopertę. Innes otworzył ją w taksówce. W środku znalazł kartkę z**

**informacja: "Sektor J, miejsce L 17". Sprawdził to ze swoim biletem i okazało się, że siedzi w innej części stadionu. Więc tak to ma wyglądać, pomyślał. Zobaczy chłopca z daleka, przez lornetkę.**

**Innes przecisnął się przez tłumek wokół stoiska z prążoną kukurydzą i wdrapał po stromych schodach do swojego rzędu. Co chwila przeproszał siedzących ludzi, którzy przesuwali w lewo kolana, żeby przepuścić go na miejsce. Ledwo usiadł, poczuł na ramieniu czyjaś dłoń.**

**–Przyszedłeś dobrze wyposażony – szepnął mu do ucha Roker.**

**Innes odwrócił się lekko i zobaczył, że Amerykanin wskazuje lornetkę.**

**Wyjaśnił mu, skąd ją ma.**

**–Dali ci coś jeszcze? – spytał Roker. Innes pokazał mu kartkę.**

**–Zajmiemy się tym – szepnął Amerykanin.**

**–Nie wtracajcie się! – syknął Innes. Tylko tego brakowało, żeby jankeskie pajace spaprały całą sprawę!**

**Roker mocniej ścisnął go za ramię i przysunął się bliżej.**

**–Bez żadnych numerów, Innes! To nasza forsa! Kupa ludzi wpadła w długi, żeby ją zdobyć. Jeżeli jest choćby najmniejsza szansa wyrwania tamtym chłopaka bez płacenia, wykorzystamy ją.**

**–To nie są amatorzy! – upierał się Innes. – Możecie wszystko zepsuć!**

**–Siedz na dupie i czekaj! – warknął Roker, po czym wstał i opuścił swoje miejsce.**

**Innes rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy ich rozmowa nie zwróciła uwagi sąsiadów. Nie wyglądało na to. Z lewej strony siedziała czteroosobowa rodzina, z prawej para nastolatków. Przed sobą miał dwa małżeństwa w średnim wieku zajęte pić i jeździć, za sobą mężczyznę, który głośno tłumaczył swojej towarzyszce, dlaczego uważa Johnsona za lepszego miotacza od Schwarza.**

**Stromizna stadionu napawała Innesa lekkiem. Złe znosił wysokość. Tymczasem teraz siedział na najwyższej kondygnacji widowni. Odległość do jasno oświetlonego boiska, gdzie właśnie przedstawiano zawodników, wydawała mu się przerazająco duża.**

**Gracze wybiegali pojedynczo, z uniesioną ręką. Każdej prezentacji towarzyszył ryk tłumu. Innes przyłożył do oczu lornetkę i przyjrzał się jednemu z zawodników. Stał w**

rzedzie, nerwowo przebierał nogami i zwał gumę. Innes poprawił ostrość i dostrzegł na jego szyi lancuszek z medalionem św. Krzysztofa.

Liczydło zerknął na boki. Uwaga całej widowni skupiła się na boisku. Znowu unosił lornetkę i wolno odszukał sektor J i miejsce L 17. Było puste. Dwa sąsiednie po obu stronach również. Cztery czy pięć rzędów wyżej, trochę na prawo, przeciskali się trzech mężczyzn. W jednym z nich Innes rozpoznał Shelby'ego, szefa delegacji NORAIID-u z Belfastu. Zaklął pod nosem. Potem wyczuł, że ktoś siada za nim. Odwrócił się i zobaczył Rokera.

Niemal niepostrzeżenie na widowni zapadła ciemność. Uderzenie kija wywołało szmer podniecenia. Mężczyźni na boisku ożyli. Palkarz pedził co tchu i wpadł ślizgiem do drugiej bazy. W tym samym momencie piłka wylądowała w rękawicy łapacza. Potem poszybowała z powrotem leniwym łukiem i miotacz chwycił ją w powietrzu. Splunął, poprawił czapkę – przygotował się do następnego rzutu.

Daleko za Innesem siedział Jarvis i nie spuszczał go z oka. Z jednej strony miał Avedissiana, z drugiej Kathleen.

–Rozpoznaje pani faceta za Innesem? – zapytał.

Kathleen zaprzeczyła.

–Nigdy go nie widziałam.

–Myślisz, że to jeden z porwaczy? – spytał Avedissian.

Jarvis pokręcił głową.

–Nie, bo do tej pory już by się coś działo. Obaj czekają na kogoś albo na coś. Jest z NORAIID-u lub z IRA.

Na widowni wybuchła radosna wrzawa. Ludzie zerwali się z miejsc i na chwilę zasłonili Innesa. Kiedy zapanował spokój, Avedissian nachylił się do Jarvisa.

–Innes wcale nie ogląda meczu! – szepnął.

–Co masz na myśli?

–Obserwuje ludzi po drugiej stronie stadionu.

Jarvis spojrzał na Innesa i powędrował oczami za jego wzrokiem. Teraz zrozumiał. Innes śledził niższą kondygnację naprzeciwko. Jarvis unosił lornetkę i popatrzył na ten sam sektor. Zobaczył puste miejsca.

–Czekają na kogoś, kto ma tam usiąść – powiedział do Avedissiana. – Rzuc okiem

na rzad L.

Avedissian wziął od niego lornetkę, potem podał ją Kathleen. Jarvis poprosił ją, żeby spróbowała odszukać znajome twarze wokół pustych miejsc, ale nie zauważyła nikogo znanego.

–Niech pani patrzy dalej! – polecił zaniepokojony Jarvis.

–Myślisz, że będą chcieli odebrać chłopca porwaczom? – zapytał go Avedissian.

–Możliwe. To zależy od tego, czy Innes wie dokładnie, gdzie posadza chłopca. I czy on lub jego kołesie z NORAIID-u zdążyli coś przygotować po tamtej stronie.

–Mówiłeś, że ci porwacze to cholerni spryciarze – przypomniał Avedissian.

–Dlatego mnie to dziwi – odparł Jarvis. – To byłoby bardzo głupie posunięcie.

–Ktoś zajmuje wolne miejsca – oznajmiła Kathleen i oddała Jarvisowi lornetkę.

Jarvis zobaczył samotnego mężczyznę w granatowej kurtce i czapce baseballowej.

–Nic nie rozumiem – powiedział i popatrzył niespokojnie na Innesa, który wciąż wpatrywał się w przeciwległy sektor. – Ani śladu chłopca.

Avedissian przyjrzał się mężczyźnie w kurtce. Obcy wyciągnął z kieszeni paczkę orzeszków i uważnie śledził mecz. Avedissiana zainteresowała jego czapka: nie było na niej logo żadnej z dwóch grających drużyn. Zamiast tego na niebieskim tle znajdował się napis: "F – B 9".

–Czapka! – szepnął z podnieceniem do Jarvisa. – Spójrz na jego czapkę!

Jarvis natychmiast zrozumiał i przesunął lornetkę na sektor F i miejsce B 9. Obok kobiety w ciemnych okularach siedział mały chłopiec. Był ciepło ubrany i wyglądał na bardzo zmęczonego. W kłapie miał emaliowany znaczek z flagą brytyjską.

–Jezus zapłakał – mruknął Jarvis i podał lornetkę dalej. Kathleen gwałtownie wciągnęła powietrze.

–Co się stało? – zapytał Avedissian.

–Obserwuje nas jakiś mężczyzna! – uprzedziła.

Jarvis spojrzał w tamtą stronę. Trzy rzędy za kobietą i chłopcem siedział mężczyzna w czarnym płaszczu i patrzył wprost na niego przez połowę lornetki.

W pierwszej chwili Jarvis chciał odwrócić wzrok, ale nagle zdał sobie sprawę, że

obcy wcale nie przygląda się jemu, lecz Innesowi. Sprawdzał, czy Innes odczytał informacje na czapce. Okazało się... że jeszcze nie!

–Mamy czas! – szepnął podekscytowany Jarvis.

–Na co? – nie rozumiał Avedissian.

–Beda tam trzymać chłopca, dopóki Innes nie zauważy wiadomości na czapce. Może zdążymy przed nim!

–Chcesz, żebyśmy odebrali chłopca sami? – zapytał z obawą Avedissian.

–Tylko, jeśli naprawdę trafi się okazja – uspokoił go Jarvis. – Nie możemy go narazić. Ale warto tam podejść i wy badać sprawę.

Avedissian się zgodził.

–Na litość boską uważajcie! – poprosiła Kathleen.

–Opuscimy nasze miejsca pojedynczo – powiedział cicho Jarvis. – Zachowuj się tak, jakbyś szedł po piwo. Po co wzbudzać podejrzenia naszych przyjaciół po tamtej stronie.

Avedissian zaczął, aż Jarvis się oddali. Potem wstał i zaczął torować sobie drogę do wyjścia. Gdy dotarł do końca rzędu, uśmiechnął się do Kathleen.

–Bądź ostrożny – powiedziała bezgłośnie.

Avedissian odnalazł Jarvisa na galerii za widownią. Przebiegli kawalek i trafili na poprzeczną, ślepa ścianę. Obok znajdowała się klatka schodowa.

Zbiegli po dwa stopnie na raz i znaleźli się piętro niżej. Tu nie było żadnego wyjścia: sektor wyglądał na całkowicie oddzielony od następnego – na wszystkich poziomach odgradzał go betonowy mur.

–Tam! – Avedissian wskazał nagle niebieskie drzwi we wnęce przy drugim końcu ściany. Podbiegli do nich, ale były zamknięte. Jarvis zaklął. Wtedy z tyłu rozległ się głos:

–Czego tam szukasz, przyjacielu?

Odwrocili się. Za nimi stał ochroniarz.

–Przed chwilą zobaczyliśmy starego kumpla z wojska. Chcemy się do niego dostać – wyjaśnił Jarvis. Avedissian podziwiał jego przytomność umysłu. Co więcej, Jarvis powiedział to z przekonującym amerykańskim akcentem. Nic dziwnego, że wybrali go

do tej roboty, pomyslał.

–Trzeba zejść na dół, wyjść na zewnątrz i pojsc dookoła – poinformował ochroniarz. – Powiedźcie facetowi przy bramie, o co chodzi, to was przepuści, jak pokazacie bilety.

–Bądź człowiekiem, stary – poprosił Jarvis. – To zajmie kupe czasu.

Mężczyzna zawahał się. Potarł podbródek, wreszcie uległ czarowi rozbrawającego uśmiechu Jarvisa. Odpiał od pasa pek kluczy i otworzył niebieskie drzwi.

–Tylko nikomu nie mówcie! – zawołał za nimi, kiedy wbiegli do następnego sektora.

Jarvis zatrzymał się na krawędzi galerii i spojrział przez lornetkę. Avedissian stanął obok. Obaj ciężko dyszeli.

–Sa tam jeszcze? – zapytał z niepokojem Avedissian. Po chwili milczenia Jarvis odpowiedział:

–Sa Możemy to zrobić!

Pobiegli wzdłuż drugiej galerii. Omal nie potracili grubej kobiety, która niosła dwie szklanki piwa i trzymała w zębach kilka paczek prazonej kukurydzy. Odwrocila się z pretensją, ale nie mogła otworzyć ust.

Poruszali się dość szybko, mimo że biegli slalomem. Musieli lawirować wśród ludzi krecących się między toaletami i stoiskami zjedzeniem a widownią. Dwa ostatnie sektory na ich drodze nie były przedzielone. Jarvis modlił się w duchu, żeby już do końca nie napotkali żadnej przeszkody. Zamarło mu serce, gdy w polu widzenia wyrosła nagle betonowa ściana.

–Tu też powinny być drzwi – stwierdził rozsądnie Avedissian. – Sprawdź piętro wyżej, a ja piętro niżej.

Zbiegł na dół, ale napotkał lity mur. Przeklął swojego pecha i wrócił na piętro Jarvisa, który miał więcej szczęścia: znalazł drzwi i próbował je wywazyć ramieniem.

Avedissian spostrzegł, że Jarvis zwraca na siebie uwagę, więc nie podszedł bliżej. W pewnym momencie zdenerwowany Jarvis kopnął w zamek.

–Z tym facetem jest coś nie tak! – zawołał ktoś.

Jarvis nie rezygnował. Znow natarł na drzwi. Bez rezultatu. Tymczasem gapiów przybywało.

–Trzeba wezwąć gliny – zasugerował jakiś grubas.



**Na wzmianke o policji Jarvis oprzytomnial. Zostawil drzwi w spokoju i podbiegl do Avedissiana.**

**–Niestety – odezwal sie, gdy zbiegali po schodach.**

**–Widzialem. Bedziemy musieli zrobic tak, jak mowil ochroniarz.**

**–Nie ma czasu! Musi byc jakis inny sposob!**

**Wrocili na nizsza kondygnacje. Jarvis zatrzymal sie przy murze okalajacym galerie, wychylil sie i spojrzal w dol. Dwa metry nizej, wzdluz zewnetrznej sciany stadionu, ciagnela sie waska polka. Pokazal ja Avedissianowi.**

**Avedissian poczul sie niepewnie. Znajdowali sie trzydziesci metrow nad ziemia. Jeden falszywy krok i...**

**–Sam nie wiem – wzruszyl ramionami.**

**–Uda sie nam!– zapewnil Jarvis.**

**Wdrapal sie na mur i opuscil na betonowy wystep. Avedissian obejrzal sie szybko, czy nikogo nie ma na schodach, i zrobil to samo.**

**Stali obaj na polce, rozpostarci na scianie.**

**–W porzadku?– zapytal Jarvis.**

**Avedissian mruknal, ze tak.**

**Jarvis zaczal sie wolno posuwac. Avedissian czekal. Przywarl policzkiem do chropowatego betonu. Zastanawial sie, co moze nie wyjsc. Spadnie i skreci sobie kark albo ktos ich zobaczy i wezwie policje. Wyobrazil sobie scene jak z sensacyjnego filmu: pelno radiowozow i strazakow. Strach przed takim finalem zmusil go do dzialania. Ruszyl.**

**Czul pod stopami nagromadzone przez lata odpryski betonu i smieci. Nierowna powierzchnia sprawiala, ze stawial kroki bardzo ostroznie. Staral sie usuwac pierwsza noga przeszkody, ale Jarvis powstrzymal go.**

**–Zwrocisz uwage ludzi na dole!**

**Avedissianowi pulsowalo w skroniach, gdy wreszcie mineli cala szerokosc grubej, poprzecznej sciany i znow mogl sie chwycic gornej krawedzi muru okalajacego galerie. Zaryzykował i zerknal w dol, ale natychmiast tego pozalowal: zakrecilo mu sie w glowie. Na chwile zamknal oczy i po raz drugi przywarl policzkiem do betonu.**

**–Chodz! – przynaglił Jarvis. Podciągnął się na mur i zeskoczył na galerię. Wyciągnął rękę, żeby pomóc Avedissianowi, ale okazało się to niepotrzebne. Byli w sektorze F.**

**–Co to, do... – usłyszeli z klatki schodowej i z mroku wynurzył się policjant. Siegnął po broń, ale Jarvis skoczył na niego, zanim tamten zdążył odpiąć pasek kabury. Ogluszył go dwoma szybkimi ciosami i złapał, żeby nie upadł. Zaciągnął mężczyznę w ciemny kąt i posadził pod ścianą.**

**–Ale nas załatwiles! – wykrzyknął Avedissian.**

**–Chodźmy!**

**Wbiegli na schody. Jarvis złapał Avedissiana za ramię.**

**–Od tej pory koniec z bieganiem. Spokojnie wmieszamy się w tłum.**

**Swobodnym krokiem ruszyli tam, gdzie wcześniej widzieli kobietę i chłopca. Jarvis zatrzymał przy stoisku z hot dogami, przy którym nie było kolejki, i kupił dwa. Wreczył jednego Avedissianowi i powiedział:**

**–Niby wracamy na swoje miejsca.**

**Doszli do przejścia prowadzącego do rzędu B i spojrzeli w dół. Jarvis ugryzł hot dogę i udął, że zmagają się z zawartością wysuwającą się na serwetkę. Avedissian odnalazł wzrokiem właściwe miejsca. Jarvis nie musiał się trudzić: były puste. Chłopiec zniknął. Spoznili się.**

**Jarvis wolno unosił lornetkę i ponad stadionem przyjrzał się Innesowi. Irlandczyk patrzył prosto na niego. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.**

**–Jasna cholera – mruknął Jarvis. – Zabrakło nam kilku minut. Avedissian usłyszał z tyłu zamieszanie i domyślił się, że policjant odzyskał przytomność. Ostrzegł Jarvisa.**

**–Na wolne miejsca! – szepnął Jarvis.**

**Avedissian zbiegł przejściem w dół i wsunął się do rzędu, gdzie przedtem siedziała kobieta z chłopcem. Jarvis był tuż za nim.**

**–Rozdzielmy się! – poleciał i zaczął sycić marynarkę, żeby choć trochę zmienić wygląd.**

**Avedissian ograniczył się do niewinnej miny i przeżuwania hot dogę. Ale tetno skoczyło mu do stu trzydziestu, gdy zauważył dwóch policjantów. Wolno mijali jego rząd i przyglądali się widzom. Jeden masował szczękę.**

Udany bieg zawodnika do bazy-mety wywołał wrzawę. Ludzie zerwali się z miejsc. Avedissian też. Do ogólnych wiwatów dołączył swoje. Miał nadzieję, że wypadł przekonująco. Policjanci przeszli do następnego rzędu. Jarvis rzucił mu ukradkowe spojrzenie, Avedissian w odpowiedzi wznosił oczy ku niebu.

Mecz się skończył. Trzydzieści tysięcy osób ruszyło jednocześnie do wyjść. W tej chwili Avedissian był im wdzięczny: zapewniali mu anonimowość. Kiedy doszedł do końca rzędu, Jarvis powiedział, żeby nie opuszczali stadionu razem – Avedissian powinien wrócić do bramy, która wyjdzie Kathleen. Pożegnali się u wylotu przejścia między rzędami.

–Spotkamy się jutro – zapowiedział Jarvis. – W parku obok hotelu o dziesiątej rano.

Kathleen już czekała przed stadionem. Avedissian przecisnął się do niej.

–Spóźnilismy się – powiedział.

–Nic ci się nie stało? – zapytała z niepokojem.

Przytulił ją mocno. Dopiero teraz poczuł skutki długiego napięcia. Zapewnił, że wszystko w porządku i dodał:

–Chryste! Muszę się napić.

–Wracajmy do hotelu – zaproponowała Kathleen. – Chyba że wymyśliłeś coś innego?

Avedissian zaprzeczył.

Avedissian położył się na plecach i westchnął z zadowoleniem. Odpowiadała mu cisza klimatyzowanego pokoju. Czuł się jak na wyspie pośrodku oceanu, jak w oazie na pustyni. Kathleen przyniosła mu drinka i przysiadła na brzegu łózka.

–Co się stało na stadionie? – zapytała.

Avedissian opowiedział.

–Ależ to było szalenstwo! – wykrzyknęła, gdy wspomniał o spacerze po wąskiej polce.

–Wtedy pomyśl wydawał się dobry – odparł, ale przeszły go ciarki na myśl o tym, jak mogła skończyć się ta przygoda. – Strasznie się bałem – wyznał po chwili.

Kathleen czułym ruchem odgarnęła mu włosy z czoła. Spojrzał na nią.

–Masz delikatne dłonie, moja damo – mruknął. Nachyliła się i pocałowała go lekko w

usta. – Jak spojrzalem w dol...- zaczął.

–Pssst – uciszyła go i znow pocałowała.

Poczuł, że Kathleen ma gorące wargi. Przyciągnął ją do siebie. Podnieciło go, że się nie opierała. Poglądził jej włosy i ujął twarz w dłonie. Popatrzył na nią pytająco. Uśmiechnęła się.

–Pragne cie – szepnął.

–Wiem – odpowiedziała cicho. Wstała i zaczęła się rozbierać. Ani na moment nie spuszczała go z oka. Kiedy skończyła, zapytała szeptem:

–Nadal mnie pragniesz?

Avedissian wyciągnął ramiona i objął ją mocno.

–Bardzo – mruknął. Była równie podniecona jak on. – Chce czuć cie cała chce być głęboko w tobie... Boże, jak ja cie pragne...

Leżeli w milczeniu obok siebie. Kathleen otworzyła oczy i popatrzyła na Avedissiana. Odsunął się lekko i pocałował ją w ramię.

–Post coitus omne animal triste – szepnęła.

–Po miłości... wszystkie zwierzęta... są smutne? – przetłumaczył niepewnie.

Uśmiechnęła się i przytaknęła.

–Nie wiedziałem, że znasz łacine – powiedział.

–Nie wiesz o mnie wielu rzeczy – odrzekła.

–Chciałbym wiedzieć wszystko.

Pokreśliła głową. – Nie ma na to czasu.

–Ale będzie. Kiedy ta sprawa się skończy... Położyła mu palec na ustach.

–Nie rozmawiajmy o przyszłości – poprosiła.

–Jeśli nasze uprzedzenia nie pozwolą nam wracać do przeszłości i wybiegać w przyszłość, pozostanie nam tylko teraźniejszość – zauważył Avedissian.

–Zawsze mieliśmy tylko ją – odpowiedziała w zamysleniu. – Pocałuj mnie.

**Pocalował ja.**

**Avedissian i Kathleen weszli do parku i usiedli przy fontannie. Mieli stąd dobry widok we wszystkich kierunkach. Obserwowali ludzi i czekali na Jarvisa. Przyszli za dziesięć dziesiąta, ale Jarvis nie pojawił się nawet kwadrans po. Zaczeli się denerwować. Avedissian po raz drugi wstał i obszedł fontannę dookoła. Kiedy wrócił, spojrzal na zegarek.**

**–Mylisz, że coś poszło nie tak? – zapytała Kathleen.**

**Avedissian wzruszył ramionami i usiadł.**

**Na ich ławce przysiadł staruszek. Rozwinał plastikową torbę i zaczął rzucać okruchy golebiom. Sprawiał wrażenie zupełnie obojętnego na cały świat. Kiedy ptaki zbiegły się do ich stop, Avedissian pokazał Kathleen, że pora iść. Wolno okrzykli fontannę, rozkoszując się chłodną wodną mgiełką. Ranek był gorący.**

**–Jest – powiedziała nagle Kathleen.**

**Szeroka ścieżka prowadząca od bramy szedł ku nim Jarvis.**

**–Lepiej późno niż wcale – mruknął Avedissian.**

**–Przepraszam za spóźnienie – przywitał ich Jarvis – ale musiałem uzgodnić wszystko na nowo.**

**–Jak to?**

**–Porywacze skontaktowali się dziś rano z Innesem i oświadczyli, że nie oddadzą chłopca tutaj, w Chicago.**

**–Tylko gdzie?**

**–W Kansas City.**

**–Dlaczego?– spytała Kathleen.**

**–Może coś im się nie spodobało na stadionie. A może zmiana w ostatniej chwili to tylko manewr, żeby uniknąć ewentualnej pułapki. Mamy mało czasu. Chca dokonać wymiany dziś w nocy.**

**–Wiec jedziemy do Kansas City?**

**–To nic wielkiego – zapewnił Jarvis. – Zamówiłem dla was hotel i bilety lotnicze. Proszę.**

**–Jak długo trwa lot? – zainteresowała się Kathleen.**

**–Okolo godziny.**

**–Polecimy wszyscy razem? – zapytał Avedissian.**

**–Ja pierwszy – odrzekł Jarvis. – Wy dopiero po południu. Skontaktuje się z wami na miejscu.**

**–Wie pan, gdzie Innes zatrzyma się w Kansas City? – spytała Kathleen.**

**–Porywacze kazali mu zamieszkać w hotelu "Plaza". Nasz zespół zamierza tam dotrzeć przed nim. Zanim się zjawie, zdąży założyć podsłuch w jego pokoju. Dlaczego pani pyta?**

**–Bez powodu – odrzekła Kathleen. – Powodzenia.**

**–Wzajemnie. Do zobaczenia.**

**Patrzyli, jak Jarvis wychodzi z parku i łapie taksówkę. Kathleen odwróciła się do Avedissiana.**

**–Zdajesz sobie sprawę, że jutro o tej porze może być po wszystkim?**

**–Przyjemne uczucie – odpowiedział.**

**Pod wpływem nagłego impulsu zatrzymał się przy kwiaciarni i kupił czerwoną różę. Wreczył ją Kathleen. Uśmiechnęła się. – To też jest przyjemne uczucie.**

**Avedissian spojrzal w dol na rozlegla rownina srodkowozachodnich Stanow.**

**–Serce Ameryki – powiedzial do Kathleen.**

**–Dorota tam mieszkala – odrzekla.**

**–Slucham?**

**–Czarnoksiężnik z krainy Oz. Dorota mieszkala w Kansas.**

**–Rzeczywiscie, ale glupiec ze mnie – odparl Avedissian z lekkim sarkazmem. Kathleen usmiechnela sie.**

**–W dzieciństwie to byla moja ulubiona ksiazka. Dostalam ja kiedys na Gwiazdke od ciotki.**

**–Ja najbardziej lubilem Niesforne koziolki.**

**–Co za wyznanie! – usmiechnela sie Kathleen.**

**Swiecilo piekne slonce, kiedy samolot wyladowal na miedzynarodowym lotnisku w Kansas City. Jednak pogoda nie byla tak przyjemna, jak na to wygladalo. Wyszli na goracy asfalt i natychmiast poczuli bardzo wilgotne powietrze. Kathleen spojrzala na Avedissiana, ktory rozluznil kolnierzyk.**

**–Strasznie duszno – przyznala.**

**Poniewaz odbyli lot krajowy, formalnosci trwaly zaledwie kilka sekund. Wzieli taksowke i pojechali do miasta. – Na zjazd?– zapytal kierowca.**

**–Tak – odpowiedzial Avedissian. Nie wiedzial, o jaki zjazd chodzi, ale uznal, ze tak bedzie najbezpieczniej.**

**–Oboje lekarze?**

**Wiec to zjazd lekarzy, pomyslal Avedissian. Co za szczesliwy zbieg okolicznosci.**

**–Tylko ja – odrzekl.**

**–Kosztowaliscie mnie fortune, a plecy ciagle bola – poskarzyl sie przez ramie taksowkarz.**

**–Plecy rzeczywiscie moga stwarzac problemy – przyznal Avedissian. Kathleen zmienila temat.**

**–Na tamtym znaku bylo napisane "Missouri" – zauwazyla.**

**–Zgadza sie. Jedna polowa Kansas City lezy w Kansas, druga w Missouri. Wasz hotel jest w Missouri.**

**Jek policyjnych syren zwiastowal, ze wjechali do miasta. Potwierdzaly to betonowe wiezowce.**

**–Malo tu ludzi – powiedziala Kathleen, bo ulice byly praktycznie puste.**

**–I niewiele sklepow – dodal Avedissian.**

**–Wszyscy dawno wyniesli sie na przedmiescia – wyjasnil kierowca. – Sklepy tez. Kina, teatry, cala reszta. Nikt tu juz nie mieszka. Kazdy przyjezdza rano do pracy i wieczorem wraca do domu. Nie ma tu co robic.**

**Avedissian i Kathleen nie odezwali sie. Otoczenie dzialalo na nich przygnebiajaco. Kansas City wygladalo na wymarle, jakby nawiedzila je jakas zaraza. Wysokie budynki przywodzily na mysl betonowe grobowce, pozostale ku pamieci mieszkancow.**

**–Crown Center – poinformowal taksowkarz.**

**Zwolnil i skrecil na podjazd ozdobiony flagami wszystkich krajow. Zwisaly smetnie w ciezkim, dusznym powietrzu.**

**Okolo szesciu i pol kilometra na poludnie, w hotelu "Plaza", Innes i Roker czekali na wiadomosc od porywaczy. Od czasu spotkania na stadionie w Chicago nie byli w dobrych stosunkach. Wciaz sie sprzeczali na temat tamtych wydarzen.**

**–Mogliśmy już mieć chłopaka, gdybyście nie byli tacy cholernie głupi! – parsknal Innes.**

**–Musielismy sprobowac! – obstawal przy swoim Roker. – Przypominam, ze to nasza forsa!**

**–Pamietam, pamietam. Ale przez was przestali nam ufac.**

**–Wcale nie wiadomo, czy sie zorientowali, ze chcielismy im zabrac dziecko.**

**–Jasne, ze sie zorientowali! – wybuchnal Innes. – Obserwowali nas przez caly czas! Puste miejsca i wszystko dookola tez. Na pewno zauwazyli Shelby'ego i tamtych dwoch pajacow, jak tylko podeszli blizej.**

**–Musielismy sprobowac – powtorzyl Roker.**

**–Mam tylko nadzieje, ze czegos sie nauczyliscie – odparl Innes. – Radze rozegrac to uczciwie, bo inaczej wszystko diabli wezma.**



**–Nie pouczaj mnie, Innes! – zdenerwował się Roker. – Jak będziesz dalej tak pieprzył, wycofam NORAIID z całej tej cholernej sprawy! Od początku mi sienie podobała. Jeśli chcesz znać moje zdanie, ten mały skurwiel Kell to swir!**

**Innes wiedział, że nie powinien przeciągać struny. W końcu to Amerykanie wykładali pieniądze. Gdyby ich zraził do współpracy, zniweczyłby plan Kella i zapłacił za ten błąd życiem.**

**Na myśl o gniewie Kella natychmiast zmienił front.**

**–Przepraszam – odezwał się pojednawczym tonem. – Przez tę sprawę wszyscy jesteśmy trochę nerwowi. To dlatego, że jest taka ważna. Po latach wreszcie stoimy przed szansą uzyskania wolności dla Irlandii.**

**Roker też ochłonął. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Nagle zadzwonił telefon.**

**–Macie pierwsze hasło? – zapytał porywacz.**

**–Chwileczkę – Innes odwrócił się do Rokera. – Chca hasło. Amerykanin wziął od niego słuchawkę.**

**–Nie przyjrzelismy się dobrze chłopcu.**

**Innes ugryzł się w język. Roker ciągle udawał głupiego.**

**–Widzieliście go na stadionie – padła spokojna odpowiedź.**

**–Był za daleko – zaprotestował Roker.**

**–Moglibyście przyrzec mu się bliżej, gdybyscie nie próbowali nas wykiwać.**

**Innes spojrzał na Rokera. – Nie mówilem?**

**–Nadal chcemy mu się przyrzec z bliska – ciągnął Roker.**

**–To niemożliwe.**

**–A jeśli odmówimy zapłaty?**

**–Odsprzedamy dziecko Brytyjczykom. Zdecydujcie się. Macie dziesięć sekund.**

**Roker zagryzł wargi. Innes wstrzymał oddech.**

**–W porządku – zgodził się Amerykanin. – Konto numer 449 45 52. Otworzyliśmy je w banku, który wskazaliście. Hasło kontrolne brzmi PARTHENON.**

**–Dziękuję. Bedziemy w kontakcie.**

**W telefonie zapadła cisza i Innes odetchnał z ulgą.**

**–Ty naprawdę lubisz kusic los, człowieku – powiedział do Rokera.**

**–Warto było spróbować – odparł Amerykanin.**

**Dziesięć minut później telefon znow zadzwonił. Ten sam głos oznajmił:**

**–Wasz depozyt został potwierdzony. Przekazemy wam dziecko dziś wieczorem w zamian za drugie hasło.**

**–Proszę o szczegóły.**

**–Przywieziemy chłopca do waszego hotelu o jedenastej. Każda próba przechytrzenia nas zakończy się katastrofą.**

**–Ilu możemy mieć ludzi?**

**–Ilu chcecie – odpowiedział głos. – Chłopiec będzie miał na sobie ładunek wybuchowy. Niewielki, ale wystarczy, żeby eksplozja urwała mu głowę. Kiedy sfinalizujemy transakcję, dowiecie się, jak go rozbroić.**

**–Jaka mamy gwarancje, że po dokonaniu przelewu pieniędzy nie zabijecie dziecka?  
– zapytał Roker.**

**–To by nic nie dało ani nam, ani wam.**

**–W porządku. Zgadzą się.**

**–Zatem do wieczora.**

**Innes odetchnął głęboko.**

**–Słyszales, co on mówił o ładunku wybuchowym? Na miłość boską nie próbujcie żadnych sztuczek!**

**–Dobrze, dobrze – obiecał niechętnie Roker.**

**Jarvis przyjechał do hotelu "Crown Center" o piątej trzydziści po południu. Avedissian i Kathleen czekali w pokoju przy kawie.**

**–Wszystko załatwione – oznajmił. – Dziecko przekaza dziś o jedenastej wieczorem w hotelu "Plaza".**

**–Widze, ze zespol zdazyl zalozyc podslych w pokoju Innesa – zauwazyl Avedissian.**

**–Tak, udalo sie. Innes i facet nazwiskiem Roker, ktory prawdopodobnie jest z NORAIID-u, rozmawiali z porywaczami przez telefon dzis po poludniu.**

**Avedissian poczul rosnace podniecenie.**

**–Wiec zespol jest gotowy do akcji?**

**–Nie wiem – odrzekl z zaklopotaniem Jarvis. – Jak to?– zdziwil sie Avedissian.**

**–Nie moglem sie z nimi skontaktowac.**

**–Nie mogl sie pan z nimi skontaktowac?! – powtorzyla z niedowierzaniem Kathleen.**

**–Tez tego nie rozumiem – przyznal Jarvis. – Pod numerem telefonu, ktory dostalem, panuje martwa cisza.**

**–Ale przeciez wszystko od tego zalezy! – wykrzyknal Avedissian.– Jesli zespol nie wkroczy do akcji, IRA zabierze dziecko!**

**–Nie musisz mi tego mowic – powiedzial spokojnie Jarvis i Avedissian zamilkl.**

**–Nie masz innego numeru? – zapytal po chwili. – Do Londynu, do Bryanta? Nie mozesz go zawiadomic, ze cos nie gra?**

**–Probowalem. Zaden nie odpowiada.**

**–Zespol mial mi dostarczyc zestaw do udzielania pomocy w naglych wypadkach – przypomniał Avedissian.**

**–Mozemy tylko miec nadzieje, ze nie bedzie potrzebny.**

**W pokoju zapadla cisza.**

**Avedissian spojrzal na Jarvisa.**

**–Jestes ekspertem – odezwal sie cicho. – Jak sadzisz, co sie moglo stac?**

**Jarvis pokrecil glowa.**

**–Cos bardzo powaznego. Inaczej nie zmieniliby wszystkich numerow. To jedyne wytлумaczenie.**

**–I co teraz?– zapytala Kathleen.**

**–Jestesmy zdani na siebie – odrzekl Jarvis. Zerknal na zegarek, po czym wzruszyl ramionami. – Zostal nam siedem godzin i musimy dzialac sami.**

**–A co mozemy zdzialac? – spytala Kathleen.**

**–Sprobujemy odbic chlopca – odpowiedzial Jarvis. Avedissian i Kathleen wymienili spojrzenia.**

**–Naprawde myslisz, ze to mozliwe? – zapytal Avedissian.**

**–Zastanowmy sie, jakie mamy szanse – zaproponowal Jarvis. – Chyba niemale. Pokoj i telefon Innesa sa na podslychu. Aparatura odbiorcza znajduje sie w moim pokoju w hotelu "Plaza" i oba systemy polaczone sa z magnetofonem kasetowym przez aktywator glosowy.**

**–Co to takiego?**

**–Urzadzenie, ktore uruchamia nagrywanie na dzwiek glosu i wylacza je, gdy cisza trwa dluzej niz trzydziesti sekund.**

**–Wiec mimo ze jestes tutaj, nic ci nie umknie? – upewnil sie Avedissian.**

**–Dokladnie. Jesli beda jakies nowe wiadomosci od porywaczy albo zmiany w planach wszystko zostanie zarejestrowane. Mamy dobry wywiad. Mielismy go zreszta przez caly czas.**

**–Jak chcesz to rozegrac?**

**–Pojedziemy do mnie, do "Plazy", i zaczekamy na wymiane. Bedziemy slyszec wszystko, co sie dzieje w pokoju Innesa. Jezeli po wymianie nadarzy sie okazja odbicia chlopca, wkroczymy. Jezeli nie, moze przynajmniej sie dowiemy, co IRA zamierza z nim zrobic wciagu najblizszych godzin. To moze sie przydac, kiedy uda sie znow nawiazac lacznosc z Bryantem.**

**–Zalozmy, ze nadarzy sie okazja i odbierzemy chlopca – powiedzial Avedissian. – Co potem? Jak stad uciekniemy?**

**–Nie zostalismy calkiem bez pomocy – wyjasnil Jarvis. – Zanim stracilem kontakt z zespolem, zdazylem sie dowiedziec, ze mamy do dyspozycji dwa samochody. Powiedziano mi, ze wystarczy zadzwonic pod miejscowy numer i dac znac, gdzie i kiedy maja byc podstawione.**

**–Zalatwiles to?**

**–Tak. Poprosilem, zeby jeden byl w podziemnym garazu hotelu "Plaza", a drugi na**

parkingu "Rainbow Inn" przy Rainbow Boulevard.

–Po co?

–Na wypadek, gdybysmy nie mogli skorzystac z tego pierwszego. Nie powinno sie stawiac tylko na jedna karte.

–Dlaczego akurat w "Rainbow Inn"? – zapytala Kathleen.

–Bo to obok Centrum Medycznego. W razie potrzeby mielibysmy blisko.

–Pomyslales o wszystkim – przyznal Avedissian.

–Musialem. – Jarvis opowiedzial o ladunku wybuchowym, ktory ma miec na sobie chlopiec.

Avedissian skrzywil sie. – Wierzysz w to?

–Watpie, zeby zartowali. Nie pozwola sie wykiwac.

–Sukinsyny – mruknal Avedissian.

–Sprytne sukinsyny – poprawil Jarvis. – Ale chlopcu nic nie grozi, dopoki Irlandczycy beda grac uczciwie.

–To dziecko moze juz nigdy nie dojsc do siebie po czymś takim – odparl Avedissian.

–Co masz na mysli?

–Moze mu pozostac uraz psychiczny na cale zycie.

–Nie wzialem tego pod uwage – przyznal Jarvis. – Uwazalem, ze najwazniejsze, zeby przezył i odzyskal wolnosc.

–Tylko to mozemy dla niego zrobic w tej chwili – odezwala sie Kathleen.

–Slowem improwizujemy – podsumowal Avedissian.

Jarvis przytaknal.

–Chodźmy. Czas ucieka.

Na magnetofon w pokoju Jarvisa nagralo sie bardzo niewiele. Porywacze nie odezwali sie wiecej do Innesa, a Roker wyszedl wkrótce po zapoznaniu sie ze szczegolami wymiany. Obaj mezczyzni odbyli tylko krotka rozmowe na temat tego,

kto będzie obecny przy finalizowaniu transakcji. Roker stwierdził, że na pewno przyjdzie Shelby. Innes zapytał po co.

–Zeby zobaczyć, za co placimy dwadzieścia pięć milionów – usłyszał w odpowiedzi. Zgodził się, ale poprosił, żeby Roker ograniczył liczbę osób do minimum. Kiedy magnetofon zamilkł, Jarvis wyłączył go i ustawił na nowo.

–Pozostaje nam tylko czekać – westchnął.

Kathleen nie odzywała się. Siedziała w fotelu i prawa dłoń delikatnie masowała czoło.

–Dobrze się czujesz? – zapytał cicho Avedissian. – Głowa mnie boli – odrzekła.

–Skocz na dół i przyniosę ci z recepcji aspirynę – zaproponował.

–Nie trzeba, pójdę sama – zaprotestowała. Wstała i wzięła torebkę. – Spacer dobrze mi robi. Duszą tutaj. Niedługo wrócę – powiedziała, zamykając drzwi.

Jarvis wyczyścił i sprawdził broń. Potem założył tłumik.

–Daj Boże, żebyś nie musiał tego użyć – mruknął Avedissian.

–Oby.

Prawie podskoczyli, kiedy nagle włączył się magnetofon.

–Ktoś dzwoni do Innesa – stwierdził Jarvis. Odłożył broń i włożył słuchawki. Słuchał uważnie, że wzrokiem utkwionym w podłogę. Avedissian zobaczył wchodzącą Kathleen i położył palec na ustach. Po chwili Jarvis zdjął słuchawki.

–To był Roker. On i Shelby będą tu za godzinę. Po wymianie mają wywieźć stąd chłopca prywatnym samolotem. Wystartują z lotniska w mieście.

–W mieście?

–W Kansas City są dwa lotniska. Jedno duże, na które przylecieliscie, i drugie mniejsze, bliżej centrum. Zamierzają zabrać chłopca na zachód małym samolotem i złapać rejsowy lot do Los Angeles.

Zanim Avedissian i Kathleen zdążyli coś powiedzieć, ktoś zapukał. Cała trójka zamarła. Jarvis wstał po cichu i schował aparaturę podsłuchową. Potem wziął broń i podkradł się do drzwi.

–Kto tam? – zapytał.

**–Chłopiec hotelowy, prosze pana.**

**–O co chodzi? Jestem zajety.**

**–Mam dla pana kluczyki.**

**Jarvis odlozył bron i otworzył. Wztał brazowa koperte i podpisał sie na formularzu.**

**–Chwileczke – siegnal do kieszeni po drobne.**

**–Dziekuje panu.**

**Jarvis zamknal drzwi.**

**–Samochody sa na swoich miejscach – oznajmil.**

**Wyjal z koperty kartke i sprawdzil numery na kluczykach. Schowal jeden komplet do kieszeni, drugi wreczyl Avedissianowi.**

**–To dla ciebie. Biale bmw "trojka" z niebieskim trojkatem na przedniej szybie.**

**Avedissian wsunal kluczyki do kieszeni.**

**–Juz wiesz, dokad sie wybieraja po wymianie. Nadal chcesz sprobowac odzyskac chlopca?**

**–Zobaczymy, ilu ich bedzie.**

**Innes zerknal na zegarek. Do przyjscia Rokera i Shelby'ego zostalo pol godziny. Zakladajac, ze te blazny nie zrobia nic glupiego, tylko godziny dzielily go od wielkiego finalu najbardziej smialego wyczynu Kella. Sprawdzil, czy ma wszystko w portfelu: pieniadze, karty kredytowe, bilety lotnicze. Dotknal wewnetrznej kieszeni marynarki, szukajac paszportu. Jest. Spakowana torba podrozna lezala na podlodze przy lozku. Wystarczylo zapiac suwak.**

**Poszedl do lazienki i zebrał przybory toaletowe. Schowal je do brazowego, skorzanego neseserka, zeby pozniej wsunac go do torby Na brzegu umywalki pozostal tylko plaski, plastikowy futeral. Innes otworzył go i wyciagnal z przegrodek skalpel, szczypczyki, zacisk naczyniowy, strzykawke i mala, szklana buteleczke z aplikatorem. Zostawil jedynie szereg igiel i dwie dlugie szpile do kapelusza. Chrzaknal z zadowoleniem. Mial wszystko, czego potrzebował. Nawet bron. Wrocil do pokoju i wyjal z teczki pistolet. Wysunal magazynek, sprawdzil ilosc amunicji i wcisnal go na miejsce. Potem przykrecil tłumik i spojrzal wzdluz lufy.**

**–Nieporeczny sprzet – mruknal pod nosem.**

Roker i Shelby zjawili się punktualnie. Shelby był wyraźnie zdenerwowany, bo pocil się obficie. Innes zauważył nawet plamy pod pachami jego marynarki. Poprosił Amerykanów, żeby usiedli. Shelby wiercił się, w końcu wstał i zaczął spacerować po pokoju.

–Nie mogę w to uwierzyć – wymamrotał.

–W co?

–W to, że za niecałe pół godziny przez te drzwi wejdzie dziecko z brytyjskiej rodziny królewskiej.

–Jak wejdzie, to pan uwierzy – odparł Innes.

–To historyczna chwila – ciągnął Shelby. – Przejdziemy do historii jako patrioci, którzy przynieśli wolność Irlandii.

–O ile wszystko się powiedzie – zauważył Roker.

–A dlaczego ma się nie powieść? – zdziwił się Shelby. – Przecież teraz rozegramy to uczciwie.

–Milo mi to słyszeć – wtracił cierpko Innes.

–Jest tu coś do picia? – zapytał Shelby.

–Później – zbył go Innes.

Rozmowa nie kleiła się, wreszcie zapadło milczenie. Trzy po jedenastej rozległo się pukanie. Innes i Amerykanie wstali.

–Proszę – powiedział Innes.

W progu stał mały chłopiec, a za nim mężczyzna w jasnym płaszczu przeciwdeszczowym. Lekko popchnął dziecko do przodu. Weszło niepewnie do pokoju. Obcy zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Shelby podszedł do chłopca, pochylił się i niemal z czciami dotknął jego ramienia.

–Cześć – zagadnął przyjaźnie.

Malec nie odpowiedział.

Shelby odwrócił się do pozostałych.

–Cholera, nie wiem, co się mówi do królewskiego dziecka. Czy zwykle "cześć" wystarczy?



**–Chłopiec jest w szoku – wyjaśnił mężczyzna przy drzwiach. – Chwilowo stracił głos.**

**–Co to ma znaczyć, do diabła? – zdenerwował się Shelby.**

**–To się zdarza. Niedługo mu przejdzie – odrzekł spokojnie obcy. Shelby przesunął dłońmi po ciele malca i był zaskoczony że go nie przestraszył. Znow się odwrócił.**

**–Ma klasę – roześmiał się. – Słowo daje. Prawda, mały?**

**Chłopiec nawet nie mrugnął. Wpatrywał się w niego.**

**Shelby wyprostował się i zwrócił do Rokera i Innesa.**

**–To chyba właściwe dziecko? – zapytał z uśmiechem zakłopotania. – To głupie, ale nagle zdałem sobie sprawę, że nikt z nas nigdy przedtem nie widział go... na żywo. To śmieszne, że... tylko na zdjęciach... Były w porządku, ale... – Nagle sięgnął pod marynarkę i wyciągnął rewolwer. Wycelował w mężczyznę przy drzwiach i powiedział tryumfalnie: – Widzę, że zmieniliście zdanie i nie założyliście mu ładunku wybuchowego. Chłopiec jest czysty. Przed chwilą go sprawdziłem.**

**Na twarzy obcego pozostał wyraz spokoju. Wolno pokręcił głową.**

**–Nie zmieniliśmy zdania. Chłopiec ma bombę.**

**–Co ty gadasz, człowieku? – zaniepokoił się Shelby. – Gdzie?**

**–Może? – Mężczyzna wskazał na dziecko.**

**–Proszę bardzo.**

**Obcy odsłonił lewą stronę szyi malca i pokazał świeżą bliznę.**

**–To implant. – Spojrzał na zegarek. – Jeśli nie wróce do swoich za dwadzieścia pięć minut, będziecie go zeskrobywać ze ścian.**

**Shelby spociał się. Nerwowo osuszył czoło chusteczką.**

**–Chyba... nie można winić kogoś tylko za to, że... próbował? – wymamrotał.**

**Mężczyzna nie odpowiedział.**

**–A jeśli pan wróci za dwadzieścia pięć minut? – wtracił się Roker.**

**–Zadzwońmy do was i poprosimy o podanie hasła. Nie wywołamy eksplozji. Kiedy pieniądze znajdą się na naszym koncie, skierujemy was do pobliskiej kliniki, gdzie**

**usuna implant.**

**–A jeżeli uciekniecie z forsa? – zapytał Shelby ku zazenowaniu swych towarzyszy.**

**–Juz wam mowilismy, ze martwe dziecko nikomu sie nie przyda. Dbamy o to, zeby nasi klienci byli zadowoleni.**

**–Kim właściwie jesteście? – zainteresował się nagle Roker.**

**–To nie wasz interes. – Obcy spojrzal na zegarek. – Czas ucieka. Ktos zapukal. Innes natychmiast uspokoil wszystkich.**

**–W porzadku, bez obaw... Kto tam? – zawolal glosno.**

**–Zamowiona whisky, panie Innes – odpowiedzial glos zza drzwi.**

**–Widzicie? – usmiechnal sie Innes. – Chcialem tylko uczcic transakcje i kelner troche sie pospieszyl. Prosze wejsc!**

**Zycie w pokoju zamarlo. Kelner postawil na stole tace z butelka irlandzkiej whisky i kilkoma szklankami.**

**–Zyczy pan sobie jeszcze cos?**

**–Owszem, Reagan – przytaknal Innes. – Zalaw tego grubasa!**

**Kelner blyskawicznie wyciagnal spod tacy pistolet z tlumikiem i trzykrotnie wypalil w Shelby'ego. W tym samym momencie Innes wpakowal dwie kule w mezczyzne przy drzwiach. Obcy osunal sie na podloge.**

**–Co jest?! – wykrzyknal kompletnie zaskoczony Roker. – Po co to zrobiliscie, na litosc boska?! O co wam chodzi?!**

**Reagan zerwal z siebie kelnerska kamizelke i cisnal w kat. Chwycil Rokera, posadzil go i przywiazal do krzesla. Innes przez caly czas trzymal Amerykanina pod lufa.**

**–Chlopca tez zwiaz – polecil Innes. Potem przytknal Rokerowi bron do nosa. – Dawaj haslo – rozkazal cicho.**

**–Oszalales, czlowieku? – wykrztusil przerazony Amerykanin.**

**–Haslo! – Innes mocniej przycisnal wylot tlumika do twarzy Rokera i przekrzywil mu glowe w gore i w lewo.**

**–Spadaj!– warknal Roker.**

**Innes odwrocil sie do Reagana.**

**–Wybral sobie zly moment na odgrywanie bohatera. Chlopak wyleci w powietrze za pietnascie minut. Przynies z lazienki przybory.**

**Reagan wrocil z tym, co wczesniej przygotowal Innes. W oczach Amerykanina blysnal strach.**

**–A teraz sluchaj – powiedzial do niego Innes. – Kwas do oczu czy igly pod paznokcie? Co wybierasz?**

**–Odbilo ci! – wyseplenil Roker, kulac sie na krzesle, choc nie bardzo mogli sie ruszac.**

**–Chyba paznokcie – stwierdzil Innes i wyciagnal z futeralu igle. – Zatkaj mu gebe i trzymaj go mocno! – rozkazal Reaganowi.**

**Reagan rozejrzal sie. Dostrzegil chusteczke obok zwlok Shelby'ego. Podniosl ja i sila wepchnal Rokerowi w usta. Potem przygwozdzil mu reke do poroczy krzesla. Innes wsunal igle pod paznokiec palca wskazujacego i pchnal.**

**Rokerowi oczy wyszly z orbit. Zbladl i oblal sie potem.**

**–Na litosc boska tylko niech nie zemdleje! – zirytowal sie Reagan.**

**–Nie ucz mnie, co mam robic! – parsknal Innes i wepchnal igle glebiej. Glowa Rokera opadla na piers i Innes przerwal tortury.**

**–Wyciagnij mu knebel! – polecil Reaganowi. Reagan wyjal chusteczke z ust Amerykanina. – Haslo!– wycedzil Innes.**

**–Dobrze... dobrze... ARCHIMEDES... Ale... Innes usmiechnal sie.**

**–Tylko to chcialem wiedziec. – Wysunal z futeralu szpile do kapelusza i poszukal wlasciwego miejsca miedzy zebrami Rokera. Amerykanin zdazyl jeszcze wybaluszyc przerazone oczy, zanim szpikulec przebil mu serce.**

**Innes spojrzal na zegarek i zerknal na dziecko.**

**–Zostalo dziesiec minut. Zdazymy zadzwonic stad. – Podniosl telefon i wystukal szereg cyfr. – Moje nazwisko Innes. Numer konta 66 710 81. Chcialbym przelac na nie pieniadze z rachunku 44 94 552.**

**–To przelew na haslo. Po uslyszeniu sygnalu prosze je podac – odpowiedziala osoba po drugiej stronie, po czym rozlegl sie melodyjny dzwiek.**

**–ARCHIMEDES.**

Po dluzszej przerwie ta sama osoba odezwala sie w tonie "zycze milego dnia".

**–Bardzo mi przykro, ale nasz komputer nie potwierdzil autentycznosci panskiego glosu.**

Innes poczul, ze ziemia usuwa mu sie spod nog. Zaszlo mu w gardle. – Nie rozumiem – wychrypial.

**–To z pewnoscia zwykla pomyłka, ale komputer odpowiada, ze glos upowazniony do podania hasla to nie panski glos.**

**–Jezu Chryste! – szepnal Reagan, ktory stal tuz obok Innesa i podsłuchiwal. – Ale nas zalatwiles!**

Innes w odretwieniu odlozil telefon i popatrzył na trupa jedyne go człowieka upowaznionego do podania hasla.

**–Zwykla pomyłka – mruknal, myslac o Kellu. – Nic wiecej.**

Reagan nagle sobie przypomniat, ze czas ucieka.

**–Lepiej wynosmy sie stad! – Kiedy wybiegal z pokoju, zatrzymal sie i potargal czupryne chlopca. – Bez urazy, maly. Rozumiemy sie?**

Innes podazyl za nim, ale byl zajety zupełnie czym innym.

**–Musze pomyslec – wymamrotal. – Musze miec czas, zeby pomyslec.**

**–Zrobmy cos! Na litosc boska, zrobmy cos!**

**–Nie mozemy. Zabija chlopca. Musimy zaczekac.**

Avedissian, Kathleen i Jarvis sluchali wszystkiego, co dzialo sie u Innesa, i czuli sie bezradni. Poderwali sie natychmiast, gdy tylko ludzie z IRA wyszli. Popedzili hotelowym korytarzem, zbiegli po schodach i wpadli do opuszczonego pokoju.

Dziecko siedzialo na srodku z rekami przywiazanymi do oparcia krzesla. Bez slowa popatrzylo na Avedissiana, ktory pojawil sie pierwszy.

**–Trzy minuty! – ostrzegł Jarvis. Odliczal czas od chwili, kiedy porywacz zagrozil zdetonowaniem ladunku, jesli nie wroci w pore. – Mozesz cos zrobic?**

Avedissian nawet nie probowal oswobodzic chlopca: nie bylo czasu. Szybko obejrzal jego szyje i znalazl blizne po implancie. – Wynoscie sie stad! – warknal do

**Kathleen i Jarvisa.**

**–Ale...- zaczął Jarvis.**

**–Wynoscie sie! – powtorzył Avedissian.**

**Nie posluchali.**

**Avedissian zobaczył przybory Innesa i siegnął po skalpel. Spojrzał z bolem serca na chłopca.**

**–Przepraszam, ale musze to zrobic. Nie ma innego wyjścia. Mam nadzieje, ze kiedyś to zrozumiesz...**

**Kathleen podeszła do malca i objęła go za głowę, żeby ułatwić Avedissianowi dostęp do jego szyi. Rzut oka na twarz Avedissiana wystarczył, by zrozumiała, co przeżywa: był zmuszony wykonać zabieg na dziecku bez znieczulenia.**

**–Zrob to – szepnęła. – To jego jedyna szansa.**

**–Dwie minuty! – odezwał się Jarvis.**

**Avedissian naciał szyję. Krew spłynęła po piersi i plecach chłopca. Malec zeszywniał ze strachu i bólu i zaczął się trząść, ale nie wydał żadnego dźwięku. Avedissian kontynuował zabieg ze straszliwym poczuciem winy. Wreszcie na moment dostrzegł implant, zanim znow zasłoniła go krew.**

**–Podaj mi tamte szczypczyki – poprosił bladego jak ściana Jarvisa. Musiał pokazać palcem narzędzie na podłodze.**

**–Zemdlał – oznajmiła Kathleen. – Dzięki Bogu – odetchnął Jarvis.**

**–Mam to!– powiedział Avedissian.**

**–Została minuta! – poinformował Jarvis. – Daj mi to!**

**Avedissian podał mu przedmiot tkwiący w szczypcach. Jarvis chwycił go i podbiegł do okna. Nagle stanął.**

**–Jezu! – jeknął. – Te okna się nie otwierają! Klimatyzacja!**

**–Do łazienki! – polecił Avedissian. – Wrzuc to do wanny i zamknij drzwi! Jarvis zrobił, co mu kazano, potem padł na podłogę obok pozostałych.**

**Leżeli w ciszy. Mijały sekundy.**

**–Moze postanowili nie zdetonowac ladunku? – odezwala sie w koncu Kathleen.**

**Avedissian usilowal zatamowac krwotok u lezacego obok chlopca. Kathleen wciaz trzymala i uspokajala dziecko, choc bylo nieprzytomne.**

**–Ta zabawka chyba nie wybuchnie – powiedzial Jarvis po uplywie kilku minut. – Pojde zobaczyc.**

**–Tylko ostroznie! – ostrzegla Kathleen.**

**–Nie mozemy tego tutaj zostawic – odrzekl Jarvis tonem wyjasnienia.**

**–Co z nim? – Kathleen z powrotem skupila uwage na chlopcu.**

**–Na razie w porzadku – odparl Avedissian. – Nie stracil zbyt duzo krwi, ale moze byc w szoku.**

**Jarvis wrocil z lazienki. Trzymal cos w dloni. Podrzucil to do gory i zlupal w powietrzu.**

**–To guzik – powiedzial cicho. – Srebrny guzik. Nic wiecej. – Osunal sie na fotel, jakby w obawie, ze straci rownowage.**

**Avedissian skonczyl prowizorycznie opatrywac rane na szyi chlopca. Dopiero teraz zauwazyl, ze trzesa mu sie rece. Wstal niepewnie, powlokl sie do lazienki i pochyлил nad umywalka. Zoladek podchodzil mu do gardla, ale nie mogl zwymiotowac. Oddychal spazmatycznie i nieregularnie, przezywajac na nowo ostatnie pol godziny. Kathleen stanela obok i delikatnie dotknela jego ramienia.**

**–Juz po wszystkim – szepnela. – Postapiles najlepiej, jak mogles.**

**Jarvis otworzyl butelke whisky, ktora posluzyla Reaganowi za pretekst do wejscia do pokoju. Nalal trzy solidne porcje. Avedissian wychylil swoja jednym haustem i poczul pokrzepiajace palenie w gardle.**

**–Wiedziales? – zapytal ochryple, patrzac oskarzycielsko na Jarvisa.**

**–Co?**

**–Ze to dziecko nie jest tym, kim wedlug Bryanta mialo byc?**

**–Co?! – wykrzyknal autentycznie zaskoczony Jarvis. – O czym ty mowisz, do diabla?!**

**Avedissian spojrzal na malca.**

**–To nie jest dziecko z rodziny królewskiej. Ten chłopiec jest głuchoniemy.**

**Jarvis i Kathleen wytrzeszczyli na niego oczy.**

**–Nie rozumiem cie – powiedziała Kathleen. – Oczywiście, że to dziecko z rodziny królewskiej! Po prostu chwilowo straciło głos z powodu szoku. Tak mówił porywacz.**

**Jarvis przytaknął.**

**–Naturalnie! Przyjrzyj mu się dobrze.**

**–Nigdy nie widziałem z bliska ani tego chłopca, ani jego rodziny – odrzekł Avedissian. – A ty?**

**–Ja też nie – przyznał Jarvis. – Ale widywałem go na zdjęciach w gazetach, w magazynach, w telewizji...**

**–To nie wystarczy – odparł Avedissian. – Na pierwszy rzut oka wiele dzieci wygląda podobnie. Trzeba je poznać bliżej, żeby dostrzec pewne charakterystyczne cechy. Znam się na tym, jestem pediatra. Wiem, jak zachowują się dzieci. Dlatego twierdzą, że ten chłopiec cierpi nie tylko na chwilową utratę głosu. Wszystko wskazuje na to, że jest głuchoniemy.**

**–Chcesz powiedzieć, że porywacze zamienili dziecko? – zapytała Kathleen.**

**Avedissian wolno pokręcił głową.**

**–Nie ma żadnych porywaczy. Nigdy nie było. To oszustwo. Bryant to wszystko zorganizował.**

**–Ale po co?!**

**–Może dla dwudziestu pięciu milionów dolarów? – podsunął Avedissian.**

**–A IRA?**

**–Sądząc po tym, co słyszeliśmy, musieli od początku znać prawdę. Weszli jednak do gry, bo też chodziło im o pieniądze. Gdy się dwadzieścia pięć milionów, można wiele zdziałać.**

**–Zwłaszcza, jeśli jest się Kellem – dodała cierpko Kathleen.**

**–Wiec tylko my wyszliśmy na idiotów? – odezwał się Jarvis.**

**–Prawdziwa ofiara jest on – Avedissian wskazał dziecko w ramionach Kathleen. – Wystarczy spojrzeć, co te sukinyńy mu zrobiły.**

**–Ale przynajmniej ani jedni, ani drudzy nie zgarneli forsy – Jarvis popatrzył na zwłoki Rokera. – Za wczesnie go zabili.**

**–I co teraz? – zapytała Kathleen. – Wyglada na to, ze nasza czworke spisali na straty.**

**Jarvis nagle wstal.**

**–Musimy stad znikac! NORAD zacznie sie zastanawiac, dlaczego Roker, Shelby i chlopiec nie zjawili sie na lotnisku. Moze nawet juz tu jada. Pamietajcie, ze nie znaja prawdy o dziecku. Nie wiedza ze to byl podstep. I nie maja pojecia, ze IRA zabila ich ludzi. Pomysla ze to robota porywaczy, i beda szukac ich i chlopca.**

**–Moze powinniśmy go zostawic – zaproponowala cicho Kathleen. – Chyba zapewniliby mu wlasciwa opieke medyczna?**

**–Watpie – odparl kwasno Avedissian. – Szybko odkryja, ze nie jest tym, kim powinien byc. Jak myslisz, co z nim wtedy zrobia?**

**–Wiec co proponujesz? – spytal Jarvis.**

**–Zabierzemy go do domu i sprobujemy ustalic, skad sie w ogole wzial.**

**–Jak?**

**–Zapytamy Bryanta – wycedzil Avedissian przez zacisniete zeby.**

## **9**

**Jarvis obszukal zwloki Shelby'ego i zabral jego bron. Wreczyl rewolwer Avedissianowi.**

**–Lepiej to wez. – Odciagnal trupa od drzwi, rozejrzal sie i znalazl klucz od pokoju. – Zamkniemy za soba – powiedzial. – To da nam troche czasu, zanim ktos odkryje ten balagan. – Spojrzal z obrzydzeniem na igle sterczaca spod paznokcia Rokera. – Chodźmy! – przynaglił.**

**–Z hotelu jest boczne wyjście – oznajmil na korytarzu. – Tamtey będzie bezpieczniej. Zejdziemy schodami – dodal, kiedy Avedissian zatrzymal sie przy windach.**

**Kathleen przytrzymała uchylne drzwi. Jarvis z bronia w dloni i Avedissian z nieprzytomnym chlopcem na rekach wybiegli na schody przeciwpozarowe. Po drodze nie spotkali nikogo i na dole Jarvis schowal pistolet.**



Boczne wyjście z hotelu służyło wyłącznie zaopatrzeniu, więc nikt nie zadal sobie trudu, by zadbać o wygląd korytarza prowadzącego do drzwi. Pod sufitem wisiały nieosłonięte rury, po bokach ciągnęły się nagie, pobielone ściany. Wentylacja szumiała głośno, ale nie mogła sobie poradzić z gorącym powietrzem i zapachami z kuchni. Słychać było brzęk naczyń oraz głosy, jednak nikt się nie pojawił.

Dobiegli do zniszczonych drzwi wyjściowych i musieli przystanąć dla złapania oddechu. Kathleen zdjęła koc z twarzy chłopca i przyjrzała mu się.

–Biedne malenstwo – westchnęła. – Jak oni mogli to zrobić?

Pytanie było retoryczne, ale podsunęło Avedissianowi pewien pomysł.

Nagle przekazał dziecko Kathleen i oświadczył:

–Wracam na chwilę na górę. To nie potrwa długo. – Zniknął, zanim ona lub Jarvis zdążyli zaprotestować.

Avedissian wspinał się po dwa stopnie na raz. Kiedy wreszcie znalazł się na piętrze Jarvisa, ledwo dyszał. Dobiegł korytarzem do jego pokoju i chwycił za klamkę. Drzwi były zamknięte – Jarvis wciąż miał klucz. Cofnął się pod przeciwległą ścianę i z rozpedu natarł na drzwi lewym barkiem. Rozległ się trzask, ale zamek nie puścił. Za trzecim razem drzwi otworzyły się z impetem i uderzyły w ścianę.

Avedissian usłyszał, że na korytarz wychodzą zaniepokojeni hałasem ludzie, ale nie miał czasu przejmować się tym. Wpadł tu tylko na moment. Porwał to, po co przyszedł, i wybiegł z pokoju. Po drodze potracił grubą kobietę w szlafroku i lokowkach. Parsknęła z oburzeniem.

–Po co tam wracales, na Boga?! – zapytała Kathleen, gdy dołączył do nich.

–Po przyszłość dla chłopca – wysapał z trudem. – Wynosmy się stąd. Trochę tam narozrabiałem.

Wzjął od niej dziecko. Jarvis otworzył wewnętrzne, a potem zewnętrzne drzwi i ostrożnie wyjrzał.

–Czysto – oznajmił.

Pobiegli w stronę podświetlonego znaku wskazującego wyjazd z podziemnego garażu. Zatrzymali się na szczycie pochylni.

–Zaczekajcie tutaj – polecił Jarvis. – Przyprowadzę samochód.

Avedissian spojrzał w górę. Powietrze było gorące i nieruchome. Na niebie świeciły

gwiazdy. Lekki zapach kwiatów przypomniał mu o Anglii i Cambridge. Próbował rozpoznać melodie dochodząca z pietra hotelu. Nagle nocna cisza przerwał przytłumiony huk eksplozji. Budynek zadrzał.

Z garażu uniosła się wielka chmura czarnego dymu i zawisała nad wyjazdem. Avedissian i Kathleen stali jak skamieniali. Nie mogli uwierzyć w to, co się stało. Ale wiedzieli, jaka jest prawda: Jarvis nie żyje. W samochodzie była bomba.

–Co teraz zrobimy? – zapytała Kathleen ze strachem w oczach.

–Musimy uciekać – odpowiedział Avedissian. Na razie nie był w stanie myśleć.

Pobiegli uliczką wzdłuż hotelu. Po chwili przystanęli i obejrzały się. Dym się rozwiewał. Przysłaniał neonowy napis nad garażem jak chmura księżyc. Przy wyjeździe zebrała się już grupa ludzi. W oddali wycisły syreny.

Wtem w uliczce zahamowała czarna, długa limuzyna. Wsiadli z niej trzech mężczyzn. Sprawiali wrażenie bardziej zainteresowanych mężczyzną z dzieckiem na drugim końcu uliczki, niż tym, co się wydarzyło w podziemnym garażu.

–To NORAI! – krzyknął Avedissian. – Uciekajmy! Szybko!

–Ale dokąd? – Kathleen popędziła za Avedissianem, który już skręcał w zaułek.

–Musimy złapać taksówkę – rzucił przez ramię. Zaczynały go boleć ręce od dzwigania chłopca.

Kathleen zaryzykowała i obejrzała się.

–Doganiają nas! – wrzasnęła z przerażeniem.

–Biegnij! – przynaglił Avedissian. Piecdziesiąt metrów przed sobą widział już jasno oświetloną arterię, ale przesładowcy zbliżali się szybko. – Gdy skręcimy za róg, wezmiesz chłopca!

Wypadli zza rogu. Avedissian wepchnął dziecko w ramiona Kathleen. – Poszukaj taksówki! Zatrzymam ich!

Kathleen pobiegła dalej. Avedissian wyciągnął rewolwer zabrany martwemu Amerykaninowi. Przywarł policzkiem do zimnej ściany i czekał. Tupot nóg zbliżał się. Przez moment znów był w Belfascie. Przeżywał to samo, co przed laty. Strach, który czuł w żołądku, dziwnie przypominał pozadanie. Takie podniecenie, świadomość groźnego niebezpieczeństwa i wzmożona czujność towarzysza tylko człowiekowi na krawędzi katastrofy.

**Avedissian wylonil sie zza muru z rewolwerem w wyciagnietych rekach. Przykleknał na jedno kolano i strzelil.**

**Pierwszy z mezczyzn polecial twarza w dol. Avedissian uslyszal grzechot broni upadajacej na bruk. Drugi, kompletnie zaskoczony, zbyt szybko probowal zahamowac. W panice rozrzucil rece i nogi, szukajac jakiejs oslony przed niespodziewanym atakiem. Zdazyl kilkakrotnie wystrzelic w kierunku Avedissiana, ale stracil rownowage – ten trzymal go na muszce i dwukrotnie nacisnal spust.**

**W zauлку zapanowala cisza. Na ziemi lezaly dwa ciala. Trzeci pasazer czarnej limuzyny zniknal bez sladu.**

**Avedissian czekal z bronia gotowa do strzalu, ale nikt sie nie pojawil. Schowal rewolwer i pobiegl szukac Kathleen. Siedziala w zoltej taksowce zaparkowanej przy krawezniku dwiescie metrow od miejsca, gdzie sie rozstali. Klocila sie z kierowca o zaplate za czekanie.**

**Avedissian wsiadl do samochodu i ucial dyskusje.**

**–Do "Rainbow Inn" – polecil.**

**Na jego widok Kathleen z ulga osunela sie na oparcie.**

**–Nic ci sie nie stalo? – szepnela. W milczeniu pokrecil glowa.**

**–Anglicy? – zagadnal taksowkarz. Avedissian przytaknal.**

**–Z wizyta u krewnych.**

**–I mieszkacie w "Rainbow Inn"? – zdziwil sie kierowca. – Widac wasza rodzina ma male mieszkanie.**

**Avedissian przeklal pod nosem wszystkich wscibskich taksowkarzy.**

**–A dzieciak co? Chory? – ciagnal kierowca.**

**–Tylko zmeczony.**

**–No tak, juz pozno. Chyba za pozno dla takiego malego dziecka.**

**–Wie pan, jak to jest, wszyscy krewni chca go zobaczyc. Nic mu nie bedzie.**

**–Pewnie nie.**

**Avedissian odetchnal, gdy dostrzegl neon hotelu "Rainbow Inn".**

**–Wysiadzimy tutaj – zdecydował, choć pozostał jeszcze kawałek drogi.**

**–Może podjechać pod samo wejście – zaproponował taksówkarz.**

**–Dziękuję, nie trzeba.**

**Avedissian dał kierowcy duży napiwek i z przyjemnością go pożegnał. Rozejrzał się i zauważył bar szybkiej obsługi.**

**–Wejdzmy tam – powiedział do Kathleen. – Musimy porozmawiać.**

**O tak późnej porze w lokalu siedziało zaledwie kilka osób. Znaleźli miejsca na końcu sali i usadowili chłopca w rogu. Avedissian ukradkiem sprawdził mu puls i stwierdził, że jest w normie. Kupił kawę przy kontuarze i wrócił do Kathleen.**

**–Zdaje się, że jesteśmy w kiepskiej sytuacji, prawda? – powiedziała.**

**–Tak. Myślałem, żeby przenoćować w "Rainbow", ale zrezygnowałem. Wystarczy, że NORAD przepytają miejscowych taksówkarzy i już nas mają. Łatwo zapamiętać parę z angielskim akcentem i dzieckiem.**

**–Więc co zrobimy?**

**–Wezmę samochód z parkingu i pojedziemy przed siebie.**

**–A co z chłopcem? – zapytała Kathleen. – Nie powinien znaleźć się w szpitalu?**

**–Nie możemy ryzykować. Będzie zadawać niewygodne pytania i wezwie policję. Zapewnie mu wystarczająca opieka lekarska jeśli zdołamy to, co mi jest potrzebne.**

**Avedissian zostawił Kathleen z chłopcem w restauracji i poszedł po samochód. Na parkingu nie było nikogo, ale na wszelki wypadek stał przez chwilę w mroku. Potem szybko podszedł do bmw i otworzył drzwi. Wnętrze auta pachniało nowością oraz skóra. W łśniacej karoserii odbijały się światła hotelu.**

**Wsiadł, włożył kluczyk do stacyjki i... zamarł. Na wspomnienie wybuchu w podziemnym garażu zesztywniał ze strachu. Siedział bez ruchu i zastanawiał się, czy IRA wiedziała o tym samochodzie. Innes mógł się dowiedzieć, że Jarvis mieszka w jego hotelu, ale chyba nie odkrył, że ma drugi wóz gdzie indziej?**

**Avedissian bał się przekreślić kluczyk. Zamiast tego pociągnął zaczep maski.**

**Wysiadł, unosił ją i przeżył wstrząs. Zobaczył prostokątny pakunek przyklejony żółtą taśmą do osłony silnika. Wyglądał na ładunek plastiku.**

**Wyszło mu w gardło, gdy sprawdził, dokąd prowadzi dwa przewody. Jeden**

polaczony byl z cewka zaplonowa drugi z punktem masy na nadwoziu. Natychmiast zrozumial zasade dzialania prostego urzadzenia. Gdyby wlaczyl zaplon, prad poplynalby z akumulatora do cewki, a dalej do detonatora. Zamknal maske i cofnal sie.

Krecilo mu sie w glowie. Nagle zdal sobie sprawe, ze to nie IRA podlozyla bombe w samochodzie Jarvisa. To byla robota Bryanta! Usuwal swiadkow nielegalnej operacji. On, Kathleen i chlopiec tez mieli zginac.

Avedissian uslyszal, ze drzwi hotelu otworzyly sie. Na zewnatrz wysypala sie grupka mezczyzn.

–Mam ochote sie zabawic, panowie – powiedzial donosny glos. – Te zjazdy moga czlowieka zanudzic na smierc.

–Wiec zobaczmy, jak wyglada nocne zycie Kansas City – zaproponowal drugi glos. Oba mialy angielski akcent.

–Jutro przemawiasz, Miller – przypomniał pierwszy mezczyzna. – Lepiej, zebys nie zalal paly. Chociaz... Jak masz gadac tak dretwo, jak zwykle, to bez znaczenia.

–Odwal sie!

Wiec to lekarze ze zjazdu, domyslil sie Avedissian. W grupce rozlegly sie smiechy, gdy jeden z Amerykanow zasugerowal, jak najlepiej spedzic czas w miescie.

–Czym to podniosla?! – wykrzyknal ktos.

–Jako ginekolog jestem zainteresowany – rozesmial sie inny. – Zawodowo, oczywiscie!

–Ja jestem zonaty! – zaprotestowal ktorys z Anglikow, co wywolalo kolejny wybuch smiechu.

Avedissianowi przyszedl do glowy ryzykowny pomysl. Skoro jednak hotel byl pelen lekarzy, a tuz obok znajdowalo sie centrum medyczne, powinno sie udac. Poprawil krawat, wygladzil ubranie i wszedl do "Rainbow Inn". W holu panowal taki tlak, jak sie tego spodziewal. Rozejrzal sie i podszedl do recepcji.

–Czym moze sluzyc? – zapytala kobieta w srednim wieku. Z jej szyi zwisaly okulary na grubym, zlotym lancuszk, a usmiech sprawial wrazenie przyklejonego do wymalowanej twarzy.

–Chcialbym klucz do mojego pokoju – odrzekl niesmialo Avedissian.

**–Jaki to numer?**

**–Pewnie to zabrzmie śmiesznie – Avedissian z zakłopotaną miną wzruszył ramionami i mocno podkreślił swój angielski akcent – ale zapomniałem.**

**Kobieta nie przestała się śmiechać. – Jakie jest pańskie nazwisko?**

**–Miller. Doktor Miller – powiedział Avedissian, próbując się śmiechnąć. Modlił się, żeby kobieta nie znalazła Millera z wyglądu.**

**Czerwony paznokiec przesuwiał się w dół listy gości, w końcu zatrzymał się.**

**–Ma pan pokój 293. – Kobieta sięgnęła po klucz.**

**–Oczywiście! Ale ze mnie gapa! – wykrzyknął Avedissian. – Bardzo pani dziękuje.**

**–Proszę bardzo.**

**Avedissian ruszył ku schodom. Z jednej strony czuł wielką satysfakcję, że się udało, z drugiej strach, że kobieta zaraz zwoła go z powrotem. Wciąż miał przyspieszone tętno, gdy wszedł do pokoju 293 i zapalił światło. Niemal natychmiast znalazł to, czego szukał: torbę lekarską Millera. Leżała pod stolikiem obok walizki i cienkiej, plastikowej teczki na dokumenty z logo zjazdu. Avedissian sprawdził zawartość torby.**

**–Niech cię Bóg błogosławi, Miller – mruknął.**

**Miał wszystko, czego potrzebował.**

**Kiedy Avedissian wrócił do restauracji, chłopiec już odzyskał przytomność. Przytulał się do Kathleen, ale na widok Avedissiana zeszytywniał. W jego oczach pojawiło się przerażenie. Avedissian wiedział dlaczego. Był zły i czuł się bezsilny. Na razie nie miał sposobu, żeby przekonać chłopca, że to, co zrobił, zrobił dla jego dobra. Żadne dziecko jeszcze tak na niego nie patrzyło. Wiedział, że nie zapomni tego wzroku do końca życia.**

**–Gdzie byłeś?– szepnęła niespokojnie Kathleen. – Myślałam, że coś się stało. Masz samochód?**

**Avedissian opowiedział jej, co odkrył pod maską. Zbladła.**

**–Ale dlaczego?**

**–Sama mówiłaś, że spisali nas na straty. Spojrzała na torbę, którą przyniosł.**

**–Przybory lekarskie – wyjaśnił. – Pożyczyłem je.**

**Wyciagnal reke, zeby dotknac glowy chlopca, ale malec skulil sie i odsunal. Kathleen musiala go uspokoic.**

**–Nie moze miec do ciebie zalu, stary – powiedzial cicho Avedissian.**

**–Co dalej? – zapytala bezradnie Kathleen.**

**–Trzeba znalezc nocleg. Musze mu zalozyc wlasciwy opatrunek, a potem sie zastanowimy. Chodzmy.**

**Avedissian chcial wziac chlopca od Kathleen, ale malec ciagle sie go bal i nie puszczał jej.**

**–Zostaw – powiedziala.**

**–Jest ciezki – zaprotestowal Avedissian.**

**–Poradze sobie.**

**Dlugo nie mogli zlapac taksowki i byli coraz bardziej zdenerwowani. W koncu zdesperowany Avedissian wskazal nadjezdzejacy autobus.**

**–Wsiadamy.**

**Hydrauliczne drzwi rozsunely sie z sykiem i weszli do srodka. Kierowca byl czarny, podobnie jak wszyscy pasazerowie. Obrzucili trojke bialych intruzow obojetnym wzrokiem.**

**–Pozna pora dla dziecka – zauwazyl kierowca, gdy Avedissian szukal drobnych. Lekarz zignorowal uwage.**

**–Chcemy dojechac do glownego dworca autobusowego.**

**–Trzeba sie bedzie przesiasc – odrzekl Murzyn. – Powie nam pan kiedy?**

**–Jasne.**

**Siedzenia byly twarde, oswietlenie marne i smierdzialo olejem napedowym. Pod sufitem wisialy reklamy i ostrzezenia o karach za napady z bronia. Napis obok kierowcy informowal, ze nie trzyma przy sobie gotowki: oplaty za przejazd trafiaja do pancерnej skrytki, do ktorej nie ma klucza.**

**Wzmianka o pieniądzach przypomniała Avedissianowi, że czas się zastanowić nad własną sytuacją finansową. Ile mu zostało? Odpowiedź na to pytanie nie podniosła go na duchu, ale miał jeszcze kartę kredytową.**

**Wysiedli na wskazanym przystanku i zaczęli, aż kierowca odjedzie.**

**–O co ci chodziło z tym dworcem autobusowym? – zapytała Kathleen.**

**–Podsunałem kierowcy fałszywy trop. Trzy białe twarze wśród samych czarnych łatwo zapamiętać.**

**Powędrowali w kierunku przeciwnym, niż wskazał im kierowca, i zobaczyli motel "Blue Ranch". Nie wyglądał zbyt zachęcająco, ale napis nad wejściem informował, że są wolne miejsca. Gruby właściciel w opiętym podkoszulku nie poruszył się, podniósł tylko wzrok znad ilustrowanego magazynu. Jego mina wyrażała nadzieję, że nie będzie musiał przerywać lektury na długo. Avedissian zauważył, że dziewczyna na okładce pisma ma na sobie jedynie helm do futbolu amerykańskiego.**

**–Numer dwanaście, trzydzieści dolców, płatne z góry – wyrecytował grubas i z hałasem położył klucz na ladzie.**

**Avedissian zapłacił i rozejrzał się.**

**–W która stronę...**

**Mężczyzna pokazał palcem w prawo, z powrotem pochłonięty czytaniem.**

**–Boże, co za miejsce – westchnął Avedissian, kiedy wyszli z recepcji i poszli wzdłuż rzędu domków. Kathleen nie mogła zaprzeczyć. Zamiast zapachu sosu barbecue, który dominował w Kansas City, unosiła się tu wonia tanich perfum. Znaleźli numer dwunasty i weszli do środka.**

**Wnętrze wyglądało lepiej, niż się spodziewali. Kathleen odchyliła koldre na jednym z łóżek i popatrzyła na przescieradło.**

**–W porządku. Myślałam, że będzie jeszcze cieple.**

**Avedissian zaciągnął zasłony i otworzył torbę lekarską. Wyjął potrzebne rzeczy i ułożył na nocnym stoliku.**

**–Chcę obejrzeć szyję chłopca – szepnął do Kathleen.**

**–To nie będzie łatwe – odparła. – Ale spróbujmy.**

**Uśmiechnęła się do dziecka i zaczęła delikatnie zdejmować prowizoryczny opatrunek. Cały czas mówiła do malca. Z początku był nieufny, potem się uspokoił. Ale kiedy zrozumiał, że Avedissian zamierza go dotknąć, w jego oczach pojawił się strach. Przywarł do Kathleen. Przytuliła go i pocieszała.**

**–Trzeba to zrobić – powiedział cicho Avedissian.**



Kathleen delikatnie polozyła chłopca na łozku i ujęła rękę Avedissiana. Uniosła ją do swojej twarzy i poglaskala nią policzek. Malec wyglądał na zaskoczonego, więc powtórzyła ten gest, kiwając głową. Zajęło to trochę czasu, lecz w końcu dziecko zdecydowało się dać Avedissianowi drugą szansę. Nie odsuwało się już, kiedy oglądał ranę, choć było sztywne ze strachu.

–Jak to wygląda? – zapytała Kathleen.

–Nie jest źle – odrzekł Avedissian. – Implant był tuż pod skórą, ale muszę założyć kilka szwów.

–Czy to bolesne?

–Tylko trochę. W porównaniu z poprzednim zabiegiem to nic. Kathleen przytrzymała chłopca, zaś Avedissian zrobił, co należało. Potem odetchnął z ulgą.

–Gotowe. – Poglaskał dziecko po ręce i dodał: – Dobrze się spisales. Byłeś bardzo dzielny. – Malec patrzył na niego bez wyrazu.

Avedissian wziął ze stolika buteleczkę czerwonego płynu i nalał trochę na łyżeczkę.

–To pomoże mu zasnąć. I ma przyjemny smak.

Kathleen przekonała chłopca, żeby wypił. Uśmiechnął się słabo.

–Łozko jest twoje – szepnęła i przytuliła go.

Kiedy ułożyła dziecko do snu, wróciła do Avedissiana. Przestała udawać pogodną na użytek malca i teraz na jej twarzy odbijało się napięcie i zmęczenie.

–Co my dalej zrobimy, na Boga? – zapytała.

–Najpierw musimy się wydostać z Kansas City – odpowiedział Avedissian. – Trzeba uciec tym z NORAD-u. Pare z dzieckiem i brytyjskim akcentem łatwo wytropić, a tamci z pewnością bardzo chcą nas znaleźć.

–Szkoda, że nie wiedza, że to nie jest chłopiec z królewskiej rodziny – westchnęła.

–W tej chwili to już bez różnicy. Uważają, że zabilismy Rokera, Shelby'ego i dwóch innych.

Kathleen zapytała, kogo ma na myśli, mówiąc o "dwóch innych". Avedissian opowiedział jej o strzelaniu w zaulku.

–Same komplikacje – szepnęła, wylamując nerwowo palce. – Wszystko poszło nie tak.

**Avedissiana zdziwil ten komentarz, ale w tym momencie dziecko poruszylo sie przez sen i Kathleen podeszla do lozka.**

**–Sprobujemy dotrzec do Chicago – ciagnal. – Tam jest duze lotnisko. Moze za pare dni jakos sie przeslizgniemy.**

**–Jak? Obstawia wszystkie mozliwe dworce.**

**–Pojedziemy samochodem.**

**–Wynajetym?– spytala.**

**–A dlaczego nie? Mam karte kredytowa.**

**–Czy to nie jest zbyt ryzykowne, mezczyzna z brytyjskim akcentem wynajmujacy samochod?**

**–Cos trzeba zrobic.**

**–Od tego zaczniemy jutro rano? – Nie. Przedtem pojde do banku.**

**–Do banku? – zdziwila sie Kathleen.**

**–Chce otworzyc konto.**

**–Co ty wygadujesz?**

**–Kiedy w hotelu zostawilem was na kilka minut, pobieglem do pokoju Jarvisa. Zabralem tasmy magnetofonowe.**

**–Po co?**

**–Bo na ktorejs jest nagrany glos Rokera mowiacego "Archimedes". Dlatego wtedy powiedzialem, ze wrocilem po przyszlosc dla chlopca.**

**Minela dluzsza chwila, zanim Kathleen zrozumiala. Wreszcie wykrzyknela:**

**–Alez to genialne! Haslo wypowiedziane wlasciwym glosem! Bedziesz mogli wziac pieniadze!**

**–Mam nadzieje – odrzekl Avedissian. – Nie beda lezaly na tym koncie wiecznie, ale smierc Rokera i Shelby'ego powinna spowolnic dzialania NORAIID-u. Moze nie od razu zapadna nowe decyzje. Poza tym juz na pewno wiedza ze przelew nie zostal dokonany, wiec nie musza sie spieszyc. Nie przyjdzie im do glowy, ze ktos moze sie dobrac do ich kapitalu.**

**–Genialne – powtórzyła Kathleen, ale Avedissian odniósł wrażenie, że myślni jest gdzie indziej.**

**–Wiesz co?– odezwała się nagle.**

**–Co?**

**–Umieram z głodu!**

**Avedissian musiał przyznać, że on też. Już nie pamiętał, kiedy ostatnio jedli.**

**–Wyskoczcie i zobaczcie, co się da zrobić – zaproponował i włożył marynarkę. Wyjął z kieszeni rewolwer i wręczył Kathleen. Upewnił się, czy umie strzelać i polecił: – Zamknij za mną drzwi na klucz. Jeśli ktoś będzie próbował wejść, najpierw strzelaj, a potem się zastanowimy, czy miałas inne wyjście.**

**Wrocil po piętnastu minutach z daniami z McDonalda. Kathleen przyjęła to z zadowoleniem. Zauważył, że jej nastrój zmienił się w ciągu ostatniej godziny: jakby wstąpiła w nią nowa nadzieja.**

**–Kawa trochę wystygła – poskarżyła się.**

**–Przykro mi, że nie biegłem szybciej.**

**Przestała jeść i spojrzała na niego.**

**–Przepraszam, wyglupiałam się. Myślni byłam całkiem mile stąd. Wybaczysz mi?**

**–Już wybaczyłem.**

**Kathleen wstała, obeszła stół i usiadła Avedissianowi na kolanach. Przesunęła palcami po jego czole.**

**–Cokolwiek się stanie, zawsze będę cie uważała za najwspanialszego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek poznałam. Może to nie najlepsza chwila i miejsce na takie wyznanie, ale to szczerą prawdą. – Pocałowała go lekko w usta.**

**–Nie mieliśmy wielkiego wyboru, jeśli chodzi o chwilę i miejsce – odrzekł.**

**–Nie, ale możesz mi wierzyć na słowo: ciesze się, że cie poznałam.**

**–Ja też.**

**Kathleen wślizgnęła się pod kołdrę obok dziecka na wypadek, gdyby się obudziło i przestraszyło. Avedissian zajął drugie łóżko. Przez kilka minut leżał w ciemności i napawał się ciszą, potem zapadł w niespokojny sen. Obawiał się, że wcale nie zasnie,**

ale zmczenie wzilo gore. Chociaz mial do przemyshlenia wiele spraw, jego umysl sprzeciwił sie temu. Dosc zmartwien na jeden dzien, czas wypoczac. O trzeciej nad ranem obudzil go odglos drapania.

Nasluchiwal zaintrygowany. Uznal, ze to nie zwierze: dzwiek byl zbyt regularny. Myszy skrobia z przerwami. Co to jest? Skad dochodzi? Uniosl sie na lokciu, zeby lepiej slyszec. Drapanie zamienilo sie w delikatne stukanie. Dochodzilo od strony drzwi.

Avedissian wstal po cichu i odszukal marynarkę. W kieszeni jednak nie znalazl rewolweru. Przypomniat sobie, ze dal bron Kathleen. Nie mial pojecia, gdzie ja polozyla.

Odglos znow sie zmienil i wtedy go rozpoznal. Ktos wycial kawalek szyby w okienku obok drzwi!

Avedissian rzucil sie w tamta strone, chwytajac po drodze szczypczyki chirurgiczne, bo tylko to mial pod reka. W otworze ukazala sie dlon i siegnela do zamka. Avedissian bez namyslu wbil w nia narzedzie. Intruz jeknal z bolu i zaklal bez amerykanskiego akcentu.

Avedissian chwycil go mocno za dwa palce i rozciagnal je, zeby przynajmniej jeden zlamac. Wiedzial, ze przy takim bolu obcy powinien zemdleć. Uslyszal za soba kroki Kathleen i krzyknal:

–Rewolwer! Na litosc boska, daj mi rewolwer!

Przeciwnik nie czekal. Wolna reka wybil reszte szyby. Na twarz Avedissiana posypalo sie szklo. Puscil palce mezczyzny i zacisnal powieki. Krew z rozciętego czola oslepila go na chwile. Otwierajace sie z impetem drzwi uderzyly go. Przelecial przez pokoj i upadl.

Napastnik zatrzasnal drzwi i zapalil swiatlo. Avedissian wytarl oczy, po czym otworzyl je. Zobaczyl nad soba zwalistego mezczyzne z wycelowanym pistoletem. Obcy wysysal krew z dloni i patrzyl na niego wsciekle.

Avedissian wzial go za czlowieka z NORAIID-u.

–Nic nie rozumiecie. Chlopiec nie jest tym, za kogo go bierzecie. To byl podstep.

–Pieprze go! – warknal intruz. – Gdzie sa tasmy?

Avedissian na moment zaniemowil ze zdumienia. Mezczyzna mowil z irlandzkim akcentem!

**–Kim jesteś, do cholery? – wychrypiał po chwili.**

**–Trzeci raz nie bede powtarzal – ostrzegł obcy, ignorując pytanie. – Gdzie sa tasmy?**

**Avedissian liczył teraz tylko na Kathleen. Była w sypialni i miała bron. Domyslał się, że slucha i czeka na okazje. Musiał grac na zwloke.**

**–Jakie tasmy?**

**Kopniecie w zoladek zaparło mu dech. Zwinal się z bolu.**

**–Nie wciskaj mi kitu, koles – wycedził osilek. – Kathleen! Wylaz stamtad! – zawołał.**

**Avedissian nie pojmował, co się dzieje. Dlaczego ten facet wola Kathleen po imieniu?! Stanęła w drzwiach sypialni i powiedziała ze zloscia do Irlandczyka:**

**–Przecież ci mówiłam, że je zdobede! Po co tu przylazles?**

**–Zamknij się i dawaj kasety! – parsknął obcy.**

**–Nie wiem, gdzie sa – odparła Kathleen.**

**Podeszła do Avedissiana i uklekla przy nim. Spuscila oczy pod jego oskarzycielskim spojrzeniem.**

**–Przepraszam – szepnela. – Nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro, ale lepiej mu powiedz.**

**Avedissian patrzył na nia dlugo i twardo, w koncu powiedzial z rezygnacja.**

**–Kasety sa w sypialni, w szafce przy lozku.**

**–Przynies je! – rozkazal mezczyzna. Kathleen wstala i wyszla.**

**Irlandczyk znow wycelowal bron w Avedissiana.**

**–Ja wygralem, ty przegrales. Ale nie moge powiedziec, zeby to bylo nie przyjemne.**

**Avedissian zamknal oczy i czekal na swój koniec. Nagle uslyszal dwa stlumione wystrzaly i... nic się nie stalo. Uniosl powieki. Mezczyzna zwalil się na podloge, po czym znieruchomiał. Kathleen stala w drzwiach z rewolwerem i patrzyla na zwloki.**

**–Kto to byl? – zapytal cicho Avedissian.**

**–Jeden z ludzi Kella. Nazywal się Reagan.**

**Avedissian pokręcił głową.**

**–Dlaczego? Dlaczego to zrobiłaś?**

**–Okłamałam cie. Mój brat żyje – odrzekła Kathleen. – Kell go uwięził, a mnie podstawił Brytyjczykom, bo podejrzewał, że coś knują. Początkowo miałam tylko potwierdzić, że to Bryant zorganizował porwanie dziecka, i dowiedzieć się możliwie jak najwięcej o tej operacji. Ale kiedy Bryant uznał, że dzięki mnie mogłoby zebrać więcej informacji o IRA i NORAIID, Kell kazał mi podjąć te gre. Miałam przekazywać Reaganowi wiadomość o tym, jak postępuje misja Innesa, i być łącznikiem między nimi.**

**–Dostarczyłaś Bryantowi prawdziwych informacji. INLA została rozbita w Belfascie.**

**–To sprawa Kella. Nienawidził McGlynnów, więc skorzystał z okazji. Wystawił ich Bryantowi i jednocześnie przekonał go, że można mi ufać.**

**–Skąd Kell zna Bryanta?**

**–Kell zna Bryanta, Bryant zna Kella. Tak już jest na samej górze. Pewnie nigdy się nie spotkali, ale wiedza o sobie wszystko. Na tak wysokim szczeblu to po prostu gra. Życie ludzkie nie ma znaczenia: liczy się sama gra.**

**–Wtedy Kell od początku znał plan Bryanta?**

**–Nawet więcej. Postanowił go wykorzystać do własnych celów.**

**–Masz na myśli zdobycie pieniędzy?**

**Kathleen pokręciła głową.**

**–Nie tylko z tego powodu chciał, żeby Bryant myślał, że uwierzył w porwanie królewskiego dziecka.**

**–A z jakiego jeszcze?**

**–Nie wiem, ale słyszałam, że zaplanował operacje nawet większa niż Bryant.**

**–Mówiłaś, że Kell wiezi twojego brata – przypomniał Avedissian.**

**Kathleen wzruszyła ramionami.**

**–Teraz go z pewnością zabije. Oboje już byśmy nie żyli, gdybym nie była Kellowi potrzebna. Zawarłam z nim umowę, że wypuści Martina, jeśli jego operacja się powiedzie i zdobędzie pieniądze. Balam się, że wszystko przepadło, dopóki nie powiedziałeś mi o kasetach. Pomyślałam, że mogę jeszcze uratować Martina. Kiedy**

wyszędles po jedzenie, zadzwoniłam do Innesa i Reagana. Obiecałam, że dam im tasmy, jeśli Kell nie skrzywdzi mojego brata.

–Ale Reagan postanowił przyspieszyć sprawę?

–Zrobiłam głupstwo: zdradziłam mu, gdzie jesteśmy – przyznała Kathleen. – Przeze mnie o mało nie zginął... – W jej oczach pojawiły się łzy. Położyła głowę na ramieniu Avedissiana. – Przepraszam, kochanie – szepnęła.

Przytulił ją mocno, nie zwracając uwagi na wciąż krwawiące czoło.

–Cicho. Sama mówiłaś, że zawsze jesteś ofiarą okoliczności. Uznajmy, że i tym razem nie miałas na nic wpływu.

Kathleen ujęła jego twarz w dłonie i popatrzyła na niego z miłością. Potem przyjrzała się skaleczeniom.

–Przyniosę ściereczkę. – Wrocila z łazienki z mokra szmatka i delikatnie przemyła ranki. – To nic groźnego. Po wytarciu krwi wygląda o wiele lepiej – zapewniła, kiedy skończyła.

–Musimy się stąd wynosić – powiedział Avedissian.

–Nie możemy zaczekać do rana?

Pokreślił głową.

–Mówiłaś, że jest dwóch ludzi z IRA. Nie wiemy, gdzie jest ten drugi.

–Innes – przyznała.– Liczydło.

–Może czeka w pobliżu na powrót Reagana i jeśli się nie doczeka...

–Tego nie wzięłam pod uwagę. Myślałam, że Reagan działał na własną rękę.

–Przygotuj chłopca – polecił Avedissian i wstał. Podniósł z podłogi rewolwer, który upuściła Kathleen i sprawdził beben. Został tylko jeden naboż. Wziął pistolet Reagana – miał pełny magazynek.

Kiedy byli gotowi do wyjścia, Avedissian zgasił światło i wyjrzał przez szpary w zasłonach. Nie zauważył nic podejrzanego, ale chciał się upewnić. Kazał Kathleen czekać, ostrożnie uchylił drzwi i wymknął się na zewnątrz.

Pochylił się, przebiegł kawalek i ukrył w mroku między domkami. Po chwili pobiegł wzdłuż nich, obserwując teren należący do motelu. Nie dostrzegł żywej duszy, w zaparkowanych samochodach też nikogo nie było.

Juz miał wrocic po Kathleen, gdy uslyszal samochod wjezdzejacy na teren motelu. Cofnal sie w cien. Kierowca zaparkowal przed recepcja, wysiadl i wszedl do srodka. Avedissianowi na moment zamarlo serce. Rozpoznal mezczyzne ze stadionu w Chicago. To byl Innes! Przyjechal odszukac Reagana.

Avedissian zacisnal dlon na kolbie pistoletu w kieszeni. Zastanawial sie, co zrobic. Zastrzelic Innesa z zimna krwia kiedy sie znow pojawi, czy wrocic po Kathleen i chlopca? Z recepcji dobiegły podniesione glosy. Podkradl sie blizej, zeby cos zobaczyc przez oszklona sciane. Innes klocil sie z grubasem za lada. Do wlasciciela dolaczyla zona. Padlo slowo "policja" i mezczyzna podniosl sluchawke telefonu. Innes wciaz probowal go o czymys przekonac, ale bez skutku. Widocznie zbyt wiele dziwnych rzeczy zdarzylo sie w ciagu jednej nocy: najpierw wybuch bomby w hotelu "Plaza", potem kolejni ludzie mowiacy z obcym akcentem.

Avedissian uznal, ze lepiej nie ryzykowac spotkania z policja, totez zostawil Innesa w spokoju. Skulil sie i pobiegl z powrotem wzdluz domkow. Przystawal przy kazdym samochodzie i zagladal do srodka. W koncu znalazl to, czego szukal: jeden mial kluczyki w stacyjce!

Wsiadl za kierownice. Obracajacy sie rozrusznik narobil halasu, ale silnik nie zaskoczył. Avedissian spocil sie. Sprobował jeszcze raz, naciskajac kilkakrotnie pedal gazu. Bez powodzenia. W oknie domku pojawila sie twarz, ale nie zrezygnowal. Przycisnal gaz do podlogi, po czym dluzej przytrzymal kluczyk. Silnik ozyl i zawyl na wysokich obrotach. W tej samej chwili Avedissian zobaczył Kathleen z dzieckiem biegnaca w jego kierunku.

Samochod wyrwal do przodu. Avedissian przechylil sie – otworzył drzwi od strony pasazera. Kathleen przycisnela do siebie chlopca i wskoczyła do srodka. Avedissian az trzy razy probowal zawrocic. Z domku wybiegl mezczyzna. Pospiesznie wcialgal spodnie i cos krzyczal.

Wyjechali za brame z piskiem opon. Kathleen obejrzala sie. Z recepcji wypadl Innes. Przez moment stal na tle jasnego prostokata drzwi, potem podbiegl do swojego samochodu.

## 10

Avedissian nie miał pojecia dokad jechac. Po prostu pedzil przed siebie. Przyjrzał sie tablicy rozdzielczej i odnalazl wskaznik paliwa. Zostalo pol zbiornika. Tylko to sie teraz liczylo. Zobaczył zielony drogowskaz, wiec wbil noge w pedal hamulca. Kathleen musiala wyciagnac wolna reke i zaprzec sie o tablice rozdzielcza zeby nie wyleciec przez przednia szybe. Druga reka trzymala chlopca.

–Zapnij pas – polecil Avedissian.



**–Jak dasz mi szanse.**

**Odczytał drogowskaz, po czym ostro skrecił w lewo. Mocniej scisnął kierownice, opony zapuszczaly na zjeździe i wydostali się na autostradę międzystanową – Tu jest ograniczenie prędkości do dziewięćdziesięciu kilometrów – powiedziała Kathleen, kiedy strzałka szybkościomierza zbliżyła się do stu trzydziestu.**

**Avedissian miał nerwy w strzępach i chciał na nią warknąć, ale ugryzł się język. Musiał przyznać jej rację. Nie było sensu zwracać na siebie uwagi patrolu drogowego. Cofnął nogę i szybkość spadła poniżej stu. Trochę się odpreżył.**

**–Widzisz kogoś za nami? – zapytał. Kathleen obejrzała się.**

**–Nie, nikogo.**

**Dojechali do dużego węzła drogowego i zwolnili.**

**–Który kierunek wybrałabys na miejscu Innesa? – spytał Avedissian.**

**–Na wschód.**

**–A ja na zachód. W takim razie... ani jeden, ani drugi. – Avedissian zmienił pas ruchu i skrecił na północ.**

**–Co tam jest? – zdziwiła się Kathleen.**

**–Nie wiem. Ale potrzebujemy chwili wytchnienia.**

**Po godzinie jazdy Avedissian włączył radio. Cisza zaczynała działać na niego przygnębiająco.**

**–Jak chłopiec?– zapytał.**

**–Spi – odpowiedziała Kathleen.**

**Tych kilka słów trochę rozładowało napięcie. Avedissian zmienił pozycję za kierownicą. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że przez ostatnią godzinę siedział sztywno wyprostowany. Kathleen delikatnie rozmasowała mu kark.**

**–Lepiej?**

**–Duzo lepiej.**

**–Co sędzisz o naszej sytuacji?**

**Avedissian wolal nie kusic losu, ale powiedzial:**

**–Mysle, ze na razie jestesmy bezpieczni. Przypuszczam, ze wymknelismy sie Innesowi.**

**Kathleen pochyliła sie i zmieniła radiostacje. Awangardowy jazz dzialal jej na nerwy.**

**–Zastanawiam sie – odezwal sie Avedissian – czy za pieniadze z konta nie udaloby sie nam wykupic od Kella twojego brata.**

**–Mowisz powaznie?**

**–Oczywiscie. O ile wyjdziemy z tego zywi. Ale czesc musialaby zostac dla chlopca.**

**–Mowilam ci juz, ze cie Kocham?**

**–Nie – usmiechnal sie Avedissian. – Jeszcze nigdy.**

**–No to mowie teraz.**

**–Wiec mamy do czynienia z bardzo korzystnym, obustronnym porozumieniem.**

**Gdy minela godzina jazdy Avedissian spojrzal na wskaznik paliwa.**

**–Konczy sie benzyna.**

**Zjechal z autostrady i zatankowal samochod. Kiedy placil, zobaczyl w szybie odbicie policyjnego radiowozu. Wtaczal sie wolno na stacje benzynowa jak kot podkradajacy sie do ptaka.**

**–Prosze – powiedzial nieco zdziwiony kasjer, wreczajac reszte Avedissianowi. Nie rozumial, co tak zaintrygowalo klienta.**

**Avedissian machinalnie wzial pieniadze, nie odrywajac wzroku od szyby. Woz patrolowy potoczyl sie dalej i zaparkowal przed restauracja z czerwonym neonem "Hank's Diner". Avedissian udal, ze liczy reszte, i katem oka obserwowal dwoch policjantow. Wyszli i rozprostowali kosci. Poprawili czapki oraz pasy z bronia weszli do lokalu. Z otwartych drzwi na chwile dobiegla glosna muzyka.**

**–Dobranoc – pozegnal kasjera Avedissian.**

**–Szerokiej drogi – odrzekl zdumiony mezczyzna. Avedissian wrocil do samochodu.**

**–Myslalam, ze juz nas maja – powiedziala Kathleen.**

**–Nie przygladali sie naszej tablicy rejestracyjnej. Podejrzewam, ze w Kansas City ciagle gina samochody.**

**–Dzięki Bogu – westchnęła. Odjechali.**

**Znow się udało, pomyślał Avedissian. Czuł jednak, że los zbyt długo im sprzyja. Na wszelki wypadek zjechał z autostrady. Uznał, że powinni przycząić się na kilka dni w jakimś spokojnym miejscu. Przez ten czas Innes i NORAIID zgubia trop, a wtedy on przeleje pieniądze.**

**–Wiesz, gdzie jesteśmy? – zapytała Kathleen.**

**–Gdzieś w Iowa.**

**Rozwidniało się. Uspokajająca poświata tablicy rozdzielczej zaczęła błędnąć w blasku dnia. Wnętrze samochodu, które przez ostatnie godziny było ich małym światem, zrobiło się mniej przytulne.**

**–Jeszcze nigdy nie widziałam takiej równiny – odezwała się Kathleen.**

**Pola kukurydzy wokół nich sięgały aż po horyzont. Po godzinie później weszło słońce. Na niebie nie było ani jednej chmurki.**

**Avedissian zaparkował samochód na obrzeżach miasta Des Moines. Wybrał ustronne miejsce za restauracją. Kathleen obudziła chłopca.**

**–Czas na śniadanie, mój księżo – szepnęła mu do ucha. Młodec otworzył oczy i przestraszył się, ale na widok Kathleen zaraz się uspokoił. Spoglądał jednak nieufnie na Avedissiana.**

**Kathleen poszła z dzieckiem do toalety, a Avedissian zamówił jedzenie. Kelnerka ssła koniec ołówka przed zapisaniem w bloczku kolejnej pozycji. Odczytała wszystko, co zamówił, i Avedissian skinął głową.**

**–Umyliśmy buzie i od razu czujemy się dużo lepiej – powiedziała Kathleen po powrocie. Chłopiec całkiem się rozbudził i wyglądał na głodnego. Avedissian uśmiechnął się.**

**–Jedźmy. Wszyscy pocujemy się lepiej. Miał rację. Obfite śniadanie dobrze im zrobiło.**

**–Zatrzymamy się w mieście? – zapytała Kathleen.**

**–Nie, bezpieczniej jest ominąć. Ale chce pojechać do banku. Muszą tu mieć filię. Im szybciej to zrobię, tym lepiej. Nie weźmie samochodu, bo jeszcze go wypatrzy jakiś gorliwy policjant. Trzeba poszukać miejsca, gdzie ty i chłopiec będziecie mogli poczekać, aż wrócę.**

**–Zapytajmy kelnerki – zaproponowała Kathleen.**

**Kelnerka ssala ołówek i zastanawiała się. W końcu powiedziała.**

**–Stara pani Lehman wynajmuje pokoje. Mieszka nieco ponad trzy kilometry na północ stąd. Pewnie ma coś wolnego.**

**–Świetnie – ucieszyła się Kathleen. Potem uważnie wysłuchała, jak tam trafić.**

**Avedissian zapłacił i dał kelnerce duży napiwek za pomoc.**

**–Anglicy, prawda? – zagadnęła, kiedy wychodzili. Avedissian wolałby, żeby się nie domyśliła.**

**Dom pani Lehman znaleźli bez większych problemów. Ku zadowoleniu Avedissiana stał całkiem na uboczu. Dwupiętrowy, drewniany budynek był pomalowany na biało. Dawno go nie odnawiano i ze ścian płatami odchodziła farba. Na powitanie wyszła stara kobieta. Avedissian wyjaśnił, że chcieliby zrobić przerwę w podróży i szukają noclegu na kilka dni. Dodał, że nie cierpi miasta.**

**–To tak jak ja – wyznała pani Lehman z silnym, niemieckim akcentem. – Nie znoszę hałasu i zamieszania.**

**Przestronny, jasny pokój na pierwszym piętrze przypadł im do gustu. Avedissian zapłacił z góry i poszedł do samochodu po rzeczy. Mieli tylko to, co Kathleen zdążyła w pośpiechu zabrać z motelu. Żeby nie wzbudzać podejrzeń pani Lehman, Kathleen zagadła ją na parterze, a Avedissian udął, że wnosi "bagaż".**

**–Chłopiec nie jest zbyt rozmowny – zauważyła pani Lehman, gdy wszelkie próby nawiązania z nim kontaktu speliły na niczym.**

**–Jest bardzo niesmiały – skłamała Kathleen. Wymówka zapewne nie była potrzebna, ale ostrożność weszła im już w krew.**

**–Powinnismy być tu bezpieczni – powiedział Avedissian, kiedy zostali sami. Kathleen popatrzyła przez okno na falujące pole kukurydzy i przytaknęła. Wydawało się mało prawdopodobne, żeby Innes albo NORAIID mogli ich tutaj znaleźć.**

**–Kiedy wybierasz się do miasta?**

**–Zapytam naszą gospodynię, czy chodzi tu autobus, i pojedę. Gdyby udało mi się od razu wszystko załatwić, zostalibyśmy tutaj przez kilka dni, a potem wrócilibyśmy do Chicago i stamtąd do domu.**

**–Gdziekolwiek to jest – odrzekła ponuro Kathleen. Avedissian położył jej dłoń na**

ramionach.

–Znajdziemy jakies miejsce i bedziemy razem – szepnal. – W porzadku? Skinela glowa.

–Idz juz.

–Wlasnie odjechal – odpowiedziala starsza pani, gdy Avedissian zapytal o autobus do miasta. – Nastepny bedzie za dwie godziny. Staje na koncu drogi.

Avedissian podziekowal i wrocil na gore.

–Wiesz, na co mam ochote? – zapytala Kathleen, kiedy sie dowiedziala, ze uciekl mu autobus. – Na spacer. Od tygodnia czuje sie jak w wiezieniu.

–Dobrze – zgodzil sie Avedissian. – Chodzmy we trojke.

Poszli polna droga w kierunku pobliskiej farmy. Slonce grzalo im w plecy, a wokol szumialy pola kukurydzy. Dziecko po raz pierwszy puscilo reke Kathleen i maszerowalo kilka krokow przed nimi. Spojrzala z usmiechem na Avedissiana.

–Chyba najgorsze ma juz za soba.

–Kupie mu w miescie kilka zabawek – obiecal Avedissian.

–Co z nim bedzie?– zapytala.

–Zalezy, skad jest. – A jak sadzisz?

–Mysle, ze z domu dziecka. Nie wyobrazam sobie, zeby jacykolwiek rodzice dali sie tak wywiesc w pole i nie domyslili sie, ze ich dziecku cos grozi, a ty?

–Watpie, zeby rowniez dom dziecka dal sie oszukac – odparla Kathleen.

–Czasami dzieci w takich miejscach padaja ofiara biurokratycznego balaganu – wyjasnil Avedissian. – Zajmuja sie nimi po kolei rozne sluzby socjalne. Podejrzewam, ze ten chlopiec nie ma zadnych zyjacych krewnych. A swoim urzedowym opiekunom stwarzal powazny problem, bo jako gluchoniemy nie byl raczej dobrym kandydatem do adopcji.

–Myslisz, ze Bryant wykorzystal urzedniczy balagan? – spytala Kathleen.

–Albo sam go stworzyl – powiedzial gorzko Avedissian.

–Gdyby sie okazalo, ze nie ma zadnych krewnych... – zaczela niepewnie Kathleen.

**Avedissian od razu zrozumiał, co jej chodzi po głowie.**

**–To?–** usmiechnął się.

**–Sądzisz, że moglibyśmy?**

**–Czemu nie? Wszyscy troje jedziemy na tym samym wozku. Może powinniśmy trzymać się razem.**

**Kathleen wzięła Avedissiana pod rękę i przytuliła się do niego. Zerknął na zegarek.**

**–Czas wracać.**

**Autobus spóźnił się dziesięć minut, ale Avedissian zobaczył go co najmniej pięć minut wcześniej, bo wzbijał w oddali tuman kurzu. Kiedy płacił za przejazd, kierowca zapytał, czy mieszka u pani Lehman. Avedissian przytaknął i usłyszał, że Rosa Lehman to bardzo porządna kobieta. Wychowała dwóch synów, którzy wyjechali na wschód robić karierę. Obaj zostali prawnikami, a może jeden lekarzem – kierowca nie był pewien, bo zawsze mu się mylili z chłopakami Millerów z Twin Forks.**

**–Oba chłopaki Rosy są prawnikami – odpowiedziała kobieta, jedna z trojki pasażerów.**

**–Dziękuję, Martha – odrzekł kierowca, nie odwracając głowy. – Długo pan zostanie? – zagadnął Avedissiana.**

**–Kilka dni.**

**–Anglik, prawda?**

**–Tak.**

**–Niewiele Anglików bywa w tych stronach – powiedział kierowca.**

**Avedissian uznał to za wskazówkę, że powinien wyjaśnić powód swojego pobytu tutaj, ale milczał. Obojętnie wyglądał przez okno. Na szczęście kierowca nie był dociekliwy.**

**Podróż trwała czterdzieści minut i Avedissian wysiadł w centrum Des Moines wczesnym popołudniem. Zapytał kierowcę o autobus powrotny i dowiedział się, skąd i kiedy odjeżdża.**

**–Miłego dnia – usłyszał na pożegnanie.**

**–Wzajemnie – odpowiedział.**

Bez trudu odnalazł główną filię banku, którego szukał, bo najwyraźniej wszystkie banki ulokowały się obok siebie w sercu miasta. Wszedł przez imponująco wysokie drzwi i poczuł przyjemny chłód klimatyzowanej sali. Pozostawało wybrać właściwe okienko. Naliczył ich ponad dwadzieścia; wszystkie czynne.

Uzbrojony strażnik, widząc wahanie Avedissiana, podszedł do niego. Uprzejmie, ale z kamiennym wyrazem twarzy, zapytał, w czym może pomóc.

–Chcę otworzyć konto – wyjaśnił Avedissian.

–Okienko czternaste w końcu sali – wskazał mężczyzna.

–Dziękuję. – Proszę bardzo.

Krocząc po lśniacej posadzce, Avedissian zastanawiał się, czy to prawdziwy marmur, czy bardzo dobra imitacja. Kolumny z tego samego kamienia przywodziły na myśl dostojną grecką budowlę. Narod, który poszukuje korzeni, pomyślał i uśmiechnął się do kobiety w okienku.

–Czym mogę służyć?

–Chciałbym otworzyć konto.

–Czekowe?

–Nie, depozytowe.

Kobieta wyjęła formularz z korytka na lewo od siebie i zaczęła pisać. – Ile chce pan zdeponować? – A jaka jest minimalna kwota?

–Jeden dolar.

–Jednego dolara – powiedział Avedissian.

Kobieta podniosła na niego wzrok, ale nie dała po nic sobie poznać i wróciła do pisania.

–O ile się nie mylę, wszelkie dane dotyczące konta są objęte tajemnicą bankową, prawda? – upewnił się Avedissian.

–Tak, oczywiście. Panski dolar będzie u nas bezpieczny.

Avedissian myślał, że kobieta drwi sobie z niego, dopóki nie zauważył, że pokazuje logo banku.

–Macie filie w Londynie? – zapytał.

**–W Londynie w Anglii? – Tak.**

**–Zaraz sprawdzę.**

**Kobieta wstała i podeszła do kolezanki siedzącej w glebi przy komputerze. Kolezanka wzięła książkę w niebieskiej okładce i przerzuciła kilka stron. Skinęła głową wskazując jedną z nich.**

**Kobieta wróciła do okienka.**

**–Tak, proszę pana, mamy.**

**–Czy można przelać pieniądze stąd do Anglii?**

**–Muszę zapytać. – Dowiedziała się i potwierdziła. – Trzeba tylko wypełnić odpowiedni formularz.**

**–Chciałbym go wypełnić od razu.**

**–Teraz? Chce pan przelać jednego dolara?**

**–Chcę dziś wypełnić formularz, żeby dokonano przelewu w piątek. Spodziewam się dużej sumy pieniędzy.**

**Kobieta podsunęła Avedissianowi odpowiedni formularz. Wypełnił go i zwrócił.**

**–Czy mam zrobić coś jeszcze?**

**–Nie, proszę pana, to wszystko. – Kobieta wręczyła mu potwierdzenie wpłaty jednego dolara z numerem konta. – Życze miłego dnia.**

**Avedissian wyszedł na słońce i odetchnął. Sprawy układały się po jego myśli. Kupił gazetę, a potem wstąpił do kawiarni na kawę i paczki.**

**Artykuł na trzeciej stronie zburzył jego dobry nastrój. Na widok zdjęcia domku w motelu, gdzie zamordowano mezczyznę, przeszły mu ciarki po plecach. Policja poszukiwała angielskiej pary, która uciekła skradzionym samochodem. Zamieszczono opis i numer rejestracyjny auta. Co gorsza kasjer ze stacji benzynowej widział Anglika i podobny samochód kilka godzin po zbrodni. Podał, że poszukiwany pojechał autostradą na północ.**

**Avedissian przeklął swojego pecha. Wszyscy już wiedzieli, gdzie go szukać: NORAD, Innes i policja. Przeczytał artykuł jeszcze raz i trochę się uspokoił – nie znalazł żadnej wzmianki o chłopcu. Para, a trzyosobowa rodzina to duża różnica. Grubas w recepcji motelu zbyt mało się nimi interesował, żeby zauważyć, że stojąca z tyłu Kathleen jest z dzieckiem. Zapewne z tego samego powodu w gazecie**



**brakowało rysopisu dwojga dorosłych.**

**Avedissian uznał za pocieszające również to, że artykuł znajdował się na trzeciej stronie – nie rzucał się w oczy. Morderstwo w obskurnym motelu w Kansas City pewnie w ogóle nie trafiłoby do gazet, gdyby nie wcześniejszy wybuch w hotelowym garażu i kilka ofiar zbrodni. Policja podejrzewała, że istnieje związek między wszystkimi tymi wydarzeniami. Sama eksplozja bomby została opisana na pierwszej stronie. Zginął Anglik i dwóch Amerykanów, a w pokoju hotelowym odkryto zwłoki niezidentyfikowanego mężczyzny. Motywy zbrodni były nieznane.**

**Avedissian wyszedł z kawiarni. Powinni wynieść się od pani Lehman jak najprędzej. Ktoś może zapytać kelnerkę w restauracji o angielską parę. Zerknął na zegarek. Autobus powrotny odjeżdżał za piętnaście minut, a on miał jeszcze coś do załatwienia.**

**Wszedł do supermarketu, gdzie mógł pozostać anonimowy, i kupił mały, japoński magnetofon kasetowy. Potem poszedł do działu zabawek, gdzie wybrał kilka dla chłopca. Wreszcie zaopatrzył się w niezbędne artykuły toaletowe, po czym pobiegł na przystanek. Tym razem usiadł na samym końcu autobusu, żeby uniknąć rozmowy z kierowcą.**

**Kathleen bawiła się z chłopcem w ogrodzie. Oboje wybiegli Avedissianowi naprzeciw. Z przyjemnością zauważył, że małe przestało patrzeć na niego podejrzliwie.**

**–Jak poszło?– zapytała Kathleen.**

**–Otworzyłem konto w banku, ale mamy problem. Już wiedza, że uciekliśmy na północ.**

**–Kto wie?**

**–Wszyscy. – Avedissian opowiedział Kathleen, co przeczytał w gazecie. – Musimy zaraz stąd wyjechać.**

**Opadły jej ręce.**

**–Nie możemy zostać chociaż do jutra? – jęknęła. – Nie przeżyje drugiej takiej nocy jak ostatnia.**

**Avedissian zastanowił się i uległ. Wiedział, że nie powinien, ale też miał ochotę zostać. Dał chłopcu zabawkę i po raz pierwszy zobaczył uśmiech na jego twarzy. To był miły moment.**

**Kiedy małe zajął się spychaczem, Kathleen popatrzyła na niego z czułością.**

**–Jak go nazwiemy?– spytała.**

**–Na pewno już ma imię – odrzekł Avedissian.**

**–Ale my go nie znamy. Trzeba się do niego jakos zwracać.**

**–Wiec coś wybierz.**

**–Juz wybrałam. Harry.**

**Avedissian uśmiechnął się.**

**–Czemu nie... Nasz Harry.**

**Zostawił Kathleen i Harry'ego w ogrodzie, a sam poszedł na górę. W pokoju wyjął taśmy zabrane od Jarvisa, włączył magnetofon i przewinął je do początku. Potem zaczął przesłuchiwać pierwszą. Gdy na nowo śledził przebieg wypadków, czuł jak ciarki przechodzą mu po plecach.**

**Zorientował się, że pierwsza kasetka pochodzi z podsłuchu pokoju, zatem rozmowy telefoniczne musiały być nagrane na drugiej. Przewinął taśmę do początku i zatrzymał. Słyszał teraz rozmowę podczas tortur.**

**–Hasło!– rozległ się głos Innesa.**

**–Dobrze... dobrze... ARCHIMEDES... Ale...**

**Avedissian cofnął taśmę i ustawił ją tak, by po włączeniu padło tylko hasło. Wyjął kasetę, po czym włożył drugą żeby przesłuchać ostatnią rozmowę telefoniczną. Zapisał numer konta, który podał Innes, i znowu zmienił kasetę w magnetofonie.**

**W pokoju nie było telefonu. Musiał zapytać panią Lehman, czy pozwoli mu skorzystać ze swojego.**

**–Naturalnie! – zgodziła się. – Czy to będzie rozmowa miejscowa?**

**–Tak – uspokoił ją. Zostawiła go samego – poszła do ogrodu pogawędzić z Kathleen. Avedissian gorąco podziękował, a potem wybrał numer banku. Czekał przy aparacie, oglądał zdjęcia na serwantce. Mężczyzna na jednym z nich był zapewne mężem Rosy Lehman. Dwaj młodzi ludzie mieli na sobie togi wyższej uczelni. Prawniczy, pomyślał Avedissian. W słuchawce rozległ się kobiecy głos.**

**–Moje nazwisko Avedissian – spojrzał na kartkę – numer konta 55 23 408. Chciałbym przeleć na nie całą sumę z rachunku 44 94 552.**

**–Chwileczkę proszę.**

**Avedissianowi zwilgotniały dłonie. Wyobrazil sobie najgorsze. Po drugiej stronie odezwał się mężczyzna.**

**–Czym mogę panu służyć?**

**Avedissian powtórzył życzenie.**

**–To dość niezwykle zlecenie – padła odpowiedź. – Rozumiem, że zostało to wcześniej uzgodnione z bankiem?**

**–Tak – odrzekł Avedissian z sercem w gardle.**

**–Mogę prosić o szczegóły?**

**–To przelew na hasło – wyjaśnił Avedissian.**

**–Rozumiem... Proszę chwileczkę zaczekać.**

**Avedissian zląkł się, że bank próbuje teraz ustalić, skąd dzwoni. Miał ochotę odłożyć słuchawkę. Zaczynały mu puszczać nerwy.**

**–Niestety, nie znaleźliśmy żadnych śladów tej sprawy – odezwał się głos. Avedissian chwycił się ostatniej deski ratunku.**

**–To zostało załatwione w waszym oddziale w Kansas City.**

**–Ach w Kansas City! To co innego. Nic pan nie powiedział. Myślałem, że to było załatwiane z nami.**

**–Nie. – Avedissian już ledwo wytrzymywał napięcie.**

**–Proszę chwileczkę zaczekać.**

**Omam się nie rozłączył. Oczami wyobraźni zobaczył policyjne radiowozy pedzace w stronę domu pani Lehman.**

**–Halo?**

**–Tak, jestem.**

**–Mamy potwierdzenie z Kansas City i kopie próbki głosu. Jest pan gotów?**

**–Tak – wychrypiał Avedissian, bo zaschło mu w gardle. Położył palec na włączniku magnetofonu.**

**–Po usłyszeniu sygnału proszę podać hasło. Wcisnął klawisz.**

**–ARCHIMEDES – popłynęło z tasmy.**

**–Przelew został dokonany. Pieniądze wpłynęły na pańskie konto. Avedissian odłożył słuchawkę. Ugięły się pod nim kolana. Udało się!**

**Naprawdę się udało! Miał na koncie dwadzieścia pięć milionów dolarów! Wyszedł z domu, żeby przekazać nowinę Kathleen, ale nie musiał nic mówić. Wyczytała to z jego miny. Uśmiechnęła się.**

**Pozegnali się z panią Lehman następnego ranka po śniadaniu. Powiedzieli, że musieli zmienić plany: jada do St. Louis w Missouri. Życzyła im wszystkiego najlepszego i machała, dopóki samochód nie zniknął jej z oczu.**

**Zatankowali paliwo na miejscowej stacji benzynowej i kupili mapę. Avedissian zamierzał jechać na północny zachód najmniej uczęszczanymi drogami. Uzgodnili, że na każdym postoju będą celowo pokazywać dziecko. Chcieli uchodzić za rodzinę w podróży i nie kojarzyć się nikomu z angielską parą wspomnianą w gazecie.**

**Zrobiło się gorąco i Harry zaczął się wiercić. Wokół ciągnęły się niezmiernie pola kukurydzy. Czasami w oddali widzieli farmerską ciężarówkę, częściej tylko tuman kurzu na odległej, wiejskiej drodze. Byli sami na szosie.**

**–Chyba chce mu się pic – zauważyła Kathleen.**

**–Mnie też – odrzekł Avedissian. – Staniemy, jak coś znajdziemy. Marzenia o lodowato zimnej coca-coli przysły, gdy usłyszeli podejrzany zgrzyt metalu trącego o metal. Avedissian natychmiast zatrzymał samochód i wysiadł. Spodziewał się najgorszego i nie mylił się. Kiedy zajrzał pod podwozie, zobaczył rozgrzaną do czerwoności obudowę mechanizmu roznicowego. Z peknienia unosił się niebieski dym.**

**–Koniec jazdy – oświadczył. – Zgubiliśmy cały olej z tylnego mostu. Zatarł się.**

**Kathleen i Harry wysiedli. Stali w palącym słońcu i patrzyli na bezużyteczną kupę zelastwa.**

**–Wiesz, gdzie jesteśmy? – spytała cicho Kathleen.**

**–Nie bardzo.**

**–Może ktoś nas zabierze?**

**–Może – mruknął Avedissian. Wątpił, by na tym pustkowiu ktoś przedko nadjechał. – Trzeba zepchnąć tego grata z drogi – powiedział. – Ale nie może zostać na poboczu, bo raczej znajdzie go policja i szybko ustali, że to poszukiwany samochód z motelu.**

Innes i NORAIID tez na pewno czekaja na wiadomosc, czy go odnaleziono. Bedziemy miec ich na karku.

–Wiec gdzie go ukryc? – Kathleen rozejrzala sie bezradnie po polach kukurydzy.

–Chocby w polu – odparl Avedissian. – Gdziekolwiek, byle od razu nie rzucal sie w oczy.

Odpowiednio ustawil kierownice, zwolnil hamulec, zaparl sie plecami o atrape chlodnicy i wbil piety w ziemie. Pot splywal mu po twarzy, ale samochod drgnal i wolno ruszyl do tyłu. Kathleen i Harry pomogli: tylne kola zjechaly z szosy na pobocze.

–Jeszcze!– wysapal Avedissian.

W koncu samochod stoczyl sie w dol i utknal w kukurydzy dwadziescia stop od drogi.

–Lepsze to niz nic – stwierdzil Avedissian, maskujac auto i zacierajac slady, najlepiej jak umial.

Minelo pol godziny, lecz nikt nie nadjezdzał. Siedzieli na skraju szosy i czekali. Słonce prazyło niemilosierdzie, więc pragnienie stawało się nie do wytrzymania. Nagle Avedissian wpadł na pomysł. Wstał i powiedział:

–Mozemy wypic plyn do spryskiwania szyby.

Przedarl sie przez kukurydze do samochodu i podniosl maske. Otworzył zbiorniczek spryskiwacza, zanurzyl w nim palce, a potem przytknal do ust.

–Woda! – krzyknal. – Czysta woda!

Plastikowy pojemnik byl przymocowany do blotnika metalowa tasma. Avedissian znalazl w bagazniku klucz nastawny, ktorym odkrecil uchwyt. Wrocil z woda do Kathleen i Harry'ego. Pili po kolei.

–Jestes genialny – sapnela Kathleen, kiedy pociagnela duzy lyk.

–Gdybym byl, potrafilbym wyciagnac nas z tych tarapatow – odparl.

–Przestan sie winic – poprosila. – Niedlugo ktos nadjedzie, zobaczysz. Avedissian usmiechnal sie. Kathleen wstala i spojrzala w dal. Wspielala sie na palce, przyslonila reka oczy.

–Chyba widze na horyzoncie tuman kurzu.

Wyciągnęła szyję i zrobiła kilka kroków, nie patrząc pod nogi. Potknęła się o kamień, upadła i stoczyła do płytkiego rowu. Avedissian zerwał się z miejsca, ale wybuchnęła śmiechem. Zapewniła, że nic jej nie jest. Siedziała w rowie z zakłopotaną miną: nie wyglądała na ranną.

–Wychodź stamtąd! – zawołał wesolo Avedissian i nagle zamarł z przerażenia. W piasku coś się poruszyło. – Uważaj! – krzyknął, ale było za późno.

Waż zatopił żeby w nodze Kathleen i powietrze rozdarł jej wrzask. W panice przekreśliła się na bok. Gad nie zrezygnował. Szykował się do następnego ukaszenia, gdy Avedissian wskoczył do rowu i zdzielił go kluczem, który wciąż miał w dłoni. Nie zabił weza, ale zdołał go mocno chwycić za łeb, żeby nie mógł zaatakować. Położył gada na kamieniu, wziął potężny zamach i z wściekłością roztrzaskał metalowym narzędziem.

Kathleen była w szoku, toteż nie mogła opanować drgawek, kiedy Avedissian oglądał ranę. Przemyślała wodę ze zbiorniczka spryskiwacza i zatamował krwawienie. Wiedział jednak, że do organizmu Kathleen dostała się duża ilość jadu. Harry siedział na brzegu rowu i przyglądał się scenie ze zgrozą. Coś strasznego stało się tej pani, która była dla niego taka miła. Kathleen zauważyła jego spojrzenie i starała się zapanować nad strachem i bólem.

–Wszystko w porządku – uspokoiła go. – Chodź! – Wyciągnęła rękę. Chłopiec zbliżył się niepewnie i ujął jej dłoń. – Usiądź przy mnie – powiedziała.

Odwrociła się do Avedissiana.

–Czy ja umrę?

–To był chyba jakiś gatunek zmii – odrzekł. – Nie sadzę, żeby to ukaszenie zagrażało życiu, jest tylko bardzo bolesne. Musimy dotrzeć do lekarza, żeby dał ci surowicę.

–Mam nadzieję, że mówisz prawdę.

–Pewnie! – Avedissian wstał, wyszedł na drogę i popatrzył w obu kierunkach. – Proszę cie, Boże – szepnął – spraw, żeby nadszedł choć jeden zaszranego samochodu!

## 11

Modlitwa Avedissiana została wysłuchana po dwudziestu minutach. Początkowo myślał, że mu się zdaje, ale odgłos silnika stawał się coraz głośniejszy. W końcu zobaczył małą, zakurzoną ciężarówkę. Zostawił Kathleen na poboczu, stanął na środku drogi i unosił ręce. Pojazd zatrzymał się. Z kabiny wyjrzał starszy mężczyzna

w farmerskim kombinezonie.

–W czym problem?– zapytał.

–Moja żona ukusił waz.

Kierowca wyłączył silnik, podbiegł do Kathleen. Wyraził swoje współczucie i powiedział:

–Trzeba szybko jechać do lekarza.

Mezcyżni pomogli Kathleen wsiąść do samochodu, potem Avedissian wrócił po Harry'ego. W kabinie było ciasno i duszno.

Ciezarowka z terkotem pokonywała płaską wstęgę drogi. Upał stawał się nie do wytrzymania, a z oblepionych nawozem błotników dolatywał smród. Kathleen wydawała się bliska omdlenia. Avedissian ułożył jej głowę na swoim ramieniu i szeptem dodawał otuchy.

–Mają też nie wygląda za dobrze – zauważył kierowca.

–Chce mu się pić – wyjaśnił Avedissian. – Długo siedzieliśmy na słońcu. Farmer sięgnął pod siedzenie i wręczył Avedissianowi butelkę lemoniady. – Niech pan mu da.

Avedissian przyłożył butelkę do ust chłopca. Harry pił z prawdziwą rozkoszą. Gdy tylko ugasił pragnienie, wyraźnie poczuł się lepiej. Avedissian oddał lemoniadę kierowcy.

–Może żona też ma ochotę? – zapytał farmer. – Albo pan?

Napili się oboje. Napój był niemal gorący, ale w tych okolicznościach smakował Avedissianowi jak rzadko co.

–Wygląda na to, że macie jakieś kłopoty – zagadnął mężczyzna.

–Samochód nam nawalił. – Nie widziałem go po drodze.

–Przeszliśmy spory kawałek – skłamał Avedissian. – Chcieliśmy gdzieś dojść.

–W tych stronach to łatwe.

Avedissian zauważył niewielkie zgrupowanie budynków.

–Gdzie jesteśmy?

–W Alta Vista.

Mimo mnostwa problemow na glowie, Avedissian natychmiast dostrzegl bezsens tej nazwy. Alta Vista, Widok z Wysoka. Jak okiem siegnac okolica byla plaska jak stol!

Zajecharli przed drewniany dom na skraju miasteczka. Farmer wyskoczył z kabiny i pobiegł do drzwi. Avedissian pomógł wysiąść Kathleen i Harry'emu. Podeszli do furtki. Kierowca ciężarówki przyprowadził starszego mężczyźne.

–Jestem doktor Feldman. Proszę wejść do środka.

Lekarz obejrzał ukaszenie na łydce Kathleen.

–Kiedy to się stało?

Avedissian spojrział na zegarek.

–Piećdziesiąt minut temu. Ma pan surowice?

–Powinna być. Marty mówił, że to była zmija ziemna.

–Nie będę się spierał – odrzekł Avedissian. – Nie rozróżniam ich.

–Anglicy? – Tak.

Feldman wyjął z lodówki pojemnik z kilkoma brązowymi buteleczkami. Wybrał jedną odsunął od siebie na odległość wyciągniętej ręki i odczytał napis.

–To ta.

Napełnił strzykawkę i zapytał Kathleen, czy bardzo ją boli. Wyraz jej twarzy wystarczył mu za odpowiedź.

–Nie przejdzie od razu, ale zastrzyk pani pomoże.

Gospodyni Feldmana przygotowała dla Kathleen łóżko w pokoju na parterze. Avedissian gorąco podziękował lekarzowi.

–Na tym polega moja praca – odparł lekarz. – Wykonuje ją kawał czasu.

–Jak długo? – zainteresował się Avedissian. Feldman uśmiechnął się.

–Uciekłem z Bostonu czterdzieści lat temu. Co was tutaj sprowadza? Avedissian opowiedział mu historyjkę o awarii samochodu w drodze do krewnych.

–Ktoś się nim już zajął?

–Jeszcze nie. Najpierw musiałem ratować żonę.



**–To oczywiste – przytaknął lekarz, wpatrując się uważnie w Avedissiana. – Mam zadzwonić do warsztatu Tylera?**

**–Nie, nie! – zaprzeczył trochę za szybko Avedissian. Gorączkowo szukał jakiejś wymówki, w końcu powiedział: – Jest całkowicie unieruchomiony. To wynajęty samochód i nie mamy czasu czekać, aż go tutaj naprawią. Już i tak jesteśmy bardzo spóźnieni. Zatelefonuję do wypożyczalni, żeby go zabrali. Oni to załatwią.**

**–Jak pan chce – odpowiedział Feldman. Popatrzył na Harry'ego, który siedział na podłodze przed drzwiami pokoju sypialni Kathleen. – Wasz synek jest bardzo cichy.**

**–Jest głuchoniemy – wyjaśnił Avedissian. Lekarz kiwnął głową.**

**–Tak myślałem. I bardzo nerwowy.**

**–Mieliliśmy ciężki dzień.**

**–Domyslam się. – Głos Feldmana zabrzmiał trochę niepewnie.**

**–Gdzie moglibyśmy się zatrzymać, dopóki moja żona nie będzie w stanie jechać dalej? – zapytał Avedissian.**

**–Tutaj – odrzekł Feldman. – To duży dom. Mieszkam tylko z moją gospodynią Minnie.**

**–Nie chcielibyśmy sprawiać kłopotu.**

**–To żaden kłopot. Będzie zadowolony z towarzystwa.**

**Lekarz uznał sprawę za załatwioną i powiedział, że pójdzie na górę uprzedzić gospodynię. Avedissian bardzo mu podziękował i kiedy Feldman zniknął, podszedł obejrzeć coś, co od chwili wejścia przykuło jego uwagę. Lekarz wrócił, gdy Avedissian trzymał w dłoni stary laryngoskop.**

**–Nie widziałem czegoś takiego od lat – wyznał Avedissian.**

**–Jest pan lekarzem czy kolekcjonerem? – zainteresował się Feldman.**

**–Lekarzem.**

**–Rozumiem... W takim razie musimy pogadać. Rzadko mam okazję rozmawiać z kolegami po fachu.**

**–O czym chce pan porozmawiać? – spytał Avedissian.**

**–O tym, dlaczego pan kłamie od chwili, gdy przestąpił pan próg mojego domu.**

**–Nie rozumiem...**

**–Mysle, ze doskonale pan rozumie – odparl Feldman. – Moze jestem stary, ale nie glupi. Pan mowi z angielskim akcentem, panska "zona" z innym, a wasz "syn" jest nerwowy jak bezpanski pies. Podobno podrozujecie do krewnych, ale jestescie wiele kilometrow od autostrady. Gdyby wasza rodzina mieszкала tutaj, powiedzielibyscie o tym. Zostawiliscie samochod i zapewne caly bagaz, o ile go macie. W co watpie. Nie jedziecie z wizyta do krewnych, "doktorze". A moze to tez klamstwo, ze pan nim jest? Moim zdaniem uciekacie przed kims albo przed czymś.**

**Avedissian z rezygnacja zwiesil ramiona. Nie zamierzal zaprzeczac. – Naprawde jestem lekarzem. – Ale reszta to klamstwa?**

**–Ma pan racje, rzeczywiscie uciekamy.**

**–Zechce mi pan to wyjasnic?**

**–Nie moge.**

**–To az tak powazna sprawa?**

**–Nie wiedzialbym od czego zaczac. Co pan zamierza zrobic?**

**Feldman pokrecil glowa.**

**–Jeszcze nie wiem. Wasza trojka to dosc nietypowy gang. Dokad chcecie sie dostac?**

**–Do Chicago.**

**–Zeby wyjechac z kraju?**

**Avedissian przytaknal.**

**–Porozmawiamy po kolacji – powiedzial Feldman. – Musze sie zastanowic.**

**Avedissian wszedl do Kathleen. Spala. Dotkнал jej czola. Bylo rozgrzane, ale nie stwierdzil oznak goraczki. Wszystko wskazywalo na to, ze w pore dostala surowice i zastrzyk powstrzyma dalsze dzialanie jadu. Teraz największym problemem byl Feldman. Jesli zamierzal wezwac policje, Avedissian musial mu w tym przeszkodzic. Inaczej perspektywa przyszlosci we troje rozwialaby sie jak miraz na pustyni.**

**Nie wyobrazal sobie jednak uzycia sily wobec starego czlowieka. Miedzy innymi ze wzgledu na Kathleen. Powinna tu zostac, dopoki nie okaze sie, ze surowica naprawde jest skuteczna. Gdyby w nocy jej stan sie pogorszył, nalezaloby ja odwiezc natychmiast do szpitala. Ich los lezal teraz w rekach Feldmana.**

Chwilowa beczynność skłoniła go do analizy sytuacji. Po artykule w gazecie Innes i NORAI z pewnością rozpoczęli poszukiwania od stacji benzynowej przy autostradzie. Pojechali na północ i tam zgubili trop. Potem zapewne szybko zawrócili. Zastanawiali się, jaki inny kierunek wybrać. Możliwe, że już znaleźli drogę do domu Feldmana. Z każdej chwili mogli być coraz bliżej.

Avedissian zamykał drzwi sypialni, gdy Harry pociągnął go za nogawkę. Młody spędził ostatnią godzinę w kuchni z Minnie, ale co dziesięć minut wychodził i sprawdzał, co się dzieje. Avedissian wziął go na ręce, po czym wrócił do sypialni Kathleen. Chłopiec zaczął się wiercić, więc mężczyzna postawił go na ziemi. Harry podszedł wolno do łóżka i delikatnie dotknął dłoni Kathleen. Potem obejrzał się, żeby zobaczyć reakcję Avedissiana. Avedissian uśmiechnął się do niego.

–Jak jest jej stan? – dobiegł z tyłu głos Feldmana.

–Spi spokojnie – odrzekł Avedissian.

Innes jechał przed siebie w zapadającym zmroku i zastanawiał się nad minionym dniem. Rozmowa z kasjerem na stacji benzynowej opłaciła się. Trochę pochlebstw i dziesięciodolarowy banknot skłoniły go do mówienia: przypomniał sobie, że tamtej nocy poszukiwany Anglik sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Młody wyjawiał, że dopiero po przeczytaniu artykułu w gazecie skojarzył to sobie z policyjnym radiowozem.

Informacja była dla Innesa na wagę złota. Jeśli Anglik przestraszył się policji, zapewne przy pierwszej okazji zjechał z autostrady. Innes zamierzał pojsć w jego ślady. Kasjer na stacji benzynowej dodał, że rano pytało o Anglika "kilku facetów". Chcieli wiedzieć, w którą stronę pojechał.

–I co pan im powiedział? – zapytał wtedy Innes.

–Ze na północ – usłyszał w odpowiedzi.

Innes zakładał, że Anglik i "ta cholerna O'Neill" rzeczywiście opuścili autostradę na pierwszym zjeździe, więc zrobił to samo. Wiedział, o której ruszyli spod stacji benzynowej i domyślał się, z jaką średnią prędkością podróżują. Na tej podstawie wyliczył w przybliżeniu, gdzie mogli się znajdować w porze śniadania. Za trzecim razem trafił na właściwą restaurację.

Kelnerka okazała się niezwykle pomocna. Nie tylko pamiętała, w którym kierunku udali się Anglicy, ale nawet wiedziała dokładnie dokąd. Natomiast pani Lehman trochę rozczarowała Innesa. Historia o podróży angielskiej pary na południe nie wydała mu się prawdopodobna: nie pojechaliby z powrotem przez Kansas kradzionym samochodem. A zatem? Pobieżne obliczenia, ile kilometrów pokonali od ostatniego tankowania na autostradzie, wskazywały, że wyjeżdżali od pani Lehman

na resztkach paliwa. To podsunęło Innesowi myśl o miejscowej stacji benzynowej.

W drugiej z kolei miał szczęście. Zapamiętano tu Anglika, który kupił mapę samochodową i odjechał na północ. A więc planował dalszą jazdę bocznymi drogami.

Innes zwolnił. Na szosie przed nim coś się działo. Przejazd blokował pojazd pomocy drogowej i wóz patrolowy. Policjant zatrzymał Innesa gestem i podszedł do samochodu. Innes opuścił szybę, czekał na wyjaśnienia.

–To nie potrwa długo – usłyszał. – Wyciągamy z pola samochód. Cholerni gówniarze! Ukradną, przejadą się i zostawia.

Innes tylko się uśmiechnął i skinął głową. Miał zasadę, żeby jak najmniej się odzywać. Po co zdradzać swój akcent i zwracać na siebie uwagę? Zawsze dbał o to, żeby nie rzucić się w oczy. Dzięki temu przez lata z powodzeniem pozostawał anonimowy: nikt go nigdy nie pamiętał.

Przyglądał się obojętnie, jak dźwig wyciąga auto z kukurydzy. Nagle uśmiech zniknął z jego twarzy, mocniej zacisnął ręce na kierownicy. Tego samochodu nie porzuciły dzieciaki! Znal ten numer rejestracyjny! Może pasażerowie są jeszcze w pobliżu?

Policjant pokazał, że droga wolna.

Minnie ułożyła Harry'ego spac i podała mężczyznom kolację. W innych okolicznościach Avedissian jadłby z przyjemnością – potrawy były smaczne, a towarzystwo sympatyczne. Teraz jednak nie miał apetytu, ciążyło mu zbyt wiele żmartwień.

–Zdecydował pan? – zapytał Feldmana.

Stary lekarz przez chwilę bawił się widelcem.

–Nie wezwij policji – odrzekł w końcu. – Kimkolwiek jesteście, wszyscy bardzo się o siebie troszczycie. Nie wierzę, że byście mogli zrobić coś złego. Kiedy pańska żona wydobrzeje, odwiezie was do Ames. Dalej sami sobie poradzicie.

–Dziękuję panu z głębi serca – powiedział Avedissian.

Natychmiast wrócił mu apetyt. Najadł się do syta. Nie zaniepokoił go nawet dzwiek telefonu.

Do pokoju weszła Minnie.

–To Marty, panie doktorze. – Feldman poszedł do aparatu. Gospodyni sprzątnęła

**talerz Avedissiana.**

**–Smakowało?– spytała.**

**–Od dawna nie miałem w ustach nic równie dobrego. Minnie zarumieniła się z zadowolenia.**

**–Szkoda, że pańska żona nie mogła spróbować.**

**Wroczył Feldman. Zaczekał, aż gospodyni zabierze nakrycia do kuchni i powiedział pośpiesznie:**

**–Dzwonił Marty. To ten, który was tu przywiozł. Policja znalazła samochód. Wyciągnęli go z pola kilka mil stąd. Myśleli, że ukradli go dzieciaki i porzucili po przejeździe. Jak sprawdzili numery, wyszło na jaw, że to wóz skradziony w Kansas City przez angielską parę poszukiwaną za morderstwo. Podejrzewają, że uciekinierzy są jeszcze w okolicy. Marty zapamiętał, że mówiliście z angielskim akcentem, dlatego do mnie zatelefonował. To wasz samochód, prawda?**

**Avedissian przytaknął.**

**–Rzeczywiście kogoś zabiliscie? – zapytał z niedowierzaniem Feldman.**

**–Tylko dlatego, żeby ten ktoś nie zabił nas – odparł Avedissian.**

**–Jeśli to była samoobrona, powinniście oddać się w ręce policji i wszystko wytłumaczyć.**

**Avedissian pokręcił głową.**

**–To nie takie proste, może mi pan wierzyć. Mnóstwo ludzi chce naszej śmierci. W obecnej sytuacji policja to nasz najmniejszy kłopot.**

**Stary lekarz wzruszył ramionami.**

**–Ten wasz "najmniejszy kłopot" pewnie wkrótce tu będzie. – Więc musimy stąd zniknąć.**

**–Niech pan zostawi żonę i chłopca i ucieka.**

**–Nie mogę. Oni też są w niebezpieczeństwie – wyjaśnił Avedissian.**

**–Jak chcecie się stąd wydostać? Avedissian zrobił zakłopotaną minę.**

**–Obawiam się, że będę zmuszony poprosić pana o samochód. Feldman z rezygnacją machnął ręką.**

**–Kluczyki sa na stoliku przy drzwiach. Zbiornik jest pelen, dzis rano tankowalem.**

**–Naprawde bardzo mi przykro – zapewnil Avedissian.**

**–Powiem Minnie, zeby przygotowala chłopca – mruknal lekarz.**

**Avedissian delikatnie obudzil Kathleen. Z ulga stwierdzil, ze nie jest zbyt senna po lekarstwach.**

**–Musimy jechac – szepnal. – Mozesz wstac?**

**Feldman i Minnie stali w progu i przygladali sie ewakuacji zalosnej trojki. Odsuneli sie, zeby zrobic przejście.**

**–Mam nadzieje, ze wiecie, co robicie – odezwal sie lekarz.**

**–Zapewniam pana, ze nie mamy innego wyjscia – odrzekl Avedissian. – Dziekuje za wszystko.**

**Kiedy szli sciezka, Feldman zawolal za nimi:**

**–Jesli to w czymś pomoze, ja i Minnie idziemy teraz do lozek. Rano stwierdzimy, ze ktos nam ukradl samochod!**

**Avedissian pomogl Kathleen usiasc z tylu i umiescil obok malca. Harry przytulil sie do niej. Avedissian odjechal, nie ogladajac sie za siebie.**

**Kathleen byla zupełnie przytomna, choc zmeczona. Ukaszenie weza i dawka surowicy oslabily ja Perspektywa nastepnej nocy w podrozy nie podniosla jej na duchu. Obejmowala Harry'ego, ale oparla glowe o szybe i tepo patrzyla w ciemnosc. Dojechali do granic miasteczka.**

**Avedissian zwolnil przed skrzyzowaniem. Kathleen obojetnie zerknela na nazwe baru na rogu: "The Nitelite". Z lokalu wyszedl mezczyzna. Mial na sobie plaszcz przeciwdeszczowy i wygladal dziwnie znajomo. To smieszne, pomyslala, znajomy tutaj? Mezczyzna odwrocil glowe i spojrzal prosto na nia. Wtedy przerazliwie wrzasnela.**

**Avedissian tak sie przestraszyl, ze na moment stracil panowanie nad kierownica.**

**–Co to bylo?! – zapytal zdenerwowany, kiedy zapanowal nad pojazdem.**

**–Innes! Tam jest Innes! – krzyknela histerycznie Kathleen.**

**–Gdzie? O czym ty mowisz?**

**–Wyszedł z baru! To on! Poznałam go! Avedissian zaniepokoił się.**

**–Widział cie?**

**–Patrzył na mnie!**

**Avedissian przycisnął gaz do podłogi i włączył światła drogowe.**

**–Cholerny pech! – mruknął pod nosem, wyprowadzając auto z poślizgu na zakrecie. Szosa była wąska i kreta, a samochód szeroki i miękki. Na lukach zachowywał się jak kulawa krowa w piaskownicy. Avedissian znow zaklął, gdy tylne koła uciekły na zewnątrz. Kathleen i malec polecili z jednego krawca siedzenia na drugi.**

**–Widzisz coś za nami?– sapnął.**

**Kathleen musiała wyciągnąć szyję i odwrócić głowę, co nie przyszło jej łatwo. Przeciwdziałanie się gwałtownym przechyleniu samochodu i przytrzymanie Harry'ego kosztowało ją sporo wysiłku. Strach nie dodawał jej energii: czuła się wyczerpana i oszłamiona. W końcu wyjrzała w ciemność za tylną szybą.**

**–Nie, nic nie widzę.**

**W tej samej chwili dostrzegła kątem oka blask reflektorów. Powiedziała o tym Avedissianowi, który natychmiast przyspieszył. Jechał teraz na granicy bezpieczeństwa.**

**Nagle wyrosła przed nim ściana. W ostatniej sekundzie mężczyzna wdepnął hamulec i przekreślił kierownicę do oporu, żeby zmieścić się w zakrecie. Samochód nie posłuchał – sunął prosto, dopóki nie uderzył w mur. Odbił się i Avedissian spróbował pojechać dalej. Jednak zetknięcie z przeszkodą wgięło błotnik i blacha ocierała się o kolo. Rozszedł się swąd spalonej gumy. Avedissian zdjął nogę z gazu. Opona pękła z hukiem i spadła z obrotów.**

**Avedissian już chciał się zatrzymać, gdy nagle dostrzegł na lewo polną drogę. Skreślił i zgasił światła. Po około trzydziestu metrach trakt skończył się przed wielką stodolą. Wokół nie było widać żadnych innych zabudowań. Siedzieli w ciszy i nasłuchiwali. Od strony szosy dobiegł ryk silnika pedzacego samochodu Innesa. Po chwili zamarli w oddali.**

**–Co teraz zrobimy? – zapytała Kathleen roztrzesionym głosem. Ledwo nad sobą panowała.**

**–Rozejrzemy się tutaj – odrzekł Avedissian.**

**Wciąż miał pistolet zabrany Reaganowi: w razie spotkania z Innesem nie był bez**

szans. Obawiał się tylko o Kathleen i malca. Gdyby znalazł dla nich bezpieczne schronienie, mógłby się zmierzyć z Liczydłem.

Do stodoły prowadziły duże wrota i małe boczne drzwi. Avedissian spróbował je otworzyć. Udało się. Zajrzał do środka, ale w ciemności nic nie zobaczył.

–Chodź – powiedział do Kathleen.

Weszli. Zamknął drzwi i po omacku znalazł na ścianie włącznik światła. Stodoła okazała się garażem dla ciężkich maszyn rolniczych. Stały tu obok siebie dwa kombajny. Przypominały spiące dinozaury.

–Weź Harry'ego i wdrap się do kabiny tamtego – polecił Avedissian. Pomógł Kathleen wspiąć się po drabinie i podsadził chłopca. – Schowajcie się. Cokolwiek się będzie działo, nie podnoscie głow.

Wrocil do małych drzwi i zarygłował je od wewnątrz. Teraz Innes musiałby wejść do stodoły przez wrota, a o to mu chodziło. Zapamiętał, gdzie stoi drugi kombajn, zgasił światło i odnalazł drogę do maszyny. Wspinając się, uspokajał Kathleen, że wszystko będzie dobrze. Ale sam nie bardzo w to wierzył, ona zaś zdawała się być u kresu wytrzymałości.

Usiadł za kierownicą kombajnu i wyjął bron. Zamierzał strzelić, kiedy tylko Innes otworzy wrota. Kabina okazała się dobrym punktem obserwacyjnym i zarazem strzelniczym.

Wysoko nad nimi zza chmur wyszedł księżyc. Przez okno w dachu stodoły przeniknęła biała poświata i załala kabiny upiornym blaskiem. Avedissian przyjrzał się przyrządom. Przesunął do przodu dzwignię zmiany biegów, żeby mieć więcej miejsca na kolana.

–Wszystko w porządku? – zapytał Kathleen.

–Tak – odpowiedziała słabym głosem.

–A co z Harrym? – Przytulamy się do siebie.

–Trzymaj go mocno.

Avedissian przesunął dłoń po dużym przycisku rozrusznika wystającym z tablicy rozdzielczej. Był przyjemnie gładki i zaokrąglony. Nagle z oddali dobiegł odgłos nadjeżdżającego samochodu. Avedissian sprawdził pistolet i znowu odezwał się do Kathleen.

–To nie potrwa długo. Pamiętaj, nie wychylajcie się.



**Samochod zwolnil: Innes musial zauwazyc polna droge. Avedissian uslyszal, ze cofa, a potem kola zachrzescily na zwirze. Czlowiek, zwany Liczydlem, przyjechal.**

**–Slabo mi... Chyba zemdleje... – rozlegl sie w ciemnosci cichy glos Kathleen.**

**–Nie! – syknal Avedissian. – Na litosc boska wytrzymaj!**

**Innes szarpnal boczne drzwi. Zaklekotaly glosno, ale nie puscily. Podszedl od frontu. Avedissianowi krew zaczela szybciej krazyc. Wpatrywyl sie jak jastrzab w uchylajaca sie na zewnatrz polowe wielkich wrot. Jego oczy przyzwyczaily sie juz do ciemnosci, a na dworze bylo jasniej. Przygotowal sie do strzalu.**

**Innes otworzyl jedno skrzydlo na cala szerokosc, ale nie pokazal sie. Avedissian skoncentrowal sie i wstrzymal oddech. Nagle obok uslyszal westchnienie i gluchy loskot. Zrozumial, ze Kathleen zemdlala.**

**Innes tez to uslyszal.**

**–Skonczmy te zabawe – zaproponowal z za oslony. – Po prostu oddajcie mi tasmy i rozjedziemy sie. – Mowil niemal lagodnie, ale w slowach wymawianych z irlandzkim akcentem czaila sie grozba.**

**Avedissian chetnie poszedlby na ten ukklad, nawet gdyby jeszcze nie wykorzystal kaset. Wiedzial jednak, ze umowa z takim czlowiekiem moze okazac sie tragiczna w skutkach. Nie odpowiedzial. Nadal celowal w otwarte wrota.**

**Wtem na lewo od niego cos sie poruszylo. Przez moment ludzil sie, ze Kathleen odzyskala przytomnosc. Zerknal w bok i ku swemu przerazeniu zobaczyl, ze to Harry wychodzi z kabiny! Zapewne przestraszyl sie ciemnosci i wobec braku reakcji Kathleen chcial kogos poszukac.**

**Avedissian odruchowo krzyknal, zeby go ostrzec – zapomnial, ze malec nie slyszy. Chlopiec puscil sie drabinki i spadl na ziemie. Avedissian patrzyl ze zgroza, jak pelznie do wyjścia!**

**Innes pochwycil go, gdy tylko pojawil sie w proggu. Avedissian bezradnie zlapal sie za glowe.**

**–Domyslalam sie, ze chcecie odzyskac dzieciaka zywego? – zapytal z ukrycia Innes.**

**–Tak – odrzekl Avedissian.**

**–Rzuc bron.**

**Avedissian wyrzucil z kabiny pistolet. Innes wylonil sie z za krawedzi wrot, trzymajac**

malca przed sobą. Zapalił światło w stodole i pokazał lufę, żeby Avedissian wstał. Potem ostrożnie okrążył kombajn i zajrzał do kabiny drugiego. Kiedy zobaczył nieruchomą Kathleen, skupił całą uwagę na Avedissianie.

Avedissian widział panikę w oczach Harry'ego, który bezskutecznie usiłował oswobodzić się z uścisku obcego mężczyzny.

–Tasmy!– warknął Innes.

–Jeżeli ci je dam, puścisz nas?

–Dawaj tasmy – powtórzył Innes takim tonem, jakby cała sprawa zaczynała go nudzić.

Nagle Harry zatopił zęby w jego rece. Innes wrzasnął z bólu i zamachnął się wściekle pistoletem. Bron z całą siłą opadła na głowę chłopca.

Avedissian omal się nie udławił, gdy żołądek podjechał mu gwałtownie do gardła. Wiedział, że dziecko nie żyje. Krucha czaszka nie mogła wytrzymać takiego ciosu. Nudności minęły. Rozpacz zastąpiła furia.

–Ty sukinsynu! – krzyknął do Innesa. – Ty zasrany sukinsynu! Żebyś zdechl w piekło!

Innes dyszał ciężko. Na jego twarzy nie pozostał nawet ślad znudzenia. Wycelował pistolet w Avedissiana.

–Zamknij mordę i dawaj tasmy!

Avedissian wyjął z kieszeni dwie kasety i spróbował ostatniej sztuczki w grze o życie. Jego ręka na chwilę zawisła w powietrzu.

–Rzuc je!– rozkazał Innes.

Avedissian cisnął kasety tak, że wylądowały między ostrzami wirnika kombajnu. Innes schylił się po nie i wyciągnął rękę. Wtedy Avedissian wbił kolaniem przycisk rozrusznika. Ogromna maszyna miała włączone biegi, więc skoczyła do przodu.

Wielkie ostrza obróciły się i wciągnęły ramię Innesa. Potezny silnik nawet się nie zająknął, mieląc ludzkie ciało. W ciągu kilku sekund Innes zamienił się w krwawą miazgę. Jego szczątki rozprysły się po stodole. Avedissian wyłączył maszynę i powoli wygramolił się z kabiny.

Kathleen odzyskała przytomność, ale była zdezorientowana. Avedissian pomógł jej zejść po drabinie. Stanela niepewnie na ziemi.

**–Harry! Gdzie jest Harry? – rozejrzała się niespokojnie. Zobaczyła małe zwłoki leżące w progu, wyrwała się Avedissianowi i chwiejnie podbiegła do martwego dziecka. Przytulila je i wybuchnela płaczem.**

**–Dlaczego? – Ikała.– Dlaczego?**

**Avedissian zgasił światło i delikatnie dotknął jej ramienia.**

**–Musimy iść – powiedział cicho.**

**–Nie zostawie Harry'ego – szepnęła.**

**–Zabierzemy go – zapewnił łagodnie Avedissian. Wztał chłopca na ręce, zaniósł do samochodu Innesa i ułożył na tylnym siedzeniu. – Ten środek transportu przynajmniej nie jest kradziony – wyjaśnił.**

**Tuż przed odjazdem Avedissianowi przyszło coś do głowy. Wyszedł zza kierownicy, wrócił do stodoły i znalazł kanister z naftą. Otworzył drzwi samochodu Feldmana, chlusnął kilka razy do wnętrza. Reszta płynu rozlał aż do progu stodoły, po czym wrzucił kanister do środka. Gdy przestawiał samochód Innesa, przypomniał sobie, że nie ma zapalek. Wcisnął samochodową zapalniczkę i czekał niecierpliwie, aż się rozżarzy.**

**Kiedy rozgrzała się do czerwoności, cisnął ją do auta Feldmana. Z wnętrza buchnęły żółte płomienie. Ogień podpełzł do stodoły i w ciągu kilku sekund budynek zaczął płonąć. Avedissian wsiadł za kierownicę i odjechali.**

**–Po co to wszystko? – spytała Kathleen.**

**–Minie trochę czasu, zanim policja połapie się w tym bałaganie. Zidentyfikują samochód i pomyśla, że zgineliśmy w pożarze. Zwęglone zwłoki Innesa utwierdza ich w tym, bo nawet nie wiedza o jego istnieniu. Kiedy wreszcie stwierdza że tu nas nie ma, będziemy nad Atlantykiem.**

**Jechali w milczeniu całą noc. Avedissian koncentrował się na prowadzeniu, Kathleen rozmyślała o Harrym i niespełnionych marzeniach. O brzasku Avedissian zapytał:**

**–Jak się czujesz?**

**Kathleen, jakby ocknęła się z letargu, i chwyciła go lekko za ramię.**

**–Dobrze, ale ty musisz być wykonczony.**

**–Chcę dotrzeć jak najdalej – odrzekł. – Bedziemy jechać cały dzień, potem**

**przenocujemy, a jutro dostaniemy się na lotnisko w Chicago.**

**–A Harry?**

**–Znajdziemy jakieś miejsce... przyjemne miejsce.**

**Mineli zagajnik w zakolu rzeki. Avedissian zjechał z szosy, zatrzymał samochód i obejrzał się.**

**–Tam?**

**Kathleen popatrzyła na leniwie płynącą wodę, mieniącą się w porannym słońcu.**

**–Tak.**

**Avedissian poszukał w bagażniku narzędzia, które mogłyby zastąpić łopate. Owinał zwłoki Harry'ego w koc zabrany z tylnego siedzenia i zaniósł między drzewa. Potem wykopał płytką mogiłę.**

**Pochował chłopca i wstał. Kathleen wzięła garść ziemi i wolno wypuściła ją pomiędzy palców. Po jej twarzy spływały łzy.**

**–Musimy iść – przypomniał Avedissian najdelikatniej, jak umiał.**

**Skinęła głową i odwróciła się. Avedissian otoczył ją ramieniem, poszli powoli do samochodu.**

**Pojechali przez łowe do Illinois i dalej w kierunku Chicago. Zatrzymali się na nocleg w miasteczku Fenning. Podobało im się. Po długiej jeździe z przyjemnością wybrali się na wieczorny spacer.**

**–Myślisz, że zdążymy uratować Martina? – zapytała Kathleen.**

**–Oczywiście – przytaknął Avedissian. – Innes miał zdobyć taśmy i Kell ciągle czeka na wiadomość od niego. Nic nie robi, dopóki nie będzie pewien, że ma pieniądze.**

**Ludzie siedzieli i gawędzili na werandach albo przechadzali się pod reke główną ulicą. Słychać było śmiechy. Na rogach stały grupki nastolatków.**

**–Inny świat – zauważyła Kathleen.**

**–Nie nasz – przyznał Avedissian.**

**–A nie możemy udawać, że nasz? Uśmiechnął się.**

**–Czemu nie? Tylko przez jeden wieczór.**

**Szli przed siebie, trzymając się za ręce, jakby robili to co dzień po kolacji.**

**–Jak długo jesteśmy małżeństwem? – spytała Kathleen. Avedissian zastanowił się.**

**–Dwanaście lat. W najbliższą sobotę jest nasza rocznica.**

**–Dzieci?**

**–Dwoje.**

**–Praca?**

**–Sprzedaje maszyny rolnicze.**

**–A ja?**

**–Byłaś pielęgniarką w tym szpitalu, dopóki nie urodziła się nasza córka Jane.**

**–A kto z nią dziś został?**

**–Twoja matka. Odwiedza nas w każdy czwartek i piątek.**

**–Dobry jesteś w tej grze – pochwaliła Kathleen.**

**–Będziemy musieli skrócić dzisiejszy spacer – powiedział Avedissian.**

**–Dlaczego?**

**Avedissian przystanął i lekko pocałował Kathleen w usta.**

**–Bo chce się z tobą kochać.**

**Jumbo jet linii TWA ustawił się w długiej kolejce do startu. Nawet o osmej wieczorem na lotnisku O'Hare panował tłok. Dominowały boeingi w barwach niemal wszystkich towarzystw lotniczych świata. Samoloty kolejno zbliżały się do pasa startowego i wzbijały w powietrze w kilkusekundowych odstępach. Wreszcie Avedissian poczuł, jak przyspieszenie wciska go w oparcie fotela. Scisnął dłoń Kathleen.**

**–Udało się – szepnął.**

**Skinęła głową i zamknęła oczy. W milczeniu pożegnała się z Harrym.**

Avedissian odwrócił głowę. Kathleen spała. Światła w kabinie były przygaszone, cichy szum silników podziałal usypiająco na wielu pasażerów. Avedissian usłyszał dźwięk hydraulicznego silownika i wyrztał przez okno. Ruchomy płat skrzydła lekko zmienił położenie, gdy kapitan skorygował kurs. Z lewej strony świecił księżyc w pełni. Blask odbijał się w nitach, a na obudowie silnika padały geometryczne cienie. Avedissian zamknął oczy i spróbował sobie wyobrazić, jak wygląda teraz powierzchnia Atlantydy siedem mil poniżej. Zasnął.

Avedissian i Kathleen nie mieli na razie żadnego planu działania. Wylądowali na Heathrow i pojechali taksówką do mieszkania Avedissiana. W Londynie było pochmurno, ale po upale amerykańskiego środkowego zachodu przyjęli to z zadowoleniem. Avedissian zauważył po drodze, że sam brak deszczu wystarczył, by wiele kobiet wyszło na miasto w letnich strojach. Podziwiał ich wiarę w to, że lato jeszcze trwa.

–Jak skontaktujemy się z Kellem po przyjeździe do Belfastu? – zapytał Kathleen, gdy byli na miejscu.

–Znam kilka pubów, gdzie spotykają się nasi ludzie. Zostawie mu wiadomość.

Avedissian zwrócił uwagę na słowa "nasi ludzie" i poczuł się dziwnie obco. Nic nie powiedział, ale wolałby, żeby Kathleen ich nie użyła. Zaczeli się zastanawiać, gdzie zamieszkać do czasu załatwienia sprawy z Kellem. Kathleen zaproponowała pobyt u kogoś z jej krewnych. Avedissian sprzeciwił się. Po namyśle przyznała mu rację: bezpieczniej nikomu nie ufać i wynająć pokój.

–Znasz Kella – powiedział Avedissian. – Dotrzyma słowa, jeśli zawrzemy z nim umowę?

Kathleen zasepiła się.

–Modlę się o to, ale rozsadek mówi mi, że bym się nie ludziła. Nikt, kto staje mi na drodze, nie wychodzi z tego cało. Obawiam się, że nawet po zdobyciu pieniędzy nie spocznie, dopóki nie zabije Martina i mnie. To dla Kella po prostu kwestia zasad.

Avedissian pokiwał głową.

–Tak myślałem po tym, co o nim słyszałem. Trzeba to rozegrać inaczej. – To znaczy jak?

–Musimy zadbać o własną przyszłość. – Nie rozumiem – Kell wciąż uważa, że kluczem do pieniędzy są taśmy. Wymienimy kasety za twojego brata, a potem za to, co jest na koncie, urządzimy sobie życie na nowo.

Kathleen szeroko otworzyła oczy.

**–Chcesz oszukać samego Finbarra Kella?! – wykrzyknęła z niedowierzaniem.**

**–Przecież przed chwilą powiedziałas, że on będzie chciał oszukać ciebie.**

**–Ale to Kell! Chyba nie wiesz, co mówisz?!**

**–Jest tylko człowiekiem.**

**–Nie znasz go!**

**–Ale wiem jedno: za dwadzieścia pięć milionów dolarów można wyjechać bardzo daleko i żyć spokojnie bardzo długo. Mamy inne wyjście? Uciekać w nieskończoność? Ukrywać się? Oglądać się za siebie na każdym kroku? To nie jest życie. Czas przestać być ofiarą okoliczności, Kathleen. Czas zacząć walczyć o to, czego chcesz.**

**–To szalenstwo – mruknęła Kathleen. – Czyste szalenstwo.**

**Zamysliła się. Wprawdzie bała się Kella, ale plan Avedissiana nie był zupełnie pozbawiony sensu. Skoro Kell będzie chciał ich zabić nawet po otrzymaniu pieniędzy, po co mu je dobrowolnie oddawać?**

**–Dobrze – zgodziła się.**

**–Muszę się pozbyć pistoletu – powiedział Avedissian. – Nie wejdę z nim do samolotu. Ale bez broni będę się czuł jak nagi. Masz jakiś pomysł?**

**Kathleen popatrzyła na niego. Zastanawiała się, czy naprawdę zdaje sobie sprawę, w co się pakuje. Niewielu ludzi przy zdrowych zmysłach odwazyłoby się zadrzeć z Kellem, a on ją pyta, skąd wziąć broń. W tej chwili kochała go bardziej niż kiedykolwiek.**

**–Kupno nie wchodzi w grę – odrzekła. – Za duże ryzyko. Poza tym nie mamy czasu. Ale coś powinno jeszcze być w domku w Cladeen. – Opowiedziała Avedissianowi o wiejskiej kryjówce IRA, gdzie ostatnio mieszkała razem z bratem. – Martin trzymał zapasowy pistolet w sypialni na gorze. Na wszelki wypadek. Jeśli ludzie Kella nie przeszukali domku i po nas nikt z niego nie korzystał, broń musi tam być.**

**Avedissian zapytał, jak się tam dostać.**

**–Samochoodem. Nie ma innego sposobu.**

**–I tak będzie nam potrzebny. Wypożyczymy – Najlepiej byłoby pojechać tam w nocy – powiedziała Kathleen. Avedissian zerknął na zegarek.**

**–Dzis wieczorem możemy być w Belfascie.**

**–Powinienes porzadnie wypoczac – zaprotestowala.**

**–Nie ma czasu. Wypoczniemy po wszystkim. Jak noga?**

**–W porzadku. Czy mowilam ci ostatnio, ze cie Kocham?**

**–Nie – usmiechnal sie Avedissian. – To mowie teraz.**

**Poglaskal ja czule po wlosach.**

**–Musze teraz wyjsc po bilety i do banku. Przespij sie. Niedlugo wroce.**

**W drodze powrotnej kupil gazete. Poczul sie dziwnie uspokoiony tym, ze na swiecie zycie dalej toczy sie normalnie. Im bardziej trywialne historie czytal, tym bardziej mu sie podobaly. Odrywaly go od wlasnych problemow. Znalazl jednak artykul o Irlandii i wrocil do swojej rzeczywistosci. Gazeta donosila, ze wczesniejsze obawy nie sprawdzily sie zupełnie: IRA zaprzestala aktow terroru po zamachu na centrum handlowe Shamrock. W Belfascie od kilku tygodni panowalo nieoficjalne zawieszenie broni. Ostatnie podlozenie bomby uznano za odosobniony przypadek. Uważano, ze to jedynie demonstracja sily nowego dowodztwa, a nie zapowiedz kolejnej fali przemocy.**

**Avedissianowi nie podobal sie ten optymizm. Pamietal slowa Kathleen o planowanej przez Kella operacji, ktora mialaby przycmic nawet wyrafinowana intryge Bryanta. Ciarki przeszly mu po plecach, gdy przypominal sobie jej ostrzezenie: nikt, kto staje Kellowi na drodze, nie wychodzi z tego calo.**

**Odwrocil strone i przeczytal o gwiazdzie telewizyjnej uzaleznionej od heroiny, czarnym kocie zdjetym z dachu kosciola przez strazakow i walce odwaznego emeryta z banda nastolatkow. Zamierzal darowac sobie lekture dzialu dzieciacego. Nagle jego uwage przykulo zdjecie i wzmianka, ze dziecko z rodziny krolewskiej spedzi urodziny wsrod uposledzonej mlodziezy z calego kraju. Przyjrzel sie fotografii i poczul mocne uklucie w sercu. Pomyslal o Harrym. Chlopiec na zdjeciu nigdy sie nie dowie, co spotkalo nieznanne mu "drugie ja" i dlaczego. Ale Bryant sie dowie; Avedissian przysialgł to sobie.**

**W Belfascie padalo. Avedissian spodziewal sie tego, choc sam nie wiedzial dlaczego. Wlasnie taka pogode wyobrazal sobie dwa dni wczesniej w Fenning. Na lotnisku wypozyczyli samochod i pojechali do dzielnicy pensjonatow. Wynajeli pokoj na jedna noc. Nazajutrz zamierzali przeniesc sie gdzie indziej i podac ten sam powod krotkiego pobytu. Udawali, ze sa przejazdem w podrozy na poludnie.**

**O osmej wieczorem wyruszyli do Cladeen. Kathleen pilotowala Avedissiana. Z powodu ulewy nie mial latwego zadania: wycieraczki nie nadazaly zbierac wody z szyby. Swiatla hamowania innych samochodow jeszcze bardziej pogarszaly**



widoczność. Avedissian zobaczył przed sobą patrol wojskowy i zwolnił. Żołnierz z pistoletem maszynowym na ramieniu zatrzymywał ruch jedną ręką, druga opierał na broni.

Avedissian zdenerwował się nieco, wołał bowiem, żeby nie sprawdzano jego tożsamości. Odetchnął z ulgą gdy okazało się, że po prostu z bocznej uliczki wycofuje się wielki wojskowy pojazd. Po chwili przejazd został odblokowany.

Wbrew przewidywaniom, że gwałtowny deszcz szybko się skończy, lalo dalej. Do Cladeen dojechali w strugach wody. Zostawili samochód na drodze i ostatni kawałek przebyli pieszo na wypadek, gdyby ktoś mieszkał w domku. W ciągu kilku sekund przemokli do suchej nitki.

W domku było ciemno i cicho. Tylko deszcz bulgotał w przepelnionych rynnach. Kathleen gestem wskazała Avedissianowi, żeby poszedł za nią i znaleźli się przy tylnym oknie nisko nad ziemią. Spróbowała je otworzyć. Udało się. Wdrapali się do środka i Avedissian zamknął okno. Stali w kuchni, ociekając wodą.

–Tedy – wskazała Kathleen i ruszyła przodem na piętro. W sypialni wyciągnęła szufladę nocnej szafki, gdzie znalazła pistolet. Dala go Avedissianowi. Sprawdził magazynek.

–Jest pełny – powiedział.

Zeszli na dół. Kathleen popatrzyła na salonik. Nic się tu nie zmieniło od tamtej strasznej nocy. Stracony abazur wciąż leżał na podłodze. W wyobraźni znowu zobaczyła związającego się z bólu brata i wściekła mine Kella. Nagle poczuła strach przed zbliżającym się spotkaniem z tym człowiekiem.

–Chodźmy stąd – odezwiała się.

Kiedy byli już na przedmieściach Belfastu, Avedissian zapytał:

–Do którego pubu jedziemy?

–Spróbujemy w "Blind Horse" na Lyndock Street – powiedziała Kathleen.

–Gdzie to jest?

–Stan.

Avedissian zatrzymał samochód i oddał kierownicę kobiecie. Pojechali przez doki. Na miejscu byli po dziesięciu minutach. Lokal nie podobał się Avedissianowi. Nie wyglądałby zachęcająco nawet w słoneczny letni dzień. W deszczowy wieczór sprawiał gorsze wrażenie niż najbliższa portowa knajpa we wschodnim Londynie.

**– Co mam robic?– zapytal.**

**–Trzymaj sie mnie i nie odzywaj sie – pouczyła go Kathleen. – Z twoim akcentem skonczylbys na dnie doku.**

**Wewnatrz pub byl tak samo odpychajacy jak na zewnatrz. Avedissian dziekowal Bogu, ze sa przemoczeni. W wymietych ubraniach i z mokrymi wlosami nie roznili sie zbytnio od miejscowej klienteli.**

**Kathleen zamowila dwa piwa i zaplacila. Avedissian poczul sie niezrecznie, ale wydawalo sie, ze tutaj to nic niezwyklego. Usiedli na twardej lawie i zaczeli sacyc guinnessa.**

**–Widzisz kogos znajomego? – szepnal Avedissian.**

**–Nie.**

**Kilka minut pozniej z toalety wyszedl niski mezczyzna w zle dopasowanym, ciemnym garniturze. Trzymal w ustach papierosa, z ktorego zwisaly przeszlo dwa centymetry popiolu. Mimo to popiol nie spadl na ziemie nawet wtedy, gdy mezczyzna zakaszal. Avedissian zauwazyl, ze Kathleen zeszywniala.**

**–To Connell Murphy – szepnela. – On moze przekazac Kellowi wiadomosc. – Wstala i podeszla do baru, pokazujac Avedissianowi, zeby zostal na swoim miejscu.**

**Nawiazala rozmowe z mezczyzna ale byli za daleko, zeby Avedissian mogl ich uslyszec. Murphy trzykrotnie skinal glowa i powiedzial cos do barmana, a potem do Kathleen. Na ladzie pojawila sie whisky. Kathleen zaplacila. Murphy wypil alkohol jednym haustem, a potem poszedl. Kathleen wrocila i usiadla. Otworzyla usta, ale w tym momencie rozlegl sie glosny dzwonek obwieszczajacy, ze wybila godzina zamknienia lokalu. Towarzyszyly mu pokrzykiwania barmana, ze czas wychodzic.**

**–Poprosilam go, zeby powtorzyl Kellowi, ze bede tu jutro w porze lunchu – powiedziala Kathleen na ulicy.**

**Uzgodnili, ze nazajutrz Kathleen sama omowi szczegoly wymiany. Avedissian nie byl tym zachwycony, ale ustapil. Watpil, by cos jej grozilo, skoro on zatrzyma przy sobie kasety. Mimo iz to rozumowanie wydawalo sie rozsadne, oboje nie mogli w nocy spac. Nadejście dnia powitali z prawdziwa ulga. Odglosy rozwozenia mleka i gazet odwrocily ich uwage od niebezpiecznego spotkania. Ranek spedzili na powtarzaniu tego, co Kathleen powie Kellowi. O wpol do dwunastej wyszla do pubu.**

**Avedissian bezustannie patrzyl na zegar w pokoju. Obliczyl, ze Kathleen powinna wrocic do dwunastej czterdziesci. Miala isc okrezna droga zeby upewnic sie, czy nie jest sledzona. Potem zamierzali sie przeniesc do nastepnego pensjonatu i ulozyc**

**plan ucieczki z Irlandii.**

**O pierwszej piętnastce rozległo się ciche pukanie. Avedissian jednym skokiem znalazł się przy drzwiach. Za progiem stała właścicielka pensjonatu.**

**–Zdaje się, że mieli państwo dziś wyjechać, prawda... pani Farmer?**

**–Tak, bardzo przepraszam, pani Fagan, ale żona musiała pojechać do dentysty. Strasznie ją bolą zęby. Na pewno zaraz wróci i natychmiast zwolnimy pokój.**

**–No... wie pan... właściwie powinnam policzyć państwu za następną dobę...**

**Avedissian zamknął przed nią drzwi i znowu spojrzał na zegar. Gdzie jest Kathleen? Co się stało?**

**Za piętnastką druga ktoś znowu cicho zapukał. Avedissian był już klebkiem nerwów. Zaklął pod nosem i wyciągnął z portfela pieniądze dla gospodyni.**

**–Jest pan tam, pani Farmer? – zapytał kobiecy głos.**

**Avedissian zaklął po raz drugi i gwałtownie otworzył drzwi.**

**–Proszę, pani Fagan...**

**Nie dokończył. Kobieta nagle poleciała na bok, a lufa broni uderzyła go w twarz. Zatoczył się do tyłu i upadł. Poczuli na ciele kopniaki. Jak przez mgłę dotarło do niego, że wyciągają go z domu i pakują do samochodu. Potem stracił przytomność.**

**Ocknął się na betonowej podłodze. Leżał w półmroku, chciał mu się pić. Nie ruszał się przez chwilę i zastanawiał, czy nie ma pękniętych zębów. Odetchnął głębiej: wydawało się, że są całe. Poruszył szczęką z boku na bok. W porządku. Zaciął zęby i spróbował się podnieść. Szyja tak mu zesztywniała, że aż jęknął. Nie wiedział, jak długo leżał w tej samej pozycji.**

**Waska, metalowa klapka w drzwiach uchyliła się i ktoś zajrzał do środka. Zazgrzytał zamkiem, drzwi otworzyły się nagle i do celi wkroczył uzbrojony mężczyzna. Wskazał lufą korytarz.**

**–Wylaz, sukinyś.**

**Przez całą drogę szturczał i popychał Avedissiana. Potem kazał mu zaczekać – otworzył następną celę. Wtracił go do wewnątrz i zatrzasnął drzwi.**

**Avedissian zastał tu Kathleen oraz szczupłego, wymizerowanego mężczyznę bez ręki. Kathleen płakała i krzywiła się z bólu. Avedissian podpełzł do niej.**

**–Co ci zrobili, kochanie?**

**–Kell przypalał ja papierosem, dopoki nie zdradziła waszej kryjowki – odrzekł mezczyzna. – Jestem jej bratem.**

**Mimo slabej zarowki pod sufitem Avedissian dostrzegł slady oparzen na odslonietych piersiach Kathleen.**

**–Powiedzialam im... – powtarzala przez lzy. – Powiedzialam im... Wydalam cie...**

**–Nie mow tak – szepnal Avedissian. Przypomnial sobie, jak dlugo czekal w pensjonacie. Ile przez ten czas musiala wycierpiec! Zamknal oczy i przytulil policzek do jej wlosow – Jak to sie stalo?**

**–Nawet ze mna nie rozmawiali – wykrztusila Kathleen. – Jak tylko weszlam do pubu, ludzie Kella zlapali mnie, wpakowali do samochodu i przywiezli tutaj. Chcieli wiedziec, gdzie jestes i... powiedzialam im.**

**Rozplakala sie jeszcze glosniej. Avedissian probowal ja uspokoic. Nagle uslyszeli pisk wozka. Avedissian spojrzal na O'Neilla.**

**–Kell?**

**O'Neill przytaknal. Avedissian poczul, jak Kathleen sztywnieje z przerazenia.**

**Drzwi sie otworzily i Nelligan z wprawa wprowadzil wozek szefa do srodka. Obrocil go na tylnych kolach – Kell znalazl sie twarza w twarz z trojka wiezniow. Nelligan stanal z tylu z bronia gotowa do strzalu.**

**–No, no, no – odezwal sie Kell w precyzyjnie odmierzonym rytmie. – Coz za mile spotkanie.**

**Avedissian poczul strach. Z potwora w wozku emanowalo samo zlo oraz okrucienstwo. Duze oczy za grubymi szklami, blada twarz i lysa czaszka hipnotyzowaly go.**

**–Chce moich pieniedzy – usmiechnal sie Kell i Avedissianowi przeszly ciarki po plecach.**

**–Mogl pan juz miec tasmy. Po diabla pan to zrobil? – odparl, silac sie na odwage.**

**Kell przeszl go wzrokiem.**

**–Powiedzialem, ze chce pieniadze, nie tasmy.**

**Avedissian milczal. Tracil grunt pod nogami. Kell nie spuszczal go ani na moment z**

oka.

–Kiedy wczorajszej nocy dotarla do mnie wiadomosc o wspanialomyslnej ofercie panny O'Neill – ciagnal – akurat postanowilem skontaktowac sie z naszymi amerykanskimi przyjaciolmi i wyrazic ubolewanie, ze wspolnie dalismy sie nabrac na chytra sztuczke Brytyjczykow. Powiedzieli mi, ze sprawy stoja gorzej, niz mysle. Otoz brytyjskie sukinsyny zdolaly polozyc lape na pieniadzach, ktore na razie wydawaly sie bezpieczne. Amerykanie sa w bledzie, ale my obaj oczywiscie dobrze wiemy, jak bylo naprawde... doktorze?

Avedissian z trudem przelkna sline.

–W porzadku, Kell – powiedzial ochryple. – Mam te pieniadze. Pusc nas, to ci je oddam.

Uśmiech zniknal z twarzy Kella. Zastapil go gniew.

–Wiec moze je dostac? – wyszeptal jadowicie. – Coz za uprzejmosc.

Avedissian staral sie rozpaczliwie zachowac spokoj. Nawet nie przypuszczal, ze ktos moze go tak pozbawic odwagi. Zlosc Kella byla niemal namacalna, zdawala sie wypelniac cala cele.

–Gdzie one sa?– warknal Kell.

–W banku – odrzekl Avedissian.

–Wiec trzeba je stamtad zabrac – powiedzial Kell, otwierajac szeroko oczy.

–Dostaniesz je, jak nas wypuscisz – powtorzyl Avedissian.

Kell wolno pokrecil glowa.

–Nic nie rozumiesz. Ze mna nie mozna sie targowac. Nie stawiaj mi zadnych warunkow, tylko oddaj forse.

–Uwazasz mnie za idiote, Kell? – parsknal Avedissian.

–Nie, za trupa – odparl lodowato Kell. – Wszyscy juz jestescie martwi. Pozostaje tylko kwestia, ile bolu wytrzymacie, zanim pozwole wam umrzec.

–Wiec nie mam nic do stracenia, odmawiajac – zauwazyl Avedissian. Po plecach splywal mu zimny pot.

–Powiesz mi to, jak Nelligan bedzie kroil na kawalki te twoja suke O'Neill i rzucal jej mieso psom – odrzekl Kell.

**–Dobra, Kell, wygrales – szepnal Avedissian.**

**–Jasne, ze wygralem, doktorze. – Na twarz Kella powrocil usmiech. – Predzej czy pozniej, zawsze wygrywam. Ale tym razem nie ma pospiechu. Cieszcie sie moja goscinnoscia dopoki ja i Nelligan nie wrocimy. Musimy uswiadomic Bryantowi ten oczywisty fakt.**

**–Co masz na mysli? – zapytal O'Neill.**

**Kell usmiechnal sie z wyzszoscia.**

**–Daj spokoj, Martin. Nie udawaj, ze sie nie domyslasz. Masz wyzsze wyksztalcenie. – Odwrocil sie do Kathleen. – Ty tez, nauczycielko. Jak myslicie, czego Bryant najmniej sie spodziewa po tej sztuczce, na ktora chcial nas nabrac? Nie wiecie? Tyle wiedzy w glowach i zadnych pomyslow? – Kell przestal sie usmiechac. – Pokaze skurwielowi, kto jest lepszy – wycedzil. – Bedzie przeklinal dzien, w ktorym wszedl w droge Finbarrowi Kellowi. – Spojrzal na Nelligana. – Mamy robote. Znow bedzie jak za starych, dobrych czasow, co?**

**Nelligan przytaknal skwapliwie. Przypominal wiernego psa, ktory cieszy sie z uznania swego pana. Wywiozl szefa z celi i zaryglowal drzwi. Trojka wiezniow sluchala oddalajacego sie pisku kol.**

**–Wiec wszyscy umrzemy – odezwala sie Kathleen.**

**–Jeszcze zyjemy – pocieszyl ja bez przekonania Avedissian. – Nigdy bym w to nie uwierzył, gdybym nie zobaczyl tego na wlasne oczy – dodal.**

**O'Neill wiedzial, o czym mysli.**

**–Z tego, co slyszalem od Kathleen, Bryant musi byc niewiele lepszy.**

**–O co Kellowi chodzilo, gdy mowil o starych, dobrych czasach? – spytal Avedissian.**

**–Nie jestem pewien – wyznal O'Neill. – Ale Kell i Nelligan pracowali razem, zanim Kell stracil nogi.**

**Kathleen z trudem znosila bol i Avedissian cierpial, nie mogac jej pomoc. Probowal podtrzymywac ja na duchu, choc nie bardzo potrafil.**

**Siedzieli pogrzeni w czarnych myslach. Ponury i malomowny typ przyniosl im ciemny chleb oraz dzbanek wody. Mimo nalegan pozostal gluchy na prosby o opatrunki i leki na oparzenia Kathleen.**

**–Macie tutaj to, co mi kazali dac. Nic wiecej nie dostaniecie – warknal.**

**Za ubikacje w celi sluzyla tylko zardzewiala puszka. Z braku wentylacji pod wieczor zaczelo smierdziec. Avedissian obawial sie, ze w tych warunkach rany Kathleen wkrótce ulegna zakazeniu.**

**Straznicy zmienili sie. Nowy przyniosl herbate i bulki. Okazalo sie, ze to kierowca Liam Drummond, ktory wozil O'Neilla po amputacji reki i narzekal na Kella.**

**–Wyglada na to, ze miales racje co do Dzieciaka – zagadnal O'Neill.**

**Mezczyzna zrobil przerazona mine.**

**–Na litosc boska niech pan mowi ciszej, panie O'Neill! Robie, co do mnie nalezy. Nie chce zadnych klopotow.**

**O'Neill widzial, ze Drummond naprawde sie boi. Musial postepowac bardzo ostroznie, jesli kierowca mial sie im na cos przydac. Mogl byc ich jedyna szansa. Drummond wciaz zwracal sie do niego per "pan". O'Neill zastanawial sie, czy ma jeszcze nad nim jakas wladze.**

**–Siostra jest ciezko poparzona – powiedzial. – Kell jej to zrobil. Potrzebujemy lekow i opatrunkow. Mozesz cos zalatwic?**

**–Niech pan bedzie rozsadny – poprosil Drummond. – Przeciez pan zna Kella. Moge to przyplacic zyciem.**

**–Kathleen strasznie cierpi – nie rezygnowal O'Neill. – Umrze, jesli rany ulegna zakazeniu.**

**–Przykra prawda jest taka, panie O'Neill, ze wszyscy umrzecie, jak Dzieciak wroci – odrzekl Drummond.**

**–Skad wroci?– zapytal O'Neill.**

**–Z akcji w Anglii.**

**O'Neill nie uwierzyl. Uznal to za kiepski zart. Spozrzegl jednak, ze Drummond mowi calkiem serio. – Z jakiej akcji?**

**–Nie wiem, panie O'Neill, przysiegam na Boga. Ale to cos duzego. Jakas grubsza sprawa.**

**–I Kell przeprowadza te akcje osobiscie?**

**–Tak slyszalem. On i Nelligan maja to zrobic we dwoch jak kiedys.**

**–Powiedziales: jak Dzieciak wroci. To znaczy, ze juz wyjechal?**

**–Godzine temu.**

**–Wiec mozesz nam przyniesc zestaw pierwszej pomocy. Kell sie nie dowie, skoro go nie ma.**

**Drummond zawahal sie.**

**O'Neill naciskal dalej.**

**–Po prostu wez kilka apteczek z izby chorych.**

**–Zobacze, co sie da zrobic.**

**–I zmien ten "kibel", na litosc boska! – dodal O'Neill, wskazujac zardzewiala puszcze.**

**Avedissian podziwial jego umiejetnosc opanowania sytuacji. O'Neill potrafil rozmawiac z ludzmi, kierowac nimi. Musial zatem ich rozumiec, co wymagaloby pewnej wzraliwosci. Avedissian odetchnal z ulga bo wczesniej obawial sie spotkania z ukochanym bratem Kathleen. Poniewaz znal przeszlosc O'Neilla, nie wyobrazal sobie, by mogl poczuc do niego chocby cien sympatii. Teraz nie byl tego taki pewien. Co dziwniejsze, O'Neill wydawal mu sie znajomy, choc nie mial pojecia dlaczego.**

**Kathleen juz nawet nie probowala udawac, ze moze zniesc bol. Siedziala skulona w kacie i kiwala sie w przod i w tyl, jakby te ruchy mialy jej pomoc. Avedissian i O'Neill przestali ja pocieszac, bo ich wysilki przynosily wiecej szkody niz pozytku: tylko ja irytowaly. O'Neill przysunal sie do Avedissiana siedzacego przy drzwiach.**

**–Gdyby Bog zechcial spelnic moje ostatnie zyczenie przed smiercia poprosilbym o szanse zabicia tego skurwiela – szepnal.**

**–To jest nas dwoch – mruknal Avedissian.**

**–Kazalem Drummondowi przyniesc apteczki z izby chorych – ciagnal cicho O'Neill.  
– Ale to nie sa zwykle zestawy pierwszej pomocy. Jest w nich wszystko, czego potrzebuje lekarz na polu bitwy. Wez z nich to, co moglibysmy wykorzystac, gdyby zostalo nam tylko jedno wyjście.**

**Avedissian zrozumial, do czego zmierza O'Neill. Kiwnal glowa ale nie mial ochoty zastanawiac sie, jak popelnic zbiorowe samobojstwo. Drummond wrocil z apteczkami. Pocil sie ze strachu.**

**–Boze, gdyby Kell sie dowiedzial... – wymamrotal.**



**–Nie dowie sie – uspokoil go O'Neill. – Wyluzuj sie, czlowieku!**

**Avedissian zajal sie zawartoscia zestawow medycznych. O'Neill zaczel dalej zmiekczac Drummonda. Badal go, udajac zyczliwa troske.**

**–Kogo sie boisz, skoro Kell wyjechal? Kto zostal w Dlugim Domu?**

**–Tylko bracia Feeley i ja.**

**–Tylko was czterech? To nie masz sie czego bac, Kell sie nie dowie. A gdzie reszta?**

**–W Anglii. Wszystkie inne operacje zostaly wstrzymane.**

**Avedissian zrobil Kathleen zastrzyk przeciwbolowy, przemytl oparzenia i zalozyl opatrunki antyseptyczne. Zastrzyk podzialal niemal natychmiast – lekko zwiekszona dawka wprawila Kathleen w stan euforii. Spojrzala na Drummonda i zapytala glosem przypominajacym pijacki chichot:**

**–Podoba ci sie ten widok?**

**Drummond wpadl w zaklopotanie.**

**–Oczywiscie, ze nie... panno O'Neill – wyjakal. – Bardzo mi przykro, ze... Sama pani wie...**

**–Doceniam twoja pomoc, Liam – zapewnil O'Neill.**

**Drummond poczul sie jeszcze bardziej zaklopotany. Spuscil glowe.**

**–Pan zawsze byl dzentelmenem, panie O'Neill. Chlopcy bardzo pana szanowali.**

**O'Neill z calej sily zdzielil go w kark. Drummond zwalil sie na podloge. O'Neill dla pewnosci przylozil mu jeszcze raz. – Co dalej?– zapytal Avedissian. O'Neill jedna reka obszukal lezacego.**

**–Oto zwyciestwo dobra nad zlem – powiedzial. – Tak mi ufal, ze tym razem nie wzial ze soba pistoletu, wiec teraz nie mamy broni, a przed nami jeszcze trzech facetow.**

**–Gdzie moga byc?**

**–W dyzurce na koncu korytarza. Musimy tamtedy przejsc, zeby sie dostac do schodow.**

**–Nie uda nam sie jakos wymknac?**

**–Nie ma szans. W drzwiach na gorze jest elektroniczny zamek otwierany z dyzurki.**

**–A co z bronia?**

**–Zbrojownia jest zamknięta, a klucz wisi w dyzurce. Avedissian popatrzył na apteczki. Były ich ostatnia szansa.**

**–Czy tamci pija herbatę? – zapytał po namyśle. – Tak sadze. A dlaczego?**

**–Gdzie ja robia?**

**–W dyzurce. Maja tam kuchenke.**

**–Szkoda – westchnal Avedissian. O'Neill nagle zrozumiał.**

**–Ale wode biora z innego pomieszczenia.**

**–Wiec mamy szanse – powiedział Avedissian. – Jesli uda mi sie dosypac to do herbaty – uniosl buteleczke pigulek – bedziemy miec ich z glowy na tydzien.**

**O'Neill zapoznal go z rozkladem pomieszczen w korytarzu i wyjasnil, skad przynosi sie wode do dyzurki. Opisal, gdzie jest zlew i gdzie stoi czajnik, zeby Avedissian nie musial zapalac swiatla.**

**–Nikt tego zreszta nie robi – zakonczyl O'Neill. – Wystarczy to z korytarza.**

**Avedissian rozgniotl odpowiednia ilosc tabletek i wsyplal proszek do pustego pudeleczka po pastylkach.**

**–Mam nadzieje, ze wszyscy trzej pija herbatę z cukrem i mlekiem – powiedział. Potem sprawdzil stan Kathleen. Spala spokojnie.**

**Podszedl do drzwi i przez chwile nasluchiwal. Na zewnatrz bylo cicho. Ostroznie wyszedl z celi.**

**–Powodzenia – szepnal O'Neill.**

**Korytarz wydawal sie nie miec konca. Avedissian skradal sie na palcach, wstrzymujac oddech. Wyobrazal sobie, ze lada chwila ktos wyloni sie z dyzurki i zacznie do niego strzelac. W polowie drogi dostrzegl pomieszczenie, do ktorego zmierzal. Przez ostatnie metry nie odrywal od niego wzroku. Wreszcie wsliznal sie do srodka.**

**O'Neill mial racje, wystarczylo mu swiatlo z korytarza. Denerwowaly go jednak szeroko otwarte drzwi. Przymknal je troche. Zaskrzypialy jak walace sie drzewo. Avedissian zamarl z przerazenia, ale przytlumione glosy dochodzace z dyzurki nie**

umilkly. Odetchnal z ulga.

Czajnik stal na polce nad zlewem. Avedissian zdjal go bezszelestnie, wsypal proszek i rozmieszal w resztkach wody na dnie. Powoli odstawil naczynie na miejsce.

Szykowal sie do odwrotu, gdy nagle rozmowa po drugiej stronie korytarza stala sie glosniejsza. Ktos wyszedl z dyzurki. Znalazl sie w pulapce! Cofnal sie, ukryl w mroku za drzwiami i zaczal sie modlic. Jesli tamten tu wejdzie i zapali swiatlo, jest martwy!

Do pomieszczenia wszedl niski, krepny mezczyzna o byczym karku. Nie przestawal mowic do swoich towarzyszy naprzeciwko. Nie dotknal kontaktu na scianie – od razu siegnal po czajnik i odkrecil kran. Znajdowal sie na wyciagniecie reki od Avedissiana. Napelnil czajnik, z halasem wcisnal pokrywke i wyszedl.

Avedissian nie poruszył sie jeszcze przez kilka sekund. Sparalizowała go koszmarna myśl, że był o krok od śmierci. Wreszcie dotarło do niego, że jednak żyje, i odzyskał odwagę. Wymknął się na korytarz, po czym wrócił do O'Neillów.

O'Neill przywitał go pytającym spojrzeniem.

–Złatwione – oznajmił Avedissian. – Teraz trzeba poczekać.

–Jak długo?

Avedissian spróbował obliczyć, kiedy woda się zagotuje, ile czasu zajmie mężczyznom robienie herbaty i za ile minut środek zadziała. Optymistycznie zakładał, że żaden z pijących nie wyczuje obcego smaku.

–Na wszelki wypadek dajmy im pół godziny – odrzekł. Nagle coś sobie przypomniał. Spojrzał z przerażeniem na leżącego Drummonda. – Nie beda go szukac?

Jego obawy natychmiast się potwierdziły. Drzwi na końcu korytarza otworzyły się i ktoś zawołał:

–Liam! Herbata!

Mężczyźni zamarli. Ludzili się, że drzwi zaraz się zamkną ale na próżno. Wołający czekał na odpowiedź! O'Neill odwrócił głowę w przeciwnym kierunku i krzyknął niewyraźnie:

–Ide!

Wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Drzwi się zamknęły.

Avedissian zbadał Kathleen. Wciąż spokojnie spała. Po zastrzyku szczęśliwie nie czuła bólu. Uniosł jej powieki i z ulgą stwierdził, że nie jest na tyle zamroczona, by

nie dalo sie jej dobudzic, gdy juz mozna bedzie uciekac. Mruknela przez sen i odwrocila glowe. Avedissian znow spojrzal na Drummonda.

–Lepiej, zeby nie odzyskal przytomnosci jeszcze przez kilka godzin. – Siegnal po strzykawke.

–Chyba juz czas – powiedzial O'Neill. – Zaryzykujemy? Avedissian poczul skurcz w zoladku, ale skinal glowa.

–Sprawdzmy, co sie dzieje.

Zostawili Kathleen w celi i wymkneli sie na korytarz. Kiedy skradali sie do dyzurki, wstapila w nich nadzieja: nie dochodzily stamtad zadne glosy. Jednak O'Neill nie dowierzal zbyt prozkom i w koncu to Avedissian musial delikatnie nacisnac klamke.

Dwaj mezczyzni spali z twarzami na stole, trzeci spadl z krzesla i chrapal na podlodze. O'Neill odblokowal elektroniczny zamek drzwi wyjsciowych, ale dalej czegos szukal. Avedissian zapytal, co robi.

–Chce znalezc jakas wskazowke, co ten maly skurwiel zaplanowal – odparl O'Neill.  
– Jest zdolny wywolac wojne domowa.

Avedissian wlaczyl sie do przetrzasania dyzurki, jednak po pieciu minutach zaproponowal, zeby dac temu spokoj.

–Zajrzyjmy jeszcze do gabinetu Kella – podsunal O'Neill. Popatrzył na nieprzytomnych mezczyzn. – Chyba niepredko sie obudza?

–Minie duzo czasu.

–Spojrz na to – O'Neill wreczyl Avedissianowi kawalek papieru.

Byla to fotokopia mapy. Wojskowa, pomyslal Avedissian. Ze sztabu generalnego. Rozpoznal ja, ale nie mial pojecia, jaka okolice przedstawia. Kolkiem zaznaczono wioske o nazwie Valham.

–Mowi ci to cos?– spytal O'Neill.

–Nie, ale wezmy ja.

O'Neill poprosil Avedissiana, zeby pomogl mu odniesc apteczki do izby chorych i zaciagnac Drummonda do dyzurki.

–Nie chce, zeby cala wina spadla na niego – wyjasnil.

**Avedissianowi podobał się ten gest. Gdy było już po wszystkim, obudzili Kathleen i wyprowadzili po schodach z budynku.**

**Wyszli w noc. Ulice Belfastu były jeszcze mokre, ale nie padało. Dawno nie oddychali świeżym powietrzem z taką przyjemnością. Przynajmniej Avedissian czuł się prawdziwie wolny.**

**Wszelkie decyzje mogły zaczekać. Na razie musieli opuścić Irlandię. Żadne z nich nie było tu już bezpieczne. Avedissian zaproponował podróż do Londynu, O'Neillowie zgodzili się. Dalsze plany mieli układać w jego mieszkaniu.**

**Obawy Avedissiana, że rodzeństwo może mieć trudności z wjazdem do Anglii, nie sprawdziły się. Mimo zastrzonych środków bezpieczeństwa wszystko poszło gładko. Od pewnego czasu IRA nie dawała o sobie znać, a pamięć ludzka zazwyczaj bywa krótka.**

## **13**

**Dopiero przeciągle, podejrzliwe spojrzenie londyńskiego taksowkarza przypomniało Avedissianowi, że wszyscy trzej muszą okropnie wyglądać. Do tej pory nie mieli czasu zwracać na to uwagi – byli zbyt pochłonięci ucieczką. Teraz, w gestym, wielkomięskim tłumie nareszcie się trochę odprezyli. Naprawdę wymknęli się ze szpon Finbarra Kella!**

**Kiedy stali na światłach na skrzyżowaniu, Avedissian przyjrzał się Kathleen. Dostrzegł na jej twarzy ślady cierpienia. Nie skarżyła się od wyjazdu z Belfastu, ale wiedział, że środek przeciwbolowy przestał działać kilka godzin temu. Zapytał ją łagodnie, jak się czuje. Uśmiechnęła się i zapewniła, że wszystko w porządku.**

**W mieszkaniu Avedissiana czekali, aż bojler podgrzeje wodę, i popijali whisky. Nikt nie przypominał, że jest dopiero jedenasta przed południem. W tej chwili godzina nie miała znaczenia – potrzebowali alkoholu.**

**Avedissian zaproponował, by O'Neillowie wykapali się pierwsi, a sam przetrzasnął kuchnię w poszukiwaniu jedzenia. Znalazł kilka puszek. Potem zmienił Kathleen opatrunki i poszedł do łazienki. W końcu usiedli do stołu.**

**–Wreszcie poczułem się lepiej – odetchnął O'Neill i pozostała dwójka przytaknęła.**

**Ubranie Avedissiana leżało na nim całkiem dobrze, ale z Kathleen był kłopot. W zbyt obszernej koszuli i dzinsach wyglądała jak rozbitek uratowany z tonącego statku.**

**Byli bezpieczni, czysti i syści. Nadszedł czas, żeby zdecydować, co dalej. Wszyscy się zgodzili, że najważniejsze to dowiedzieć się, co zaplanował Kell, i spróbować mu**

przeszkodzić. Na razie mogli jedynie ostrzec władze, że na terenie Anglii szykuje się duża operacja IRA.

–Jak to zrobimy? – zapytał Avedissian.

–Anonimowo, przez telefon – odrzekła Kathleen.

–Uwierza nam? Nie zazadają podania nazwiska?

–Nawet więcej – wtracił się O'Neill. – Będą chcieli wiedzieć, co to za operacja i komu albo czemu konkretnie zagraża.

–A my im nie powiemy, bo sami nie wiemy – westchnął Avedissian.

–Ale jeśli Martin się przedstawi, nie powinni tego zlekceważyć – zauważyła Kathleen.

–Władze myślą, że Martin O'Neill nie żyje – przypomniał Avedissian. – Uznają to za głupi żart.

Zastanawiali się przez chwilę.

–Tylko jeden człowiek może nam uwierzyć – powiedział Avedissian. – Kto?

–Bryant.

Kathleen spuściła wzrok i zaczęła nerwowo wylamywać palce.

–Nie chce go nigdy więcej widzieć – szepnęła.

Avedissian położył jej dłoń na ramieniu.

–Czuje to samo, co ty – zapewnił cicho. – Oboje mamy z nim porachunki, ale musimy myśleć racjonalnie. Bryant ma środki, żeby powstrzymać Kella.

–Jak chcesz do niego dotrzeć? – zapytał O'Neill.

–Zastanawiałem się nad tym wiele razy – wyznał Avedissian. – Oficjalnie jest dla mnie nieosiągalny, ale chyba potrafię go znaleźć nieoficjalnie.

–Mów.

–Kiedy przywieziono mnie do niego do Londynu, kazano mi zaczekać w pokoju, którego okno wychodziło na zaulek. Była noc i na budynku naprzeciwko świecił się neon "Staplex – oprawa książek". Jeśli znajdzie adres tej firmy w książce telefonicznej, będę wiedział, gdzie urzęduje Bryant.

**–Warto spróbować – przyznał O'Neill.**

**Kathleen milczała. Nie chciała mieć nic wspólnego z Bryantem. Avedissian przerzucił kartki książki telefonicznej.**

**–Jest!**

**–Mamy iść z tobą? – spytał O'Neill.**

**Avedissian pokręcił głową.**

**–Szkoda czasu. Zamiast tego popracujcie nad mapą z gabinetu Kella. Trzeba ustalić, gdzie leży ta wieś i czym szczególnie się wyróżnia.**

**–I kupimy jakieś ubrania – dodał O'Neill.**

**–Bądź ostrożny – pożegnała Avedissiana Kathleen.**

**Pocałował ją i uspokoił, że nie ma powodu do obaw. Obiecał, że postara się szybko wrócić.**

**Złapał taksówkę i pojechał do Stapleksu. Podróż zajęła mu piętnaście minut, ale trwałaby krócej, gdyby nie korki. Przeszedł na drugą stronę ulicy, minął firmę i odnalazł zaułek z wejściem służbowym. Popatrzył na znajomy neon, potem na budynek naprzeciw. Wyglądał ponuro i nieciekawie jak wiele podobnych, anonimowych gmachów. Ale w oknie na trzecim piętrze stała duża roślina. W tamtym pokoju czekał na Bryanta, gdy przywieziono go tu z ośrodka szkoleniowego w Llangern.**

**Avedissian doszedł do końca zaułka, przeszedł na drugą stronę i wrócił do punktu wyjścia. Spacerował, obserwując kilka wejść do gmachu. Wszystkie drzwi były zamknięte. Może to i dobrze, pomyślał. Lepiej zaczekać, aż Bryant będzie wchodził albo wychodził. W ten sposób uda się wykorzystać element zaskoczenia. Gdyby w ciemno wszedł do środka, byłby bez szans – amator wśród zawodowców.**

**Czekanie przedłużało się i Avedissian zaczynał mieć dość. Przez trzy godziny nikt nie wszedł do budynku ani z niego nie wyszedł. Może w gmachu jest pusto, bo urzędują tu tylko czasami? Niemal nabrał co do tego pewności, gdy o wpół do szóstej frontowymi drzwiami wyszła kobieta. Rozpoznał Sare Milek, sekretarkę z Cambridge.**

**Kobieta doszła do wylotu zaułka i skreśliła w lewo. Avedissian szedł trzydzieści metrów za nią. Znowu skreśliła w lewo, w inną wąską uliczkę, i zatrzymała się przed rzedem garaży. Wyjęła z torebki klucze, po czym otworzyła podnoszone drzwi. Avedissian podbiegł i wepchnął ją do środka. Zasłonił jej usta dłonią zanim zdążyła**

**krzyknac, i szepnal:**

**–Bez paniki, panno Milek, jestem starym przyjacielem. Pamieta mnie pani?– Cofnal dlon.**

**–To pan?!**

**–Zaskoczona? Pewnie dlatego, ze juz powinienem nie zyc? – Ciesze sie, ze jednak pan zyje.**

**–Czyzby? – warknal Avedissian – Gdzie Bryant?**

**–Rozumiem – powiedziala wolno Sarah Milek. – Chce sie pan zemscic.**

**–Mialem taki zamiar – przyznal Avedissian – ale okolicznosci sprawily, ze potrzebuje jego pomocy.**

**–Pomocy?– zdziwila sie.**

**–IRA zaplanowala w Anglii duza operacje. To moze sie zdarzyc lada dzien. Ludzie Kella juz tu sa Kell chce w ten sposob odplacic Bryantowi za to, ze probowal go oszukac.**

**–Alez Kell nie zdazylyby zorganizowac zadnej wiekszej akcji! – zaprotestowala Sarah Milek.**

**–Myli sie pani – odparl Avedissian. – Kell od poczatku wiedzial, ze nie bylo zadnego porwania. Od razu zaczal opracowywac wlasny plan i wozdil Bryanta za nos.**

**–Przeciez probowal obrabowac banki, zeby zdobyc pieniadze.**

**–Znow jest pani w bledzie. Kell podstawil Bryantowi Kathleen O'Neill. Uzyl jej, zeby wyrownac stare rachunki z INLA. Jednoczesnie przekonal Bryanta, ze mozna jej ufac. Wcale nie zabil jej brata. Martin O'Neill zyje i jest ze mna w Londynie. Stad wiem o planach Kella.**

**–A Kathleen O'Neill?**

**–Tez jest tutaj.**

**–Co sie stalo z chlopcem? – zapytala ostroznie Sarah Milek.**

**–Nie zyje. Pochowalem go na polu w Illinois.**

**–Bardzo mi przykro. Wiem, ze pan mi nie uwierzy ale mowie szczerze. To byl potworny plan.**



**–Wiec dlaczego nic pani nie zrobila? – natarl Avedissian.**

**–Nie potrafilabym przeszkodzic Bryantowi. Nienawidzi Irlandczykow z calego serca.**

**–Dlaczego?**

**–Mysli, ze dluga praca w sekcji irlandzkiej rujnuje mu kariere. Ma za zle kolejnym rzadom, ze nie rozprawia sie z IRA tak, jak on by sobie tego zyczyl. Jest zdania, ze wroga nalezy niszczyć bez litosci. Wie pan, ogien zwalczac ogniem, i tak dalej. Ale przez lata odrzucano wszystkie jego projekty. Byly albo zbyt agresywne, albo niewygodne politycznie. Zawsze bral to do siebie. Popadl w paranoje: twierdzi, ze ma przeciwko sobie "mafie z prywatnych szkol", jak nazywa tych na gorze. Czasami mam wrazenie, ze tak samo nienawidzi naszych, jak tamtych po drugiej stronie.**

**–A ostatni plan?**

**–Zobaczyl w gazecie zdjecie uposledzonego chlopca, ktorego rodzice zgineli w wypadku samochodowym. Zauwazyl jego powierzchowne podobienstwo do jednego z dzieci z rodziny krolewskiej. Wpadl na pomysl, zeby to wykorzystac. Operacja miala udowodnic wladzom, ze powinien kierowac sekcja irlandzka zamiast grac w niej drugie skrzypce.**

**–Dlaczego nikt go nie powstrzymal?**

**–Tym razem Bryant byl sprytniejszy. Sprzedal pomysl sir Michaelowi jako niegrozna mistyfikacje, ktora miala sluzyc jedynie zrujnowaniu NORAIID-u i podkopaniu morale w IRA. Nigdy nie wspominal o wykorzystaniu zywego dziecka, ale nalegal, zeby stworzyc wszelkie pozory prawdziwego porwania. Przekonywal, ze tylko wtedy operacja ma szanse powodzenia, i sir Michael sie zgodzil.**

**–Wiec dlaczego tak nie zostalo?**

**–Bryant mial obsesje na punkcie tej operacji. Widzial w niej wielka szanse wykazania sie.**

**"I ulozyl wlasna wersje planu? Sarah Milek przytaknela.**

**–Przeznaczyl nawet fundusze sekcji na oplacenie jakichs "pracownikow operacyjnych" o watplivej reputacji.**

**–A chlopiec?**

**–Po wypadku zapewniono mu tymczasowa opieke. Sluzby socjalne zastanawialy sie, co z nim dalej zrobic. Bryant dostarczyl im wypelnione formularze przeniesienia chlopca do domu dziecka na drugim koncu kraju. Rzekomo odnalazl tam dalekiego**

**krewnego malca i zaistniała szansa adopcji. Przekazano mu dziecko z ochotą, żeby pozbyć się problemu.**

**–Ale przecież sir Michael musiał coś podejrzewać, kiedy Bryant to wszystko robił? – zauważył Avedissian.**

**–Owszem. Tylko że w złym momencie dopadła go własna przeszłość.**

**–Co to znaczy?**

**–Jeden z ludzi Bryanta znalazł coś na sir Michaela. Różne niedyskrecje dotyczące młodych chłopców. Praktycznie zaczął rządzić Bryant. Stał na czele operacji, a potem całej sekcji. Sir Michaelowi pozostała rola figuranta.**

**Avedissian przypomniał sobie artykuł w gazecie.**

**–Dlatego popełnił samobójstwo?**

**–Tak, nie mógł znieść wstydu – odrzekła Sarah Milek.**

**–Jednak plan Bryanta się nie powiodł.**

**–Wprawdzie nie zdobył pieniędzy, ale rozgromił w Belfascie INLA, a wcześniej zorganizował zasadzkę, w której zginął Kevin O'Donnell. Zasłużył się. O ile wiem, zostanie szefem sekcji mimo wielu sprzeciwów.**

**–Dlaczego nikt nie powie prawdy o nim? Na przykład pani? – zapytał Avedissian.**

**–Za mało wiem. Tylko to, co przed śmiercią zdradził mi sir Michael. Nie mam pojęcia, do czego rzeczywiście byli potrzebni Bryantowi "specjaliści" z zewnątrz.**

**–Do podłożenia bomb w samochodach – wyjaśnił cicho Avedissian.**

**–Co?!**

**–Nieważne. Myślę, że wie pani dość – powiedział tonem oskarżenia Avedissian.**

**–Wiedzieć, a potrafić udowodnić, to dwie różne sprawy.**

**–Chyba jest ktoś, do kogo mogłaby się pani zwrócić?**

**–Nie jestem aż tak odważna, doktorze. Bryant to potężny człowiek. Wbrew temu, co mówią politycy, tacy ludzie stoją ponad prawem. Szczerze mówiąc, boję się go. Nikt, kto staje mu na drodze, nie wychodzi z tego cało.**

**Avedissian przymknął oczy.**

**–Zaraz... Gdzie ja to slyszalem? – szepnal.**

**–Slucham?**

**Avedissian zignorowal pytanie.**

**–Musze pogadac z Bryantem, gdzie on jest?**

**–Na zebraniu doradcow do spraw bezpieczenstwa rodziny krolewskiej –  
odpowiedziala Sarah Milek.**

**Avedissian zrobil zdumiona mine, wiec wyjasnila.**

**–Jutro jest specjalne przyjecie urodzinowe jednego z krolewskich dzieci.  
Transmituje je telewizja. Program "Blekitny Piotrus" gosci grupe uposledzonej  
mlodziezy z calego kraju. W uroczystosci uczestniczy rodzina krolewska.**

**Avedissian przypomniat sobie nagle, ze czytal o tym w gazecie. Teraz zobaczył to w  
innym swietle. Udzial Bryanta w tym przedsiwzieciu uruchomil alarm w jego glowie.**

**–Gdzie jest to zebranie?**

**–To scisle tajne – odparla Sarah Milek.**

**–Chryste, to moze byc to! – wykrzyknal Avedissian.**

**–Co?**

**–Kell chce dokonac zamachu w czasie przyjecia!**

**–Alez...**

**–Dlatego mowil, ze Bryant najmniej sie tego spodziewa. Jego celem jest prawdziwe  
dziecko, ktore mialo byc obiektem negocjacji za Atlantykiem!**

**–Niemozliwe, przy takich okazjach zawsze stosuje sie nadzwyczajne srodki  
bezpieczenstwa.**

**–Nie szkodzi. Jestem prawie pewien, ze sie nie myle. Mozna sie jakos skontaktowac  
z Bryantem?**

**–Tak, w razie naglej potrzeby.**

**–To jest nagla potrzeba.**

**–Chodźmy do biura.**

**Avedissian niecierpliwie czekał, aż Sarah Milek połączy się z Bryantem. Słyszał jej wyjaśnienia, dlaczego dzwoni i kto z nią jest, ale nie mógł słyszeć odpowiedzi Bryanta. Wział od niej telefon.**

**–A to niespodzianka, doktorze – odezwał się znajomy głos.**

**–Domyslam się – mruknął Avedissian. – Chłopiec i Paul Jarvis nie sprawia ci niespodzianki, Bryant. Nie żyje.**

**–Przykro mi. Wojna potrafi być okrutna. A to jest wojna, doktorze.**

**–Według ciebie ta "wojna" wszystko usprawiedliwia? To bardzo wygodne. Myślisz, że dziecko rozumiało, że to "wojna", kiedy pękła mu czaszka? Rzygac mi się chce, kiedy ci słucham.**

**–Tani sentymentalizm na mnie nie działa, doktorze. Nie rozumiesz, co było stawka w tej grze? Wykonczenie NORAIID-u, pozbycie się tego ropiejącego wrzodu raz na zawsze. A ty mi pieprzysz jakieś rzewne bzdury o sierocie, który skoczyłby pewnie jako zamiatacz ulic w Luton!**

**–Ty sukinsynu!**

**–Jasne, że jestem sukinsynem, doktorze. Ale gdyby nie tacy jak ja, pięćdziesiąt milionów ludzi w tym kraju nie siedziałoby wygodnie na dupach, oglądając "Dallas" i udając, że brzydza się tym, co robię. To się nazywa hipokryzja, doktorze. Ludziom twojej profesji nie trzeba chyba tego mówić. A może zamierzasz udawać, że was, miłych facetów z klasy średniej, naprawdę obchodzi nogi sportowców albo hemoroidy kierowców ciężarówek?**

**–Tobie jest potrzebny psychiatra, Bryant. Jesteś ciężko chory.**

**–Daruj sobie diagnozy, doktorze, to strata czasu.**

**–Czy cię w ogóle coś obchodzi, Bryant?**

**–Zwyciestwo, doktorze, tylko zwycięstwo.**

**–Jak Kella.**

**–Co masz na myśli?**

**–Kell od początku wiedział, że chcesz go wykołować. Teraz zamierza ci się odplacić i chyba wiem jak.**

**–To mów.**

**–Jutro podczas królewskiego przyjęcia urodzinowego dokona zamachu.**

**–Pewnie dal ci to na piśmie? – zadrwil Bryant.**

**Avedissian opowiedział mu, jak on i Kathleen wpadli w ręce Kella, próbując uwolnić jej brata.**

**–Jej brata?! Probujesz mi wmówić, że go wskrzesiłeś, doktorze? Rozumiem, jak bardzo chcesz mnie dopaść, odgrywając samotnego szeryfa, ale chyba nie myślisz, że uwierzę w te bzdury?**

**–Mówię prawdę, przysięgam. O'Neillowie są ze mną w Londynie. Proponuje, żebyśmy się spotkali i...**

**–Daj spokój, doktorze. Przeszanuj się w harcerzy. Skorzystaj z mojej rady: wycofaj się z gry, weź swoje zetony i odbierz w kasie gotówkę, póki nie jest za późno. Poszukaj gdzieś przyjemnej pracy i ułóż sobie życie.**

**–A ty pewnego dnia mnie znajdziesz?**

**–Już mnie nie interesujesz, doktorze. Nie możesz mi zaszkodzić. Kto uwierzy w belkot lekarza na krwawym alkoholizmie wyrzuconego poza nawias? Twoja historyjka nie zaciekałaby nawet znudzonego towarzystwa w knajpie.**

**Avedissian z trudem zapanował nad sobą.**

**–Mówię prawdę! Kell już jest w Anglii. Jeśli nie chcesz współpracować ze mną i O'Neillami i nie odwołasz przyjęcia, to przynajmniej wzmocnij ochronę! Weź więcej ludzi!**

**–Ochrona jest wystarczająco mocna, doktorze. Żaden zamach nie może się udać. Cała posiadłość będzie otoczona kordonem ludzi. Człowiek się nie przedrze, nawet gdyby ktoś wiedział, gdzie to jest.**

**Avedissian nagle wpadł na pomysł, jak przekonać Bryanta.**

**–Kell wie.**

**Po chwili ciszy Bryant powiedział:**

**–Zamieniam się w słuch.**

**–W Valham – oznajmił tryumfalnie Avedissian.**

**–Pierwsze słysze – odparł Bryant.**

**–Wiec w poblizu.**

**–W promieniu piecdziesieciu mil od posiadlosci nie ma zadnego Valham czy jak to sie tam nazywa – wyjasnil zniecierpliwiony Bryant.**

**Avedissianowi opadly rece. Czyzby sie pomylił? Przeciez Kellowi musialo chodzic o to przyjecie! Jaki inny cel mogli wybrac?**

**–Nie jestem pewien, czy Kell planuje zamach na te posiadlosc – przyznal niechetnie.  
– Ale wiem, ze to jakas duza akcja.**

**–Skorzystaj z mojej rady, doktorze – powtorzil Bryant. – Wycofaj sie, poki mozesz.  
– W telefonie zapadla cisza.**

**–Nie uwierzyl panu? – zapytala Sarah Milek, choc znala odpowiedz. Avedissian pokrecil glowa.**

**–Arogancki duren – mruknal. – Czy nazwa Valham cos pani mowi? – Nic.**

**–Nie chce wyciagac z pani zadnych tajemnic – zapewnil Avedissian. – Niech mi pani tylko powie, czy to moze byc wazny cel dla Kella.**

**–Nic przed panem nie ukrywam. Naprawde nigdy nie slyszalam tej nazwy. Ale mozemy sprawdzic, gdzie to jest, jesli pan chce. – Zdjela z polki atlas samochodowy i poszukala w spisie Valham. – To wies w Norfolk.**

**–Bryant powiedzial, ze nie lezy w poblizu tamtej posiadlosci... Chcial mnie tylko zbyc, czy mowil prawde? – zapytal Avedissian.**

**Sarah Milek przyjrzala mu sie podejrzliwie.**

**–Nie probuje sie dowiedziec, jak dotrzec do Bryanta, przysiegam – uspokoil ja Avedissian.**

**–Bryant nie klamal – powiedziala Sarah Milek. – Przyjecie odbywa sie w innym hrabstwie.**

**Avedissian poczul sie calkiem bezradny. Czas uciekal. Poprosil ja o numer telefonu na wypadek, gdyby przyszlo mu do glowy cos nowego.**

**–Moj? Prosze bardzo – odrzekla. – Ale numeru Bryanta nie moge panu dac.**

**Avedissian zerknal na zegarek i skrzywil sie. – Za pozno – stwierdzil. – Na co?**

**–Zeby wynajac samochod.**

**Sarah Milek zastanowila sie. Wyciagnela reke i do otwartej dloni Avedissiana wpadly kluczyki.**

**–A pani?**

**–Pojade taksowka. Odda mi pan samochod, jak bedzie po wszystkim.**

**Avedissian byl zaskoczony. Stal bez ruchu i nie wiedzial, co powiedziec.**

**Sarah Milek odwrocila sie po kilku krokach.**

**–Moze pan to nazwac wyrzutami sumienia.**

**Avedissian wrocil do siebie i oznajmil O'Neillom, Ze Bryant nie potraktowal powaznie informacji o duzej akcji przygotowanej przez IRA.**

**–Przynajmniej go ostrzegles – wzruszyła ramionami Kathleen. – Chyba wzmacni ochrone?**

**–Moze – mruknal cicho Avedissian, spacerujac nerwowo po pokoju. – Nie chce mi sie wierzyc, zeby Kell znalazl lepszy cel ataku niz to cholerne przyjecie.**

**–Jakie przyjecie?**

**Avedissian wyjasnil, o jaka uroczystosc chodzi i dlaczego uwaza, ze Kell uderzy wlasnie tam.**

**–Zgadzam sie z toba – powiedzial O'Neill.**

**–Problem w tym, ze Valham nie lezy w poblizu posiadlosci, w ktorej odbedzie sie przyjecie. Znajduje sie w innym hrabstwie.**

**–Wiemy – odrzekla Kathleen. – W Norfolk.**

**–Wlasnie. Dowiedzieliscie sie czegos wiecej?**

**Pokrecila glowa.**

**–To tylko mala wioska.**

**–Wiec po co Kell zaznaczyl ja na mapie?**

**W pokoju zapadla cisza.**

**–Czas – odezwal sie w koncu Avedissian. – Sarah Milek pozyczyla mi samochod. Trzeba tam pojechac.**

**–Lepsze to niz beczynne siedzenie tutaj – zgodzil sie O'Neill.**

**–Tak – przytaknela Kathleen. – Moze na miejscu cos nam przyjdzie do glowy.**

**–Kiedy wyruszymy?**

**–O swicie – Avedissian wyjrzal przez okno. Zaczelo padac.**

**Wyjechali o wpol do szostej. Deszcz ustal, zapowiadalo sie, ze bedzie piekna pogoda. W porannej ciszy brzek butelek z mlekiem wydawal sie wyjatkowo glosny. Skierowali sie na polnoc autostrada M11 i az do Cambridge utrzymywali niezla predkosc na zewnetrznym pasie. Gdy dotarli do miasta, zjedli szybkie sniadanie, potem skrecili na polnocny zachod do Norfolk.**

**Drogi stawaly sie coraz wezsze, a zywoploty coraz gestsze.**

**–Jestes pewien, ze dobrze jedziemy? – zapytala Kathleen, gdy Avedissian musial zwolnic niemal do zera na wiejskim trakcie.**

**–Zostalo poltorej mili – O'Neill powiodl palcem po mapie Kella.**

**–Skoro tak mowisz – odrzekla bez przekonania.**

**Avedissian zatrzymal samochod przy zniszczonej, drewnianej tabliczce z nazwa miejscowosci. Napis niemal calkowicie zaslanialy liscie.**

**–Co tam jest napisane? – zapytal O'Neilla, ktory mial lepszy widok.**

**–Valham.**

**Chwile pozniej ujrzeli krajobraz jak z widokowki. Domki wygladaly tak, jakby staly tu od zawsze. Na koncu wioski wznosil sie normanski kosciol z pokruszona wieza. Wskazywal, z jakiego okresu pochodzi osada.**

**–Jeden sklep – powiedziala Kathleen, gdy wolno jechali dalej.**

**–I pub – dodal O'Neill, kiedy dojechali do gospody pod drzewami. Nazywala sie "Mouse Spade".**

**–Czego wiecej potrzeba? – podsumowal Avedissian.**

**–Pieknie tutaj – zachwycila sie Kathleen.**

**–A co Kell tu zobaczyl?**

**–Popytajmy – zaproponowal Avedissian. – Pub jeszcze zamkniety. Sprobuj w**



**sklepie, Martin. My pojedziemy do kościoła.**

**–Czego właściwie szukamy?**

**–Czegos, co Kell mógł uznać za cel. Trzeba improwizować.**

**Avedissian i Kathleen weszli przez małą, żelazną furtkę na podwórko kościoła. Pod nogami zachrzescił żwir i musieli schylić głowy, żeby nie zawadzić o galezie cisa. Był zapewne starszy niż sama budowla. Cementarz położony w cieniu murów zarastały chwasty, a grobowce pokrywał mech.**

**Avedissian obrócił czarną klamkę i drzwi ustąpiły. W kościele powitał ich zapach starych śpiewników i wytarte kolanami kleczniki. Przez okno wysoko nad ołtarzem wpadało słońce. W smudze światła wisiał kurz.**

**–Dzień dobry – dobiegł głos z mrocznego końca nawy.**

**Czekali, aż postać w czerni podejdzie bliżej. Wylonila się z cienia i po drodze skłoniła przed ołtarzem.**

**–Simon Welsby – przedstawił się duchowny. – Jestem miejscowym pastorem. Mogę w czymś pomóc czy tylko państwo oglądacie?**

**–Prawdę mówiąc, zgubiliśmy się – skłamał Avedissian. – Jechaliśmy do bazy i nagle znaleźliśmy się w Valham.**

**–Do jakiej bazy? – zdziwił się Welsby.**

**–Wojskowej.**

**–W pobliżu Valham nie ma żadnej bazy, drodzy państwo.**

**–To właściwie nie baza – próbował dalej Avedissian – tylko ośrodek naukowy.**

**–Ach, rozumiem... Badania i tak dalej?**

**–Dokładnie.**

**–W tym rejonie? Hm, nic o tym nie wiem.**

**Avedissian i Kathleen pożegnali się uprzejmie z Welsbym i wyszli. W samochodzie czekał już O'Neill. Pokrecił głową. – Nic. Odparli, że też nic nie znaleźli.**

**–Jedno jest dobre – powiedział O'Neill. Spojrzeli na niego z zaciekawieniem.**

**–Pub już otwarty.**

Musieli zaczekać na zewnątrz, aż właściciel wciągnie przez prog kilka skrzynek lemoniady. Był wyraźnie zły.

–Cholera jasna! – utyskiwał. – Niektórzy to mają pomysły!

–Co się stało? – zagadnął Avedissian. Mężczyzna wyprostował się i otarł spocone czoło.

–Zamówili sześć skrzynek na podróż, to ja wystawiłem. Nawet się nie pofatygowali, żeby je odebrać. Co za ludzie, cholera!

–Znak czasów – uśmiechnął się współczująco Avedissian.

Właściciel odblokował wejście.

–Proszę do środka. Co ma być?

Wzięli coś do picia i wyszli do ogrodka. Siedzieli w ponurych nastrojach.

–Nie wiem, co jeszcze możemy zrobić – westchnęła Kathleen.

O'Neill przytaknął.

–W takiej starej wsi musi być jakiś dworek czy coś w tym rodzaju – podsunął Avedissian.

–Zapytajmy – odrzekła Kathleen.

Za korytarzem pojawiła się żona właściciela i z wnętrza lokalu dobiegły dalsze narzekania mężczyzny.

–Może jeszcze to odbiora, kochanie – pocieszyła go kobieta.

–Nie bądź głupia! – parsknął mężczyzna. – Już pojechali, dzwoniłem do szkoły.

–Widac byli tak podnieceni podróżą, że zapomnieli o lemoniadzie, kochanie.

–Kompletna bezmyślność – nie ustępował mąż.

–Masz rację, kochanie – odpowiedziała kobieta.

Spojrzała porozumiewawczo na siedzącą trójkę i wzruszyła ramionami. Potem wyszła do ogrodka po puste szklanki.

–Ci mężczyźni! – mruknęła konspiracyjnie. – A mówią że to my, kobiety, lubimy narzekać!

**Avedissian skorzystał z okazji, żeby zapytać ją o dworek. Zasłoniła reka usta i szepnęła:**

**–Dobrze, że pan nie spytał Willa. Ze złości wylazłby przez dach! W tutejszym dworku Trelford zrobili kilka lat temu szkole z internatem. To oni zamówili lemoniade!**

**–Rozumiem – pokiwał głową Avedissian.**

**Niech to szlag, pomyślał. Ostatnia szansa, żeby znaleźć cel Kella, przepadła. Wstali.**

**W drodze powrotnej do samochodu Avedissian skrecił na kamienny mostek, żeby popatrzeć na potok. Kathleen przyłączyła się do niego. Zauważyła jego ponurą minę.**

**–Zrobiles, co mogles, sam wiesz.**

**–Tu musi coś być – odparł – tylko tego nie widzimy.**

**Zamiast zawrócić, Avedissian z ciekawości przejechał przez wieś. Miał nadzieję, że wtedy też dojedzie do głównej szosy. Wąska droga wila się, jakby prowadziła korytem wyschniętego strumienia. Po obu stronach rosły wysokie drzewa. Słońce nad głowami przysłało sklepienie z gęsto splecionych galezi.**

**Pół mili za Valham stały dwa kamienne filary. Wyglądały na resztki bramy. Na jednym z nich wisiała nowoczesna tabliczka z niezgrabnym napisem: "Trelford – szkoła z internatem". Mijając wjazd, spojrzeli w głąb szkolnego terenu, ale widok zasłaniały drzewa.**

**Avedissian nagle nacisnął hamulec. Siedząca z tyłu Kathleen gwałtownie poleciała do przodu.**

**–Co się stało?!– wykrzyknęła.**

**–Szkoła! Tam jest szkoła!**

**–Co z tego? To ta, o której mówiła właścicielka pubu – Kathleen wymieniła z bratem zdziwione spojrzenie.**

**–Nie rozumiesz? To szkoła zainteresowała Kella!**

**–Dlaczego?– zdziwiła się Kathleen.**

**–Nie przeczytałaś na tabliczce? To szkoła dla dzieci upośledzonych! O'Neillowie nadal nie rozumieli, dlaczego Avedissian jest taki podekscytowany.**

**–Trelford musiało dostać zaproszenie na królewskie przyjęcie urodzinowe! Właściciel pubu mówił, że wyjechali i nie odebrali lemoniady na podróż!**

**Podejrzewam, że Kell bierze udział w tej wycieczce. Nie będzie potrzebował czołgu, żeby dostać się na uroczystość. Wjedzie tam jako gość!**

**Kathleen nagle zrozumiała.**

**–Jezu Chryste! Ochrona przepuści go bez problemu!**

**–Pytanie, jak go teraz zatrzymać? – powiedział Avedissian.**

**–Na pewno zostawił w szkole swoich ludzi – stwierdził O'Neill. – Wszyscy nie mogli pojechać.**

**–Sprawdzimy to – zdecydował Avedissian. – Musimy wiedzieć, czy nie strzelamy w ciemno.**

**Razem z O'Neillem wysiedli i poszli na zwiady. Kathleen została, żeby zaparkować samochód w dogodniejszym miejscu.**

**Mieli do pokonania spory kawałek drogi. Trzydzieści metrów od budynku drzewa skończyły się. Przed nimi rozciągał się trawnik. Avedissian i O'Neill przycupneli w zaroślach. Nie zauważyli nic podejrzanego, ale pozostali w ukryciu.**

**Po kilku chwilach usłyszeli krzyki dziecka. Sądząc po głosie, miało dziesięć lub jedenastkę lat i wade wymowy. Mogło też być głuche. W jednym z frontowych okien pojawiła się przechodząca kobieta. Za nią szedł mężczyzna. O'Neill wstrzymał oddech i szepnął:**

**–To człowiek Kella. Miał rację.**

**Avedissian nie poczuł wielkiej satysfakcji z tego powodu. Czas działał przeciwko nim. Minęło południe i szanse znalezienia posiadłości, w której miało się odbyć przyjęcie malowały z każdą sekundą. Zwłaszcza jeśli leżała w innym hrabstwie, jak utrzymywał Bryant. Informacja, gdzie jej szukać, kryła się z pewnością wewnątrz budynku. Pozostawało pytanie, jak dwóch nieuzbrojonych mężczyzn, w tym jeden bez ręki, ma opanować szkołę zajęta przez terrorystów. Avedissian zaproponował, żeby spróbowali ustalić, ilu ludzi z IRA jest na miejscu. O'Neill zgodził się. Został w krzakach, by dać Avedissianowi znak, czy można bezpiecznie przebiec przed frontem budynku.**

**Pod osłoną zarośli Avedissian podkrał się bliżej szkoły. Obejrzał się na O'Neilla. Po kilku sekundach O'Neill unosił się i machnął ręką. Że droga wolna. Ich oczy spotkały się tylko na moment, ale to wystarczyło: Avedissian nagle sobie przypomniał, skąd go zna. Popędził przed siebie i skrył się pod ścianą, choć myślami był gdzie indziej. To O'Neilla widział przed laty na podwórzu irlandzkiej farmy.**

Avedissian posuwał się wzdłuż muru i nasłuchiwał pod każdym oknem. Pokoje od frontu wydawały się puste. Skreślił za róg, wreszcie dotarł na tyły budynku. Wtedy usłyszał głosy. Ostrożnie zajrzał przez okno. W dużym pokoju zobaczył co najmniej piętnascioro dzieci, trzy pielęgniarki i dwóch mężczyzn. Jeden siedział przy drzwiach z bronią na kolanach, drugi spacerował tam i z powrotem.

Kobiety wyglądały na zdenerwowane, ale uposledzone dzieci wyraźnie nie zdawały sobie sprawy z sytuacji. Te z porażeniem mózgowym poruszały się niczym zdalnie sterowane roboty, inne były zajęte wyłącznie sobą. Część patrzyła w przestrzeń, niektóre w podłogę.

Jedna z pielęgniarek powiedziała głośno, jakby kłocila się ze strażnikiem:

–Muszę zabrać go do łazienki! Zmoczył się!

Postawiła na swoim i wywiozła chłopca. Kiwał się bezwładnie na wózku inwalidzkim jak szmaciana lalka. Z pomieszczenia obok dobiegł szum wody. To mogła być okazja, na którą Avedissian czekał. Gdyby udało mu się porozumieć z kobietą w łazience, może dowiedziałby się tego, czego potrzebował.

Podkrał się pod okno z matowymi szybami. Było lekko uchylone na dole. Wsunął rękę do środka i poruszył kratę wewnątrz, żeby zwrócić na siebie uwagę. Pielęgniarka nie zareagowała. Myślała o chłopcu i zabawiała go rozmową. Nie odpowiadał, ale nie przerywała tej jednostronnej konwersacji. Przemawiała do niego z prawdziwym uczuciem i tylko to się liczyło.

–Pssst! – szepnął Avedissian. Tym razem się udało. Kobieta podeszła i przyklekła przy szczelinie.

–Przyszłedł pan nam pomoc? – zapytała z podnieceniem, po czym szybko obejrzała się przez ramię na drzwi łazienki. – Musi pan coś zrobić! Trzeba zatrzymać mikrobus!

–Nie ma zbyt wiele czasu – odrzekł cicho Avedissian. – Proszę mi tylko odpowiedzieć na kilka pytań.

Pielęgniarka skinęła głową.

–Gdzie jest królewskie przyjęcie urodzinowe?

–W Crookham House. To w Leicestershire. – Ile dzieci tam pojechało?

–Dwunascioro. Jada szkolnym mikrobusem.

–Ilu mężczyzn jest z nimi?

**–Trzech, w tym jeden przerazający typ na wozku. – Zabrali kogos z personelu?**

**–Dwie osoby, panne Sanders i panne Crispin.**

**–Niedlugo nadejdzie pomoc, obiecuje. Proszę tylko zachować spokój i wszystko będzie dobrze.**

**Avedissian podpełzł do frontowego rogu budynku i zaczął czekać na znak od O'Neilla. Przemknęli przez zarośla, dobiegli do bramy i wrócili do Kathleen.**

**–Musimy zadzwonić! – powiedział gorączkowo Avedissian. – Trzeba znaleźć telefon!**

**Kathleen wciąż siedziała za kierownicą. Włączyła silnik i pognęła kretą drogą na złamanie karku. Zahamowała z piskiem opon przy budce telefonicznej. Avedissian wyskoczył z samochodu, szukając w biegu drobnych.**

**Wybrał numer Sary Milek i niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Nikt nie odpowiadał. Ogarnęła go rozpacz. Pozostała mu ostatnia deska ratunku – anonimowy telefon na policję. Poinformuje ich o tym, co się dzieje w szkole, i ostrzeże, że ludzie z IRA są uzbrojeni! Ale czy zawiadomia ochronę przyjęcia?**

**Dyżurny wziął Avedissiana za nieszkodliwego wariata i zachował się odpowiednio do sytuacji. Próbował go uspokoić, obrócić wszystko w żart i namówić na skorzystanie z pomocy lekarskiej.**

**–Mówię serio! – wrzasnął Avedissian.**

**–Oczywiście, oczywiście – odrzekł pobłażliwy głos. – Może jednak zaczniemy od pańskiego imienia i nazwiska...**

**Avedissian trzasnął słuchawką i wskoczył do samochodu.**

**–Mamy trzy godziny! Jeszcze możemy zdążyć!**

**Kathleen chciała mu ustąpić miejsca za kierownicą, ale ją powstrzymał.**

**–Prowadzisz lepiej ode mnie. Jedź na wschód, do Leicestershire!**

**Avedissian i O'Neill nie znaleźli Crookham na mapach samochodowych, figurowało dopiero w szczegółowym atlasie. Uzgodnili najlepszą trasę. Tymczasem Kathleen próbowała wydostać się z plataniny wąskich dróg Norfolk.**

**Na głównej szosie znacznie przyspieszyła, ale czas mijał nieubłaganie. Drogowskazy wciąż pokazywały, że do celu jest jeszcze daleko. Wcisnęła gaz do dechy. Avedissian poczuł skurcz w żołądku.**

Po poł godzinie O'Neill podał mu atlas.

–Bedziesz pilotował Kathleen, kiedy już znajdziemy się blisko.

Avedissian wziął książkę.

–Juz się kiedyś spotkalismy.

O'Neill zmarszczył brwi, czekając na wyjaśnienia.

–Na podwórzu irlandzkiej farmy. Byłem wtedy w mundurze i między nami stało dziecko.

O'Neill przyjrzał się uważnie Avedissianowi.

–To byles ty?!– szepnął.

Avedissian przytaknął i obaj się zamyslili.

–Zawdzięczam ci życie – odezwał się po chwili Avedissian.

–Warto było je ocalić – odrzekł O'Neill.

–O co wam chodzi? – zainteresowała się Kathleen.

–Powie ci kiedy indziej – odparł Avedissian.

Przed Peterborough musieli zwolnić niemal do zera z powodu robot drogowych. Prawie pięć kilometrów Kathleen wlokła się wolnym tempem. Wreszcie zważenie się skończyło, ale przed nią ciągnął się długi sznur ciężarówek. Wyprzedzała je ryzykownie, nie zważając na klaksony i migające światła pojazdów z przeciwka. Była czwarta po południu, gdy Avedissian powiedział:

–Skreć w lewo na następnym skrzyżowaniu.

Wjechali w drogę do Crookham.

## 14

Znow znaleźli się na wąskich, wiejskich drogach i szybkość spadła. Napiecie w samochodzie stało się niemal nie do zniesienia.

–Rodzina królewska musi już być na miejscu – powiedziała niespokojnie Kathleen.

–Jedź – mruknął Avedissian.

**–W która stronę? – zapytała zdenerwowanym głosem, dojeżdżając do skrzyżowania.**

**–W prawo.**

**–Daleko jeszcze?**

**–Nie. Teraz skreśisz w lewo. Crookham powinno być u stop...**

**Dalsze wskazówki okazały się zupełnie niepotrzebne. Kathleen wyjechała zza zakretu i zobaczyła radiowóz. Stał w poprzek drogi. Policjant z drogowki zatrzymał ją, a jego dwaj uzbrojeni koledzy utkwili wzrok w samochodzie.**

**Kathleen opuściła szybę. Policjant oparł się o dach auta.**

**–Tędy nie ma przejazdu, proszę pani. – Mówił do niej, ale jednocześnie patrzył na Avedissiana i O'Neilla. – Dokąd państwo jada?**

**–Do Crookham – odrzekł Avedissian. – Musimy się skontaktować z ochroną. To sprawa życia lub śmierci!**

**Policjant zrobił niepewną minę i przywołał pozostałych.**

**–Proszę wysiąść z samochodu – polecił i cofnął się o krok. – Wszyscy. Avedissian wysiadł pierwszy.**

**–Trzeba zawiadomić pana Bryanta! To pilne!**

**–Nie ma chwili do stracenia! – dodała błagalnie Kathleen.**

**–Irlandka! – odezwał się jeden z uzbrojonych policjantów, kiedy usłyszał jej akcent. Wyciągnął rewolwer i rozkazał – Odejdź od samochodu!**

**–Na litość boską! – wykrzyknął Avedissian. – Będzie zamach na rodzinę królewską! Wezwijcie Bryanta! Ostrzeżcie go!**

**Policjanci popatrzyli na siebie niepewnie. – A pan kto? – zapytał jeden.**

**–Nie ma czasu na wyjaśnienia! Połączcie się z Bryantem! Przekazcie mu od Avedissiana, że Kell już jest w środku!**

**Upór Avedissiana opłacił się. Jeden z obecnych policjantów nerwowym ruchem unosił do ust radio.**

**–Bardzo pilna wiadomość dla pana Bryanta!**



**Landrover jadący na niskim biegu ostro zahamował przed blokadą i z miejsca pasażera wyskoczył Bryant. W lewej ręce trzymał radio, a spod rozwianej marynarki wystawała kabura na szelkach. Policjanci wyprzedzili się, ale ich zignorował. Podbiegł prosto do Avedissiana.**

**–Co jest, doktorze? O co chodzi z Kellem?**

**Avedissian czekał na te chwile od śmierci Harry'ego – wreszcie stanął z Bryantem twarzą w twarz. Okoliczności jednak nie pozwalały mu zachować się tak, jak to sobie wiele razy wyobrażał.**

**–Kell i jego dwaj ludzie są już w środku – oznajmił. – IRA zajęła szkołę dla upośledzonych dzieci w Norfolk. Przyjechali tu z oficjalną delegacją.**

**Bryant zbladł.**

**–Tam jest ponad szesćset pięćdziesiąt osób rozszanych po całym terenie!**

**–O'Neillowie znają ludzi Kella. Mogą pomóc.**

**–Chodźcie ze mną! – rozkazał Bryant.**

**Odwrocił się na pięcie i pobiegł z powrotem do landrovera.**

**Landrover z Avedissianem i O'Neillami wjechał na teren posiadłości. Ponad wielkimi, kolorowymi baldachimami niosły się głosne dźwięki hymnu państwowego, obwieszczającego wszystkim przybycie rodziny królewskiej.**

**–Jaka to szkoła? – zapytał Bryant.**

**–Trelford. W Valham.**

**Zatrzymali się przy długim pojeździe kempingowym. Bryant wyskoczył z samochodu, wpadł do środka i wrócił z plikiem papierów.**

**–Trelford miało parkować w sektorze F – powiedział do kierowcy. – Podjeżdżaj powoli, żeby ich nie spłoszyć.**

**–To mikrobus szkolny – dodał Avedissian, gdy landrover potoczył się w kierunku parkingu.**

**–Więc może jest na nim nazwa szkoły – odrzekł Bryant.**

**Unosił radio do ust i zaczął wydawać rozkazy swoim ludziom. Ostrzegał przy tym, żeby zachowywali się naturalnie.**

**–Jest nasz mikrobus – oznajmil spokojnie kierowca, patrząc przed siebie.**

**–Gdzie? – zainteresował się Bryant.**

**–Po prawej. Stoi tyłem do nas. Biały, z nazwą szkoły.**

**–Dobra robota – pochwalil cicho Bryant. – Jedź prosto i niech nikt mu się nie przygląda! – Znow zaczął mówić przez radio.**

**Kiedy mineli mikrobus, polecil:**

**–Zatrzymaj się tam. – Kierowca skrecil w prawo i zaparkowal tak, że oba pojazdy rozdzielala kepa drzew. – Wszyscy już czekaja na rodzinę królewską, a w mikrobusie są jeszcze pasażerowie – powiedział Bryant. – Jeśli Kell też tam jest, wystarczy, że otworzy tylne drzwi i zacznie walić z moździerza. Musimy wkroczyć.**

**–A co z dziećmi w środku?! – zaniepokoiła się Kathleen.**

**–Nie mamy innego wyjścia – odparł Bryant.**

**–Mogłby pan ewakuować rodzinę królewską! – zauważył O'Neill.**

**–Za późno. Gdyby Kell się zorientował, na pewno zacząłby strzelać.**

**Musieliby przyznać mu rację.**

**Bryant zapytał przez radio, czy jego ludzie zajęli stanowiska. Dwa głosy odpowiedziały, że tak.**

**–Widzisz coś, Murray? – zapytał znowu.**

**W radiu dał się słyszeć szum, po czym ktoś odpowiedział:**

**–W mikrobusie jest jeden mężczyzna, dzieci i... jedna... nie, chyba dwie kobiety.**

**–Dwaj inni faceci mogą leżeć na podłodze – ostrzegł Bryant. – Jackson! Jeżeli otworzą drzwi, wchodźcie!**

**–Zrozumiałem.**

**–Mamy ich – powiedział cicho Bryant do reszty w Landroverze.**

**Sprawił przestrzeń dzielacza mikrobus od skraju ogrodu, gdzie zgromadzone dzieci czekały na przejście rodziny królewskiej. Teren był czysty. Od parkingu aż po murawę przed rezydencją opadało pięćdziesięciometrowe trawiaste zbocze. Avedissian popatrzył tam, gdzie Bryant, i poczuł dziwny niepokój.**

**–Cos tu nie gra – mruknał. O'Neillowie spojrzeli na niego zdumieni.**

**–To znaczy co?– spytał Bryant.**

**–To nie to. Kellowi chodzi o coś innego.**

**–O czym ty mówisz, doktorze?! – w głosie Bryanta słychać było natarczywość.**

**–Kell nie zaplanował ostrzału z moździerza, daje głowę. Był zbyt pewny siebie, zbyt pewny sukcesu... zbyt zaangażowany...**

**Bryant wzruszył ramionami.**

**–To bez sensu.**

**–Chyba wiem, o co ci chodzi – wtracił się O'Neill. – Powiedział do Nelligana, że znowu będzie jak za starych, dobrych czasów. To jego akcja, sam ją przeprowadzi, nie wybrał się na przejazd jako statysta.**

**–A co może zrobić? – zadrwił Bryant.**

**–Nie wiem – wyznał Avedissian. – Ale zapytaj swojego człowieka, czy widzi w mikrobusie dwóch innych mężczyzn.**

**Bryant wywołał Murraya i dostał odpowiedź przeczącą.**

**Avedissian przyglądał się tłumowi z rosnącą obawą. Rzędy uposzczonych dzieci czekały w towarzystwie pielęgniarek, opiekunów i nauczycieli na rodzinie królewskiej, która zbliżała się powoli w promieniach południowego słońca. Kolejka do powitania otwierała grupa niewidomych z brytyjskimi flagami.**

**Avedissian przeniósł wzrok na kaleki na wózkach inwalidzkich. Niektóre dzieci wierzyciły się niecierpliwie i pielęgniarki uspokajały je. Nagle zrozumiał i krew odpłynęła mu z twarzy.**

**–Kella nie ma w minibusie! – syknął. – Jest w kolejce, w wózku!**

**W landroverze na moment zapanowało poruszenie. Każdy chciał się przekonać, czy Avedissian ma rację.**

**–Spokoj! – warknął Bryant i zapadła cisza. – Jeśli tak, to musimy go stamtąd wyciągnąć. To nasza jedyna szansa. Próba zawrocenia rodziny królewskiej skończy się masakrą.**

**–Najpierw trzeba go znaleźć – zauważył Avedissian i otworzył drzwi samochodu.– Musimy tam zejść.**

**–Zaczekaj! – powstrzymał go Bryant i zwrocil sie do kierowcy – Dawaj lornetke! Szybko!**

**Wreczyl Avedissianowi skorzany futeral.**

**–Popatrzcie przez to! Jezeli Kell jest w wozku, musi miec opiekuna. Moze kogos rozpoznacie!**

**Avedissian szybko oddal lornetke O'Neillowi. Ten przylozyl ja do oczu i zaczal wolno przesuwac wzdluz kolejki. Nerwowe sekundy wlokly sie niemilosiernie.**

**–No, dalej, dalej! – nie wytrzymal Bryant.**

**–Tam! – wykrzyknal O'Neill. – Widze tylko plecy, ale to Nelligan! Jest w bialym fartuchu i stoi chyba... za wozkiem Kella... Cholera, ktos mi zaslonil! Sa w grupie starszych dzieci!**

**Bryant wyrwal mu lornetke i spojrzal we wskazanym kierunku.**

**–Wielki facet?**

**–Zgadza sie.**

**–Jest na samym koncu. Jesli Kell czeka, az rodzina krolewska podejdzie do niego, mamy kilka minut.**

**–Moze nie bedzie czekal? – odezwala sie Kathleen.**

**–Bedzie, jak go znam – odparl O'Neill. – Lubi stopniowac napiecie.**

**–Jak go stamtad zdejmujemy? Bryant zaczal sie pocic.**

**–Bedziemy musieli tam dotrzec i wyciagnac go.**

**–Ale jak tylko nas zobaczy... – zaprotestowal Avedissian. – Chodzi mi o to, ze na pewno ma schowany pistolet maszynowy.**

**–Jezeli zdejmujemy tego wielkiego faceta, zaskoczmy Kella od tyłu. Wystarczy go odwrocic, zeby zmienic pole ostrzalu.**

**–Ja tam pojde – zdecydowala nagle Kathleen. Wszyscy spojrzeli na nia z zaskoczeniem. – Zalatwcie mi stroj pielegniarki. Szybko!**

**Bryant uniosl do ust radio i wydal polecenie. Ktos probowal z nim dyskutowac, wiec warknal:**

**–To zatrzymajcie pierwsza z brzegu i rozbierzcie! I przyslijcie tu Millera! – Potem wywolal ludzi na pozycjach wokol mikrobusu i kazal niektórym zajac stanowiska w poblizu Nelligana i Kella. – Ukryjcie sie i czekajcie! – dodal.**

**Nagle obok landrovera zatrzymal sie drugi. Przywiozl przestraszona pielegniarke, ktorej kazano natychmiast zdjac uniform. Kathleen szybko wlozyla pelerynke i czepek.**

**–Jak wygladam? – Dobrze – ocenil Avedissian.**

**–Kto sie zajmie Nelliganem?**

**–Miller – odparl Bryant, wskazujac mezczyzne, ktory przyjechal z pielegniarka. – Zaczynamy! – Wywolal przez radio kogos o nazwisku Dell. – Te sztuczne ognie przygotowane na pozniej dla personelu i telewizji... Jesli uslyszysz jakis strzal, odpal je... Tak powiedzialem, odpal je!**

**Bryant kazal kierowcy wolno okrazyc dzieci na koncu trawnika i zatrzymac sie trzydziesti metrow za nimi. Kathleen i Miller byli juz prawie na miejscu. Kathleen zobaczyła, jak Miller chowa radio i wyciaga groznie wygladajacy noz. Natychmiast wsunal go do rekawa. Zauwazyl spojrzenie Kathleen, ale je zignorowal i szepnal:**

**–Niech pani tylko troche odwroci wozek Kella, zeby nic nie podejrzewal. Nie moze miec na linii ognia rodziny krolewskiej!**

**Skinela glowa.**

**–Pan zajmie sie Nelliganem, a ja odwroce Kella.**

**Rozdzielili sie. Kathleen skrecila i wmieszala sie w tłum. Zatrzymala sie dziesiec metrow na prawo od Kella, poza jego polem widzenia. Nie mogla go zobaczyc, bo wozek mial postawiona bude – zaslaniala Kella przed wzrokiem sasiadow z boku. Nelligan ustawil szefa obok wozkow dwoch nastoletnich albinosow Byli oslonieci podobnie jak Kell, tyle ze przed sloncem.**

**Kiedy Miller znalazl sie za plecami Nelligana, Kathleen zaczela dzialac.**

**–Czy wszyscy dobrze widza? – zapytala glosnym, oficjalnym tonem. – To juz nie potrwa dlugo. Ale moze przesuniemy wozki troszke w prawo – obrocila najblizsze dziecko i jego opiekunka odruchowo jej pomogla.**

**Wszystkie pielegniarki uznaly propozycje Kathleen za oficjalne polecenie i zrobily to samo. Miller wykorzystal okazje: Nelligan osunal sie na ziemie, nie wydajac zadnego dzwieku. Jednak wokol zapanowalo zamieszanie z powodu mezczyzny, ktory nagle "zemdlat".**

**Kathleen natychmiast ruszyła w kierunku Kella. Przedarła się do niego w sama porę – z wózka wyłoniła się już lufa broni automatycznej.**

**–Nie!– wrzasnęła.**

**Rzuciła się na wózek i obrocila go na tylnych kołach. Kell nacisnął spust i niecelna seria przecięła powietrze. Przerazeni ludzie rozpięzchli się z krzykiem na wszystkie strony.**

**Kathleen z rozpedu upadła na kolana. Usiłowała się podnieść, gdy następna seria zwała z nog Millera biegnącego jej z pomocą. Nagle zobaczyła, że Kell próbuje się odwrócić i wycełować w nią. Z całej siły popchnęła wózek, ale nie odjechał daleko: zatrzymał się na zwłokach Nelligana. Jednak przy gwałtownym zderzeniu z przeszkodą beznogi tułow Kella został wyrzucony na ziemię. Leżący Kell nie wypuścił broni. Obrocil się i otworzył ogień do nadbiegających ludzi Bryanta.**

**Wystrzelił krótką serię i przekrecił się w inną stronę. Za wszelką cenę chciał osiągnąć swój cel. Eskorta otoczyła wycofującą się w pośpiechu rodzinę królewską, ale niedoszłe ofiary Kella wciąż były w zasięgu ognia. Kathleen znajdowała się najbliżej niego, lecz nie mogła mu zdecydowanie przeszkodzić.**

**Martin O'Neill nie czekał na to, co się stanie. Pusczył się pedem przez otwartą przestrzeń, żeby skoczyć na Kella i nakryć go sobą. Nie zdążył. W ostatniej chwili Kell usłyszał kroki, odwrócił się i nacisnął szybko spust. Ale poszarpane ciało O'Neilla zwało się na niego i przygniotło broń. Kathleen zerwała się, podbiegła do leżących i chwyciła pistolet maszynowy, by wyrwać go Kellowi. Avedissian i ludzie Bryanta przebiegali właśnie ostatnie metry.**

**–Wszyscy są z IRA! – wrzasnął nagle Bryant. – Rozwalcie ich!**

**–Nie! – krzyknął przerażony Avedissian. – Zaczekajcie! – Ale było już za późno. Pociski podziurawiły całą trójkę i strzały umilkły.**

**Oszolomiony i zrozpaczony Avedissian opadł na kolana obok zakrwawionych ciał i objął głowę Kathleen. W jej oczach tliła się jeszcze resztką życia.**

**–Moje kochanie – szepnął, nie mogąc powstrzymać łez. Przytulil policzek do jej twarzy Kathleen rozchyliła usta.**

**–Dziękuję ci... – powiedziała cicho. – Przez chwilę... już prawie wierzyłam... że to możliwe... – Jej głowa opadła do tyłu. Nie żyła.**

**Avedissian stracił panowanie nad sobą. Zerwał się i rzucił w stronę Bryanta. Chciał go zabić gołymi rękami, nic więcej nie miało znaczenia. Ale Bryant zrobił sprytny unik i wyrzucił go w skron. Cios zamroczyl Avedissiana i zwałil go z nog. Jednak ślepa**

**furia nie pozwoliła mu stracić przytomności. Przekrecił się na plecy i usłyszał nad sobą głos Bryanta:**

**–No, dalej, zabij mnie. To w twoim stylu, co? Żadnych niedokonczonych spraw.**

**Bryant nie patrzył na niego, lecz na to, co pozostało z przyjęcia. Na przerażonych ludzi i biegających policjantów. Wokół wyły syreny, a w niebo strzelały fajerwerki. W tym momencie wyglądały idiotycznie. Miały zagłuszyć pojedynczy strzał, a teraz tylko powiększały zamieszanie. Rodzina królewska została uratowana, ale jego kariera legła w gruzach. Bryant spojrział na Avedissiana.**

**–O'Neillowie byli terrorystami, irlandzkimi terrorystami. Szumowinami. Wracaj do domu, doktorze. To nie jest twój świat. Nigdy nie był i nie będzie.**

**Avedissian obserwował, jak Bryant podchodzi do zwłok, żeby po raz ostatni popatrzeć na Kella i O'Neillów. Kiedy odciągnął Kella od innych, Avedissian dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Nelligan jeszcze żył, nie zginał natychmiast od noża Millera! Unosił rękę i trzymał w niej broń! Avedissian chciał krzyknąć, ale słowa zmarły mu na ustach.**

**Bryant dostał kule w pierś i osunął się na zwłoki Kella. W jego oczach zabłysło zdziwienie.**

**Tulow Nelligana zadrgał, przeszyty pociskami ludzi Bryanta, i jątka wreszcie dobiegła końca.**

**Avedissian siedział samotnie na ziemi. Gdy przestało mu szumieć w głowie, podniósł się i podszedł do trupów dwóch wrogów. Patrzył na nie długo i twardo, potem powiedział cicho:**

**–Jeśli kiedykolwiek jakiś człowiek był sobie wari, to na pewno wy dwaj.**

**Wsiadł do samochodu Sary Milek i odjechał. Po drodze zatrzymał się przy budce telefonicznej. Zadzwoił do informacji i otrzymał zadany numer.**

**–Fundusz Pomocy Dzieciom – odezwał się głos.**

**–Chciałbym dokonać wpłaty na wasze konto.**

**–Będziemy bardzo wdzięczni. Małe sumy można wpłacać...**

**–To duża suma.**

**–W takim razie może wysłać panu informator? Avedissian odrzekł, że chce tylko numer konta.**

**–Czy wolno spytac, jaka to kwota?**

**–Dwadziescia piec milionow dolarow – odparl Avedissian.**

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2009-11-30

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*